

Sezon doskonalenia wiary

Autor: Fabian Koziol

Spis treści

Jesus Christ superstar.....	3
Nakręcany robocik.....	11
Nihil novi.....	18
Amerykański sen.....	24
Sprawa.....	37
Osaczony.....	58
Błąd.....	68
Wybyłem z gniazda i idę przed siebie krętą ścieżką, a wokół mnie kompletny mrok. I nie ma nikogo, żadnego człowieka, który mógłby oświetlić mi drogę.....	76
Mistrz cechu złodziejskiego.....	80
Sezon doskonalenia wiary.....	91
Posłowie.....	96

Jesus Christ superstar

Po ciężkim dniu spokojny wieczór był tym, czego potrzebowałem. Rozsiadłem się wygodnie na kanapie, uprzednio przygotowując wspomagacze relaksu w postaci mocnego drinka i świeżo rozdzwiczzonej paczki papierosów. Z laptopa rozbrzmiewała aktualnie ulubiona płyta, aktualnie ulubionego zespołu, a ja paliłem papierosa, zapijając dym alkoholem. Po każdym łyku przymykałem oczy, próbując popłynąć tam, gdzie niosła mnie muzyka.

Całkowicie zachmurzone niebo i, prawdopodobnie, jakaś awaria latarni na pobliskim parkingu sprawiały, że tego wieczora na zewnątrz było przeraźliwie ciemno. Tak, że okna i przeszklone drzwi balkonowe wyglądały, jak zamalowane czarną farbą. Wpatrywałem się w tę czerń, teraz już leżąc, na kanapie i pociągałem to ze szklanki, to z papierosa, całkowicie bezpiecznie w swoim dobrze oświetlonym pokoju. Pukanie wyrwało mnie z letargu. Ktoś lub coś ewidentnie pukało do drzwi mojego pokoju. Tak przynajmniej myślałem na początku, ale, jak się okazało po uważniejszym przysłuchaniu, mylnie. Agresywny i od niedługiej chwili zniecierpliwiony dźwięk dochodził z balkonu. Ewidentnie ktoś, albo coś tam musiało być. Człowiek może się zdziwić, tym bardziej, gdy mieszka na czwartym piętrze.

Postawiłem szklankę na podłodze, papierosa zduśiłem w popielniczce i podniosłem się z kanapy. Z rezerwą zbliżyłem się do mroku oblegającego balkon. Zbliżyłem twarz do szyby, próbując dojrzeć, skąd pochodzi ten hałas. Z mroku po drugiej stronie wyłonił się zarośnięty typ.

– Jezu! - odskoczyłem od drzwi.

Jakiś facet był na balkonie. Kurwa, jakiś facet był na moim balkonie. Na czwartym piętrze!

– Hej bracie, otwórz! - usłyszałem stłumiony głos. Teraz widziałem go wyraźniej. Na balkonie stał brodaty człowiek o długich włosach.

Zbliżyłem się ponownie.

– Ktoś ty? - spytałem.

– Jezus.

Nie dość, że hipis, to jeszcze szalony.

– Jak wlałeś na mój balkon? - spróbowałem inaczej.

– Wylądowałem tu. Otwórz, bo trochę chłodno...

Wiem, że to nie było zbyt mądre, ale nie wyglądał groźnie, więc otworzyłem. Obcy wszedł do pokoju. Miał na sobie szatę długą aż do kostek.

– Teraz serio, kim jesteś? - spytałem po raz drugi.

– Jezus – powtórzył, wyciągając dłoń w geście przywitania.

– A ja jestem bogiem – podałem mu dłoń.

– Ludzie małej wiary – westchnął, patrząc gdzieś w górę. Rozejrzał się po pokoju. Nagle wpadł na pomysł. - Dobrze, podaj mi tę butelkę z wodą. - Wskazał na moje biurko, gdzie stała.

Podąłem. Sam nie wiem, dlaczego. Chyba z ciekawości.

Dziwny hipis wziął ją w ręce. Poprzecierał, jakby trzymał lampę dzina, po czym oddał mi.

Chyba zwariowałem. Woda zabarwiła się na czerwono.

Odkręciłem butelkę. Powąchałem. Nie dowierając zapachowi skosztowałem. To było wino, najprawdziwsze wino.

– Wino – powtórzyłem na głos.

– Wino, wino, a skoro już jest, to nie może się zmarnować – słusznie zauważył. Wziął ode mnie butelkę i pociągnął sążnie, aż plastik zaskrzypiał.

Stałem jak wryty. Nie potrafiłem zrozumieć sytuacji, nie wiedziałem co powiedzieć. „Masz halucynacje” - mówił racjonalny rozum, zagrożony wizją szaleństwa. Jakiś cichy głosik jednak próbował mnie przekonać do prawdziwości tego, co widziałem.

– Coś się stało? - spytał stojący przede mną Jezus, dzierżąc w dłoni plastikową butelkę z

winem.

- Naprawdę jesteś Jezusem? Tym Jezusem?
- We własnej osobie. Masz, - podał mi butelkę – łyknij sobie. Łatwiej to przetrawisz. Posłuchałem jego rady i, prawdę mówiąc, wino było całkiem niezłe. Chyba półśłodkie.
- Co ty tu robisz? - Nie potrafiłem znaleźć lepszego pytania.
- Ech, daj spokój. Pokłóciłem się z ojcem, więc zszedłem z nieba ochłonąć. - Mina mu zrzędała. - Daj jeszcze łyka.

Podąłem mu wino.

- I wybrałeś moje mieszkanie?
- To już był czysty przypadek. Nie zależało mi na tym, gdzie wyląduję.
- W takim razie dobrze, że nie spadłeś u arabów – zauważyłem.
- Czemu? Ach, chodzi ci o to, że coś by mi zrobili? Nic z tych rzeczy. Dla nich wyglądałbym jak Mahomet.
- Moment, moment... Czyli mówisz...
- O nie, żadnych pytań o te sprawy. To się zawsze źle kończy.
- No, ale...
- Naprawdę, uwierz mi. Jestem Jezusem.

Zapadła niezręczna cisza. W tej ciszy wzięliśmy jeszcze po grzdylu wina. Jezu patrzył na mnie cierpliwie.

- Skoro już spotkałem Jezusa,, to chciałbym się czegoś dowiedzieć, do cholery!
- Nie warto.
- Nawet jednego pytanko?
- Nie.
- No to kurwa, o czym mamy rozmawiać?
- Nie wiem.

Poddałem się. Na co mi taki Jezus?

- Ech... - westchnąłem. - To może, skoro już tu jesteś, zapalimy? Palisz trawę?
- Jezus zastanawiał się dłuższą chwilę. Widziałem po nim, że bije się z myślami.
- Ojciec nie będzie zadowolony, - odezwał się wreszcie, - ale co mi tam, możemy zajarać.
- Wziąłem fajkę i wyjąłem z ukrycia torebkę z magiczną rośliną. Zaprosiłem gościa,

kulturalnie, na kanapę.

- A dziękuję, chętnie usiądę – odparł.

Nabiłem fajkę, odpaliłem i zaciągnąłem się łapczywie, po czym podałem ją Jezusowi, a on zrobił to samo. Po paru kolejkach towar uderzył do głowy, ze wzmocnioną, winną siłą. Widok upalonego Jezusa był bezcenny. Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Nie mogę uwierzyć, - mówiłem rozbawiony, - że jaram zioło z Jezusem. - Roześmiałem się.

Jezus odpowiedział śmiechem. - Już zapomniałem, jaka to jest dobra rozrywka – przyznał. - U ojca to tylko praca, praca, praca. Kurwa, już mam tego dosyć. Patrz! - zawołał w górę. - Człowiek też potrzebuje odpoczynku.

- Ty, to on nas teraz widzi? - spytałem, chichrając się ciągle.
- Na pewno. Zawsze mnie podgląda. Nie wiem, czy on nie potrafi zrozumieć, że ja naprawdę sobie radzę sam, w końcu jestem dorosły.
- Bez urazy, ale jak cię przybili do krzyża, to też sobie radziłeś?
- To nie do końca było... To był wypadek przy pracy. Mówiłem ojcu, że ludzie nie chcą żadnego zbawienia, że za bardzo w nich wierzy, ale on twardo obstawał przy swoim, a ja robiłem to, czego on chciał. Ech, widzisz, jak to się skończyło... Mamy jeszcze wino? Sprawdziłem butelkę. - Jest jeszcze trochę. - podałem ją Jezusowi.

Nagle jak nie pierdolnie w mój balkon. Na sekundę w pokoju zrobiło się przeraźliwie jasno. W życiu nie widziałem pioruna z takiego bliska.

- Co to było?! - krzyknąłem. Jezus, jakby nigdy nic, spokojnie dopijał wino.
- Ojciec znowu próbuje być ważny – wyjaśnił. - Pewnie mu się nie podoba to, co robię.
- To może – jeszcze trochę mną trzęsło – przystopujemy? Bo jeśli Bóg istnieje, to nie chciałbym się mu narażać. Rozumiesz, jako ten,, który upalił jego syna.
- Spokojnie bracie, to tylko pokazówka. Ojciec i tak nie może ingerować, takie są zasady.

Na zewnątrz znów zagrzmiało. Tym razem w oddali.

- Jakoś mnie to nie przekonuje – powiedziałem, patrząc za okno. Jezus odstawił pustą butelkę. - Dobra, załatwię to. Masz tu gdzieś telefon?

- Tak, ale po co ci on?
- Daj, przedzwonię do nieba, a ty w tym czasie nabijaj faję.

Wybuchnąłem śmiechem. - To niebo ma swój numer telefonu?

- No jasne. Nie bój się, połączenie jest darmowe. Dawaj, dzwonię. - Wyciągnął rękę w oczekiwaniu.
- Ok, masz. - Podąłem mu komórkę, a w czasie, gdy on dzwonił, zająłem się nabijaniem fajki.

Jezus odchylił się ode mnie i wstukał numer. Chyba nie chciał, żebym widział. Przyłożył telefon do ucha w oczekiwaniu. Słyszałem cichy sygnał. „On naprawdę dzwoni do nieba” - zaśmiałem się w duchu.

Ktoś odebrał.

- Halo...? No cześć Piotrek, jest tam gdzieś ojciec...? No to daj mi go do telefonu... No i co z tego? Nie bój się, nic ci nie zrobi... Słuchaj Piotrek, nie chciałem ci tego mówić, ale chyba zapomniałeś, kto tu jest szefem... - w tym momencie Jezus zasłonił otwór mikrofonowy dłonią i zaśmiał się. - To zawsze działa – powiedział do mnie, po czym wrócił do rozmowy. - No ja myślę... Dobra, poczekam.
- Z kim rozmawiałeś? - spytałem.
- Ze świętym Piotrem, odbiera u nas telefony.
- Ja pierdolę – powiedziałem, usilnie próbując przyswoić to, co się dzieje. Uniosłem gotową fajkę. - Odpalać?
- Jasne, albo czekaj, chyba ojciec idzie. - Wrócił do rozmowy przez telefon. - No siema, znowu mnie śledzisz...? Naprawdę będziesz mi mówił, co mam robić? Mam już ponad dwa tysiące lat... Słuchaj, wróć później. Możesz przestać napierdalać tymi piorunami...? Wiem przecież... Matka zawsze się martwi... Dobra, powiedz jej, że jak wrócę to wrócę... Na razie. - Odłożył telefon. - No i załatwione. Teraz możesz odpalać.

Kim jestem, żeby odmawiać Jezusowi? Odpaliłem. Chwilę później byliśmy już nieźle porobieni.

- Ej, a może pójdziemy na miasto? - zaproponował, spalony równie mocno, a może nawet bardziej, niż ja.
- Chyba jestem zbyt upalony, żeby gdzieś iść...
- Nie bądź cipą! Skoro już wyrwałem się z domu, to chcę to wykorzystać jak najlepiej. Dawaj, zbieramy się!

Jezus wstał, gotowy do drogi. Po raz drugi: kim jestem, by mu odmawiać?

- No dobra, ale najpierw się przebierz. W tym prześcieradle nigdzie cię nie wpuszczą.
- Czemu mam się przebierać? Taki mam styl. To ubranie wyraża moją osobowość...
- Ok, szanuję, ale bramkarze już nie są tacy tolerancyjni. Jak chcesz iść na miasto, to rób, co mówię.

Jezus, choć niechętnie, przystał na ten pomysł. - To co mam ubrać?

- Zaraz ci coś znajdę.

Wygrzebałem z szafy parę dżinsów i świeżą koszulkę, która na oko powinna pasować na Jezusa. Podałem mu ubrania i skierowałem do łazienki. Nie miałem zamiaru oglądać typa nago, nawet jeśli był bogiem. Posłuchał mnie i poszedł się przebrać. Wrócił po chwili.

- I jak? - spytał.
- Wyglądasz, jakbyś ubrał ciuchy starszego brata, – stwierdziłem, przyglądając się mu – ale nic lepszego nie wymyślimy. Trochę więcej masy, Jezu! - poklepałem go po ramieniu.

Wreszcie wyszliśmy z mieszkania. Dotarcie do klubu obyło się bez najmniejszych problemów. Mój towarzysz, z tą swoją brodą i długimi włosami robił niezłą furorę na mieście. Zwracał na siebie uwagę każdego napotkanego po drodze człowieka.

Po parunastu minutach stanęliśmy przed wejściem do klubu. Neonowy napis „Relax” świecił nad drzwiami. Dziś nie było kolejki.

- Dwadzieścia złotych od osoby – wypalił bramkarz.

Już miałem wyjmować portfel, gdy nagle Jezus wkroczył do akcji. Wszedł przede mną, położył dłonie na ramionach bramkarza i rzekł patetycznie: - Bracie, chyba nie chcesz brać opłaty od swoich bliźnich, a tym bardziej od syna bożego! - po czym zachichotał pod nosem, co udzieliło się również mi. Widocznie ciągle nas trzymało.

Ochroniarz w pierwszej chwili wyglądał na zmieszanego, nawet przez moment myślałem, że kupi tę gadkę, ale widocznie nasz śmiech obrócił się przeciwko nam. W momencie, w którym Jezus wyszczerzył zęby, dostał prawym prostym w nos. - Jezu! - Padł na kolana, łapiąc się za twarz.

- Twojego kolegę popierdoliło? - warknął bramkarz. - Cztery dychy albo wypad gdzie indziej.

Wyciągnąłem z portfela gotówkę i wręczyłem bramkarzowi. Później pomogłem Jezusowi wstać. Oszołomiony, słał się na nogach, ale udało się nam wejść do środka. I tak cud, że po tej akcji nas wpuścili.

Wewnątrz, jeśli chodzi o ludzi, nie było tłoczno, ale też na nasze szczęście, nie świeciło pustkami. Szybko znaleźliśmy miejsce, gdzie mogliśmy usiąść. Dokładniej mówiąc, Cały boks należał do nas. Posadziłem Jezusa z jednej, a sam usiadłem z drugiej strony.

- Już prawie go miałem – tłumaczył się.
- Prawie... Wszystko w porządku?
- Tak, już tak. Jeden z plusów bycia mną jest taki, że mogę się uleczyć. - Machnął ręką przed twarzą i faktycznie, jego nos po tym zabiegu nie przejawiał śladów wcześniejszego uderzenia.

Zamówiliśmy dwa piwa. Z dwóch szybko zrobiły się cztery. Klub, z kufla na kufel, zaczął się zapełniać, przez co, czy to z własnej woli, czy z braku innych miejsc siedzących, dosiadła się do nas grupa dziewczyn. Dzięki wspólnym wysiłkom nasz stolik po niedługim czasie mógł się pochwalić ponad dwudziestoma pustymi kuflami, z czego przynajmniej dziesięć opróżniłem z ja z moim nowym kumplem. Swoją drogą Jezus stał się bardzo rozmowny.

- Wyglądasz jak Jezus – zauważyła jedno z nowo poznanych dziewczyn.
- Może nim jestem? Powiedz mi, byłaś kiedyś z synem bożym? - zapytał z pijacko-upalonym uśmiechem. Zaśmialiśmy się całą grupą.
- Idziemy potańczyć? - padła propozycja.
- Ja nie tańczę – zaprzeczyłem.
- Za to ja chętnie. Idziemy! - usłyszałem od Jezusa. Wszedł z dziewczynami z boxa, szepcząc do mnie na odchodne: - Cipa. - W odpowiedzi pokazałem mu środkowy palec.

Została ze mną tylko jedna panna, co odebrałem jako dobry znak. Widocznie przypadłem jej do gustu. Przysunąłem się do niej.

- Nie bierz mi tego za złe, ale możesz przypomnieć, jak masz na imię? - spytałem, gdyż naprawdę nie pamiętałem.

- Nie martw się, nie wezmę. Aneta – usłyszałem w odpowiedzi.
- Bardzo ładna z ciebie Aneta...

Uśmiechnęła się, przez co wydawała się jeszcze ładniejsza. Miała na sobie przylegające do ciała dzinsy i cienki sweterek, co podkreślało jej zgrabną sylwetkę. Co chwila odgarniała ręką krótko ścięte włosy. Całkiem miło się z nią rozmawiało, mimo że był to typowy „shittalk”. Ja ją rozśmieszałem i próbowałem zaimponować, ona w odpowiedzi pobudzała moje libido. Poza tym wymieniliśmy kilka informacji na swój temat, które tak naprawdę mało nas obchodziły.

- Twój kolega dobrze tańczy – zagaiła. Z naszego boxa mieliśmy dobry widok na parkiet.
- Napatrz się, - poradziłem - nie często możesz oglądać tańczącego Jezusa.

Jej śmiech sugerował, że uznała to za żart. Nie miałem zamiaru wyprowadzać jej z błędu. Jeszcze uznałaby mnie za wariata. Po chwili nachyliła się do mnie.

- Chodź ze mną – szepnęła mi do ucha.
- Byle nie na parkiet...
- Nie bój się, idziemy gdzieś indziej.

Szczęściarz ze mnie. Zabrała mnie do łazienki. Weszliśmy do kabiny, gdzie zacząłem ją całować. Jej szminka smakowała truskawkami. Zacząłem się do niej dobierać. Wsunąłem rękę pod jej sweter. Poczulem przyjemne ciepło kobiecego ciała. Przejechałem po jej skórze, aż dotarłem do piersi. Była dobrze zarysowana, szpiczasta, ale raczej skromnej wielkości. Złapałem ją, jak trofeum. Wtedy ktoś wszedł do łazienki. Zamarliśmy.

- Tutaj? - głos jakby podobny do Jezusa.
- Tak, tu. Nie bój się, nawet nie zauważą, że nas nie ma. Pokaż, na co cię stać.
- Dobrze. - Dźwięk rozpinanego rozporka. - Oto ciało Chrystusa! - usłyszeliśmy. Teraz już byłem pewien. To Jezus z jakąś przygruchaną panienką.

Ani ja, ani Aneta, nie mogliśmy się powstrzymać. Wybuchliśmy śmiechem, czym speszzyliśmy dwójkę kochanków. Ostatecznie nie mieli nam tego za złe. Opuściliśmy łazienkę wszyscy razem, rozbawieni i cholernie napaleni, bo w końcu nikt z nas nie zaliczył. Wróciliśmy do boxa w celu uzupełnienia ulatującego z nas alkoholu, gdzie też, korzystając z okazji, strzeliliśmy kilka pamiątkowych fotek. Czy jeszcze coś działo się w środku? Nie pamiętam.

Opuszczając „Relax” miałem już nieźle w czubie. Na tyle, że byłem gotów kończyć tę popijawę, ale Jezus nawet nie chciał o tym słyszeć. Jeszcze mu było mało.

- Idziemy po jakieś pół litra? - zaproponował.
- Jeszcze ci mało?
- Noc wciąż jest młoda, a dla mnie od jutra znowu kończy się używanie. To co, idziemy?

Byliśmy na takim rauszu, że przecież jedna butelka nic więcej nie zmieni. Tak wtedy myślałem. Zresztą w tym stanie trudno mi było odmówić dalszego picia. No i po raz trzeci: kim byłem, żeby sprzeciwić się Jezusowi?

Wstąpiliśmy do całodobowego. Chyba nie wyglądaliśmy najlepiej, sądząc po tym, jak długo kasjerka zastanawiała się, czy sprzedać nam alkohol. Nieważne, w końcu dostaliśmy butelkę. Zadowoleni jak dzieci z nową zabawką w rękę, zaczęliśmy się rozglądać za dobrym miejscem do zabawy. Przeszliśmy w mniej uczęszczaną uliczkę.

Jezus odkręcił butelkę i wliśmy w siebie kolejną porcję alkoholu. Coraz trudniej to ohydztwo przechodziło mi przez przełyk. Jezus natomiast wydawał się nie odczuwać negatywnych skutków spożycia. Nawet nie zdążyliśmy spić połowy wódki, kiedy ktoś nas zaczepił.

- Co panowie tu robią? - usłyszeliśmy z końca ulicy. Chwilę później rozpoznałem mundury. Tak, to była policja.
- Kurwa... - zakląłem pod nosem, kiedy się do nas zbliżali. W przeciwieństwie do mundurowych, Jezus musiał mnie usłyszeć.
- Spokojnie, mam pomysł – szepnął do mnie. „Ekstra” - pomyślałem, ciągle mając w pamięci jego poprzednią akcję z bramkarzem, ale nie miałem innego wyjścia. Zdałem

się na Jezusa.

- Wiedzą panowie, że jest zakaz spożywania alkoholu w miejscu publicznym? - odezwał się jeden z dwójki policjantów, kiedy już stanęli obok nas.
- Oczywiście, ale my nie spożywamy alkoholu – odparł Jezus, pocierając delikatnie dłonią butelkę wódki.

Policjantów widocznie to rozbawiło. Zaśmiali się z wyższością, pewni siebie.

- A co pan trzyma w ręce? - spytał ten sam funkcjonariusz.
- Wodę, tylko że w butelce po wódce, bo nie mieliśmy jej do czego nalać. Może pan powąchać. - Podał butelkę.

Policjant sięgnął po nią.

- Daj spokój Stefan, będziesz z nimi gadał... Zgarniamy i tyle – skarcił go drugi.

Ten w odpowiedzi kazał mu czekać. Minę miał, jakby cała ta sytuacja sprawiała mu niezłą frajdę. Wziął butelkę, w oczekiwaniu kolejnego dobrego żartu z naszej strony. Powąchał. W ułamku sekundy przestało mu być do śmiechu. Powąchał jeszcze raz.

- Nie śmierdzi wódką, to chyba faktycznie woda – potwierdził.

Jezus uśmiechnął się do mnie tryumfalnie.

- Nieważne. I tak was zgarniamy – odezwał się drugi.
- Co, czemu?! Przecież nie pijemy alkoholu – zaprotestowałem.
- Kolega ma rację. Może to, co tam macie nie śmierdzi wódką, ale nie możemy mieć pewności, czym ten płyn jest – tłumaczył ten bardziej rozmowny.
- No to już jest kurwa przesada! - krzyknąłem.
- Nie takim językiem, dobra?! - Drugi policjant pogroził mi palcem. Widziałem, jak jego dłoń zwisa nad pałką.
- Spokojnie – wtrącił się Jezus. - Załatwimy to inaczej. Bracia... - odezwał się do policjantów. „Ech, znowu zaczyna”. - Możecie się poczuć trochę nieswojo.

Zaczął wymachiwać przed nimi rękoma. Funkcjonariusze patrzyli na niego, jak na wariata. Już widziałem oczami wyobraźni, jak tracą cierpliwość i ładują nas do radiowozu. Nie minęło kilka sekund tego machania, aż nagle zadziała się magia. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem.

- Co ty im zrobiłeś?!

Jezus zaśmiał się. - Przemieniłem ich w psy. - I zaśmiał się znowu.

Nie powiem, sam się uśmiechnąłem na widok dwóch małych piesków w policyjnych mundurach i czapkach. Obszczekiwały nas bezradnie.

- Ale w czyły?
- A co, miałem ich zamienić w dobermanów?
- Touché Jezu, touché – odpowiedziałem, kiedy tylko wyobraziłem sobie dwa wściekłe dobermanów.
- No właśnie. To co, idziemy dopić wódkę?
- Czemu nie? Tylko zrobię im zdjęcie

Zapisałem wydarzenie w pamięci aparatu. Teraz mogliśmy zmienić ulicę i tak zrobiliśmy, zostawiając denerwująco skrzekliwie czyły same sobie. Nie goniły nas. Widocznie zachowały trochę rozsądku i zauważyły, że nic tu nie osiągną. W nowej miejscówce Jezus na powrót zmienił wodę w wódkę, co pozwoliło nam kontynuować libację.

Zdrowo przesadziłem. Urwał mi się film.

Obudził mnie potężny ból głowy. Mając w tym trochę doświadczenia pozwoliłem sobie jeszcze chwilę poleżeć, przygotowując się na otwarcie oczu. Kiedy poczułem, że mam wystarczająco dużo sił na to przedsięwzięcie, spróbowałem otworzyć powieki. Ciągle mocno rozkojarzony rozejrzałem się po pomieszczeniu.

Ciasny pokój, smród, drzwi jak w więzieniu i kilka prycz zajętych przez osobników o

twarzach zdradzających, że moja wczorajsza popijawa byłaby dla nich dziecięcą zabawą. Jezusa nie było wśród nich. „Jestem na izbie wytrzeźwień” - uświadomiłem sobie. W trakcie zmieniania pozycji na siedzącą, od razu mi się podniosło. Z trudem powstrzymałem odruch wymiotny. Wstałem i zrobiłem parę kroków na bosaka do drzwi i z powrotem. Rozejrzałem się jeszcze raz wokół siebie, po czym, z braku jakiegokolwiek zajęcia wziąłem przykład z pozostałych i wróciłem na pryczę.

Po chyba godzinie – trudno było stwierdzić dokładnie, bo zabrali mi wszystko, oprócz majtek – za zaryglowanymi drzwiami pojawiła się pielęgniarka. Zerknęła przez kraty, czy wszyscy rezydenci żyją i już miała zniknąć, ale byłem szybszy. Podbiegłem do drzwi wołając za nią. Zatrzymała się, dając mi możliwość zapytania, kiedy mnie wypuszczą.

- Gdy poziom alkoholu w pana krwi spadnie poniżej „zero dwa” promila – odpysknęła z taką miną, jakby nie mogła uwierzyć, że śmiałem zadać jej pytanie.
- A ile mam teraz?
- Pan poczeka... - powiedziała i zniknęła w ciemnościach korytarza.

Poczekalem. Nigdzie mi się nie spieszyło. Chyba minęła kolejna godzina, zanim drzwi otworzyły się. Stanął w nich strażnik w mundurze i facet, który podobno był lekarzem. Szybko doszedłem do wniosku, że z lekarza to miał tylko biały kitel. Zabrali mnie do innego pokoju, w którym „lekarz” sprawdził alkomatem poziom alkoholu w mojej krwi. Dlaczego, żeby wykonać ten „zabieg” musieli zabrać mnie do innego pokoju? Tego chyba nigdy się nie dowiem. Alkomat wskazał półtora promila, skazując mnie na dalsze kiblowanie w tym cuchnącym przybytku.

Wróciłem na swoją pryczę. Większość „współlokatorów” zdążyła już wstać. W oczekiwaniu na wolność zdążyłem po krótko poznać towarzyszy niedoli. Nie było zaskoczeniem, że wszyscy trafili tu za nadużycia alkoholu, a nadużycia te przejawiały się w różnych formach. Jeden wypróżnił się publicznie, inny został znaleziony nagi gdzieś w parku, jeszcze innego zgarnęli z domówki, na której zaatakował nożem swojego kumpla; podobno nieźle poturbował zgarniających go policjantów.

Nie wiem ile czasu minęło, ale wydawało się, że tylko kilku godzin brakuje do wieczności. Strażnik i lekarz ponownie nas odwiedzili. Zabrali mnie na badanie. Tym razem alkomat wskazywał niemal zerowy poziom alkoholu.

Zabrali mnie na górę, gdzie oddali mi ubranie, rozładowaną komórkę oraz portfel, po czym wręczono mi rachunek na dwieście złotych za usługę. Byłem zbyt zmęczony, żeby się tym przejąć. Ubrałem się i wyszedłem na zewnątrz. Słońce przeraźliwie raziło mnie w oczy, a do tego nie wiedziałem, gdzie do cholery jestem. Skierowałem się na najbliższy przystanek autobusowy.

Całą drogę do domu próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie: czy wczorajsza noc wydarzyła się naprawdę, a jeśli tak, to co stało się z Jezusem? Nagle przypomniałem sobie o telefonie. Wyjąłem go z kieszeni, ale, cholera, złom był rozładowany. Musiałem poczekać, aż wrócę.

Kiedy wreszcie dotarłem do mieszkania, odetchnąłem z ulgą. Zamknąłem drzwi wyjściowe i wszedłem do pokoju. Podłączyłem komórkę do ładowarki i włączyłem ją z nadzieją, że udzieli mi jakichś odpowiedzi. Sprawdziłem galerię, w końcu zrobiłem wczoraj parę zdjęć. Ku mojemu zaskoczeniu, ale też zadowoleniu, zdjęcia zachowały się. Byłem na nich ja, Jezus, dziewczyny z klubu, a nawet policjanci-czyli! Było nawet moje zdjęcie, na którym leżę nieprzytomny pod kościołem, niedaleko od miejsca, w którym dopijaliśmy ostatnią flaszkę. „Jezus musiał mi je zrobić” - pomyślałem.

Nagle przypomniałem sobie o czymś. Mimo zmęczenia ogarnęło mnie nieziemskie podekscytowanie. Wszedłem na wykonane połączenia i... po krótkim poszukiwaniu znalazłem! Połączenie wykonane po dwudziestej trzeciej, na chwilę przed naszym wyjściem na miasto. Dziewięć trójek – numer do nieba!

Zadzwońnię pełen obaw i nadziei. W końcu nie każdy może się pochwalić posiadaniem jako znajomego Jezusa i cholernym numerem do nieba! Czekałem niecierpliwie na nawiązanie

10

połączenia.

- Nie ma takiego numeru – usłyszałem w słuchawce.

2015

Nakręcany robocik

Pokój był ciasny. W rogu, na sprężynowym łóżku, siedział stary robot. Pochodził z dawnej linii produkcyjnej, wytwarzającej jeszcze modele z silnikiem na benzynę, który, w razie trudnych warunków lub niedostatku tejże, mógł także działać na nakręcanie. Z tego też powodu z pleców robota wystawała wolno obracająca się klamra, stara i porysowana od ciągłego użytkowania.

Praca całkowicie pochłonęła wszystkie myśli robota. Co takiego robił? Odnawiał się na tyle, na ile pozwalał mu budżet i zapasy. Obok niego, na łóżku, leżał worek nowych śrubek i pojemnik z resztką smaru, od długiego czasu czekającego na dobry moment do użycia. Ten wymarzony moment zbliżał się wielkimi krokami. Robot swoimi metalowymi dłońmi wykręcał stare śruby ze stawów i zamieniał je na nowe. Jego mechanizm wydawał przy tym skrzypiące arie, do czego przerdzewiałe łóżko dogrywało swoją partię jako drugi instrument, a tykająca podczas obrotów klamra wybijała rytm całej melodii.

Renowacje zużywały sporo energii robota, przez co musiał co jakiś czas nakręcić ponownie klamrę. Nie mógł o tym zapomnieć. Krytyczna utrata energii skutkowałą przejściem w całkowity stan uśpienia, który trwał do czasu, aż go ktoś uruchomi lub pasywnie zebrana energia pozwoli na to, by mógł sam to zrobić. Nie miał nikogo bliskiego, kto mógłby go obudzić a śpiączka nie wchodziła w grę – przespałby najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. Na samą myśl o nim w robocie budziła się nowa chęć do pracy. Nadzieja, którą dawało mu to święto, zastępowała wieloletnią tęsknotę za paliwem w silniku.

Skończył wkręcać śruby i wstał. Pochodził po pokoju, potem zrobił parę przysiadów i przyjrzał się swoim nogom. Rudawy metal, z którego były zrobione zaczęła już podgryzać rdza, ale poza tym wszystko wydawało się w porządku. Działyły dobrze i powinny nadać się do biegu. Pokręcił rękami, powyginał je w każdy możliwy dla stawów sposób. Przyjrzał się metalowym dłoniom i palcom. Też były sprawne i ruch był płynny, nawet pomimo skrzypienia. Na koniec pokręcił głową i poruszał nią w przód, w tył i na boki. Wszystko się trzymało.

Na punkcie głowy był szczególnie przewrażliwiony. Raz zdarzyło mu się ją dosłownie stracić i to akurat kiedy był wśród innych robotów. Przy jednym ruchu szyi coś strzeliło i głowa, tracąc swoje oparcie, spadła na ziemię z hukiem. Musiał ją później nieść przez całe miasto do domu, bo nie miał przy sobie narzędzi. Tych wszystkich spojrzeń i notorycznego, bezdusznego, robociego „ha ha ha” nigdy nie zapomniał.

Jednak teraz wszystko było dobrze. Dobrze jak nigdy. Gdyby było go stać na jakiś nawet najtańszy lakier, to mógłby z powodzeniem uchodzić za nowy model retro, tak popularny w tych czasach. Niestety nie miał pieniędzy, a pokrywająca go rdza skutecznie odrzucała większość społeczeństwa.

Przyszedł czas na ostatnie przygotowania. Obiema dłońmi, ostrożnie, jakby podnosił coś niezwykle cennego, ujął pojemnik ze smarem leżący na łóżku. Popatrzył na niego z sentymentem. Trzymał go jak relikw, przedstawiający inne, lepsze życie, o którym zawsze marzył i do którego zawsze dążył. Każdy robot na początku swojego istnienia otrzymuje pełny pojemnik smaru od robotów stwórcy. To, co z nim robi, zależy wyłącznie od niego. Jeśli zdecyduje się wszystko zużyć na nieproduktywność i nie będzie go stać na nowy – jego sprawa. Z czasem taki robot zatrze się i zostanie wyrzucony na złomowisko. Naturalna eliminacja nieprzydatnych jednostek. Za to najlepsze roboty, które było stać na kupno nowego smaru, mogły cieszyć się nieśmiertelnością i ogólnym poszanowaniem.

Nasz robocik trzymał w dłoniach tę pierwszą, darmową porcję smaru. Zużył większość, kiedy pełen fascynacji nowym życiem szukał swojego miejsca w świecie. Nie poszczęściło mu się. Choć wiele poznał, zawsze kończył w punkcie wyjścia, z nieubłaganie malejącą ilością niezbędnego specyfiku. Tę ostatnią porcję, którą miał przed sobą, zachował z nadzieją, że kiedyś przyjdzie ten odpowiedni dzień.

I przyszedł.

Robot, ciągle trzymając smar jedną ręką, wziął do drugiej pędzel. Zawahał się przed zanurzeniem go w pojemniku. Jego zwoje mózgowy zostały przeszyte niezliczoną ilością obaw. Czy warto stawiać wszystko na jedną kartę? Czy nie ryzykuje zbyt wiele? Czy błaha nadzieja nie zaślepią jego obiektywnego umysłu? Przecież dzięki tej ilości smaru mógłby jeszcze przeżyć kilka lat w swoim małym pokoiku. Może w ciągu tego czasu znalazłby nową porcję, albo zarobiłby na nią? Może lepiej nie wychodzić?

Zamoczył pędzel w mazi, pozbywając się tym samym niepewności. Jakież to było dla niego cudowne uczucie, poczuć na sobie delikatnie chłodny, gęsty krem. Przypomniały mu się pierwsze lata życia, kiedy jeszcze nie musiał się martwić o to, co przyniesie jutro, o to, czy coś się nie zepsuje, o niebezpiecznie niską ilość smaru. Wtedy robotyczny świat wydawał się taki lekki i bezproblemowy. Rozmarzył się w tych latach bez troski, zapominając na moment o otaczającym go świecie.

Potrząsnął głową, a stawy zaskrzypiały, wrywając go z zadumy. Nie szczędził smaru. Starannie pociągnął pędzlem wszystkie ruchome części swojego ciała. Musiał działać jak najlepiej i wiedział o tym. W końcu przygotowywał się na najważniejszy dzień w jego życiu. W rozgorączkowaniu zużył prawie cały zapas specyfiku. Tylko po kątach pojemnika, gdzie nie wybrał wszystkiego pędzlem, można było poznać, co znajdowało się w środku.

Jeszcze raz sprawdził swoje przygotowanie. Poruszał się w każdy możliwy sposób, kręcąc rękami i uginając nogi. Teraz był gotowy – żadnych tarć i żadnego skrzypienia. Zadowolony i błyszczący od tłustego smaru, stwierdził, że może ruszać.

Ostatni raz spojrzął na wiszący na ścianie plakat, który przed dwoma tygodniami zerwał ze słupa informacyjnego. Przedstawiał pięknego, biegnącego robota, a w tle za nim wiele innych, niewyraźnych. Napis pod obrazkiem głosił:

**WIELKI WYŚCIG ROBOTÓW
ZGŁOŚ SWÓJ UDZIAŁ I WYGRAJ WSPANIAŁE NAGRODY
I TY MOŻESZ ZOSTAĆ ZWYCIĘZCĄ**

Nakręcany robot wiele razy wyobrażał sobie siebie na miejscu zwycięzcy. Żył tym marzeniem, odkąd tylko natrafił na plakat. W końcu mógł pokazać na co go stać. W końcu mógł zostać kimś, mógł zostać zauważony i mógł wygrać całkiem nowy pojemnik smaru, podobny do tego, który przed chwilą zużył. Ten wyścig był nie tylko szansą na lepsze życie, ale na życie w ogóle.

Wyszedł z przydzielonego mu pokoiku i udał się na miasto. Wszystko było opustoszałe, sklepy zamknięte, a jedyny ruch stanowiły stare roboty, których tak jak jego nie było stać na smarowanie. Siedziały w cieniach budynków, na pomarańczowej, piaszczystej ziemi, chroniąc się przed promieniami słońca. Ich ruchy były minimalne, widocznie oszczędzały energię. Większość z nich nawet nie zauważyła błyszczącego tłuszczem, przemieszczającego się szybkim, pewnym krokiem nakręcane robocika.

Reszta społeczności zebrała się już na miejscu – na starcie wielkiego wyścigu, zagrzewając swoich faworytów do walki. Bogatsze roboty biorące w nim udział w oliwiły się, nanosiły ostatnie poprawki na swoje mechanizmy albo uzupełniały benzynę. Te biedne stały bardziej na uboczu, wstydząc się zbliżyć do swoich lepszych pobratymców. Wiele z nich było takich jak nakręcany robocik, rdzewiejących, starych i dawno nie czujących w sobie paliwa. Niektórzy od tak długiego czasu byli nieoliwieni, że ledwo co się ruszali, a i tak chcieli brać udział w wyścigu. Ich nadzieja była równie płonna co jego, ich marzenia równie piękne.

Robocik dołączył do zawodników. Stanął między dwiema grupami, nie wiedząc, do której dołączyć. Duszą, jeśli można tak mówić w przypadku robota, czuł przynależność do tych pięknych okazów techniki, do zwycięzców, ale ciałem należał do tych drugich, będących o krok od zezłomowania. Ostatecznie nie zdecydował się dołączyć do żadnych z nich. Ustawił się między

obiema grupami, sam. W oczekiwaniu na start spoglądał raz na jednych, raz na drugich.

Z trybun ustawionych po obu stronach toru, wypełnionych widzami, wyłonił się sędzia. Wjechał na swoich gąsienicach, które miał zamiast typowych nóg, na środek toru, przed linię startową. Przywołał głośnym piskiem zawodników.

W ogólnej zawierusze wszyscy ustawiali się do biegu. Nasz robocik nie dał rady przepchać się bliżej linii startowej. Musiała mu wystarczyć pozycja zaraz za większymi i silniejszymi robotami. Na dźwięk drugiego pisku przyjęli pozycję startową. Robocik pochylił się, opierając na jednej ręce. Żółty piasek przyklejał mu się do pokrytych smarem palców.

Wybrzmiał trzeci pisk sędziego. Sygnał startowy. Ruszyli.

Nakręcany robocik wystartował najmocniej, jak mógł. Pędził po piaszczystej ziemi, starając się dotrzymać kroku robotom działającym na paliwie. Biegł z nimi w zwartej grupce, zostawiając za sobą stare modele, które z trudem poruszały się po piasku. Przewracały się, a z tej pozycji wiele z nich nawet nie miało sił się podnieść. Widownia w ogóle nie zwracała na nich uwagi, wodziła wzrokiem za oddalającą się czołówką.

Najlepsi powoli wrywali się ze zbitej grupki, w której biegli razem z robocikiem. On też próbował to zrobić. Inne roboty blokowały mu drogę. Chciał się przez nie przepchnąć, ale niektóre były nawet dwa razy większe od niego. Biegł ile sił w nogach, starał się wymijać i wyprzedzać. Patrzył z bolesną frustracją, jak liderzy oddalają się gdzieś daleko na przedzie. Niestety nie mógł wykrzesać z siebie więcej sił. Nie potrafił przedrzeć się przez cięższe i większe roboty.

Zauważył powoli mijającego ich sędziego jadącego poza trasą, kierującego się w stronę czołówki. Inne roboty ze zbitej grupki też zwróciły na niego uwagę. Nagle jeden z nich, nie zauważywszy kamienia wystającego ponad powierzchnię piasku, potknął się o niego i gruchnął na ziemię. Drugi i trzeci wyłożyli się na nim. Reakcja łańcuchowa spowodowana jego wywrotką pochłonęła większość grupki.

Nakręcany robocik, biegnąc za ich plecami, miał wystarczająco czasu, by zareagować. Odbił w lewo, przeskoczył wywracającego się przed nim robota i tym sposobem wyminął całą kraksę. Oprócz niego tylko dwa inne roboty utrzymały się na nogach. Teraz miał wystarczająco miejsca. Przyspieszył jak mógł. W końcu je wyminął.

Od trójki liderów dzielił go spory dystans. Do jego głowy zaczęły wkradać się wątpliwości. Nawet nie zauważył, że zwolnił. Teraz to pewno nie da rady ich dogonić. Przecież jest tylko starym robotem, niczym więcej. Nie jest wystarczająco szybki, ani silny żeby wygrać. Rezygnacja coraz bardziej negatywnie wpływała na jego prędkość.

Ponownie wymijał go sędzia. Musiał przystanąć wcześniej, przy kraksie. Zrezygnowany robocik zerknął na niego. Sędzia przyjrzał mu się dokładnie, po czym lekko skinął z uznaniem głową. Pojechał dalej.

Robocik nagle przyspieszył. Ten mikroskopijny dowód uznania to to, czego potrzebował. Dodał mu nowych sił. Biegnąc, spojrzął na swoje ciało. Rdzewiejący metal w miejscach pokrytych smarem błyszczał w promieniach słońca. Nakręcany robocik zwiększył obroty silnika do granic możliwości.

Trasa wyścigu skręcała w prawo, by później nawrócić znów na prostą powrotną w stronę linii startowej. Robocik przebiegł ten łuk szybko. Wreszcie zauważył w oddali rozmytą przez parujące ciepło sylwetkę jednego z zawodników. Był już niedaleko. Doganiał go.

Robot biegnący przed nim pochodził z najnowszej serii. Ponad dwa razy większy od niego, posiadający metalowy szkielet pokryty białym plastikiem, przez co wyglądał bardzo elegancko. Jego twarz, tak jak u większości nowych, była wyświetlana cyfrowo. Już nie działał na soczewkach, tak jak robocik.

Mały starał się go wyprzedzić. Kiedy biały robot to zauważył, na jego twarzy wyświetlił się cyfrowy uśmiech. Trudno u robotów rozpoznawać rodzaj uśmiechu, ale ten na pewno należał do uprzejmych. Biały biegł swoim tempem, nie starając się walczyć o pierwszeństwo, ale też nie ustępował. Miał dłuższe nogi i mógł sobie pozwolić na luźniejszy bieg.

Natomiast nakręcany robocik biegł na złamanie karku. Przebierał krótkimi nogami tak szybko, że czasami obawiał się o swoje przestarzałe stawy. Chciał być pierwszy. Musiał być pierwszy. Powoli wyprzedzał białego towarzysza. Kosztowało go to ogromną ilość energii. Silnik pracował tak szybko, że z ciała robocika wydostawała się para.

Jeden metr. Drugi. Trzeci. Biały robot wreszcie zostawał w tyle. Zostało jeszcze tylko dwóch, którzy wcześniej wyrwali się z grupki. Nakręcany robocik pędził ile sił. Był już tak daleko, przecież może mu się udać. Cały trik polegał na tym, żeby tylko nie stracić tempa biegu, a wiara w zwycięstwo mu w tym pomagała. Ale cóż to?

Obraz przed soczewkami zaczął mu się rozmazywać. Początkowo uznał to za połączony skutek ciepła i niesamowitego wysiłku, który wkładał w zawody. Kilka susów dalej poczuł, że chodzi o coś zgoła innego. Coś niedobrego działo się z jego ciałem.

Słabł. Słabł coraz bardziej. Jego bieg stawał się ślamazarny, coraz wolniejszy. Ruchy zaczęły zanikać. W końcu stanął i nie mógł zmusić się do choćby jednego kroku. Za późno zrozumiał, co się stało. Energia pochodząca z nakręcania szybko zużywała się w tak ekstremalnych warunkach. Gdyby tylko mógł ruszyć rękami, sięgnąć do klamry na plecach i ponownie ją nakręcić. Zużył za dużo energii. Nigdy wcześniej tego nie przeżył, ale wiedział, że przechodzi w stan uśpienia. Tylko soczewki jeszcze działały. Patrzył otępiale przed siebie. Gdzieś tam z przodu była meta, było zwycięstwo.

Zasypiał. Wyścig kończył się dla niego w tym miejscu. Głowa zaczęła mu opadać, obraz przed oczami robił się coraz ciemniejszy. Przegrał. Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Ryzyko nie opłaciło się. Ciemność ogarnęła wszystko wokół, a on stał, nie mogąc się ruszyć. Przeszedł w stan uśpienia i stracił świadomość.

Cyk. Cyk. Cyk.

Usłyszał jakieś ciche echo.

Cykcykcyk.

Tym razem dźwięk był szybszy i głośniejszy. Coś działo się za nim. Czuł jak wracają mu siły. Znowu mógł patrzeć. Dalej stał w tym samym miejscu, na torze. Jego serce – silnik, zaczął cicho rzezić. Odzyskiwał władzę w kończynach.

Spojrzał za siebie. To ten biały robot, którego wyminął, nakręcił go ponownie. Rywal przyklęknął na jednym kolanie i wystawił dłoń. Na jego twarzy znowu wyświetlał się cyfrowy, uprzejmy uśmiech. Nakręcany robocik przybił mu piątkę.

Biały robot pokazał gestem, żeby chwilę poczekał, potem sięgnął ręką gdzieś za plecy i grzebał przez chwilę. Wyjął gumowego węża i kazał małemu się odwrócić. Robocik, choć niepewnie, to wykonał polecenie. Biały robot podpiął się do jego silnika i zaczął przelewać benzynę.

Robocik aż podskoczył. Odwrócił się znowu i popatrzył na rywala. Wlepił w niego zdziwiony wzrok swoich soczewek. Biały ciągle uśmiechał się serdecznie. Po chwili schował węża za plecami. Ponownie przybili sobie piątkę.

Pobiegli razem dalej. Zaopatrzone w benzynę silnik nakręcane robocika działał na zupełnie nowym poziomie. Pompował energię do przewodów w takim natężeniu, że wzbudzał w małym zawodniku coś na wzór ekstazy. Maksymalna szybkość, z jaką biegł nakręcony klamrą, teraz przychodziła mu bez problemu i czuł możliwość znacznego zwiększenia obrotów. Przyspieszył. Biały robot pozostawał z tyłu, ale dotrzymywał mu kroku.

Daleko przed sobą, na trasie, zauważyli robota. Stał w miejscu, przyglądając się jakiejś rzeczy leżącej w piasku. Zbliżając się, rozpoznali w tym robocie sędziego. Przedmiotu, któremu tak się przyglądał jeszcze nie potrafili zidentyfikować. Biegli przed siebie, nie spuszczać z oczu dziwnej sytuacji.

To był świeży złom. Na środku toru leżał martwy robot. Powyginane, metalowe ciało nie wykazywało ani śladu życia. Robocik rozpoznał w nim jednego z zawodników, trochę większego od niego, zwinnego robota-kuriera. Szybko wyrwał się on z prowadzącej grupki i wielu zarówno

widzów, jak i zawodników widziało w nim zwycięzcę. Teraz leżał zezłomowany, przysypany pustynnym piaskiem, a na jego ciele tańczyły iskry wydobywające się z poprzerrywanych kabli. Sędzia skanował całe zająście, badając jego przyczyny. Kiedy zauważył przebiegającą dwójkę, machnął ręką, wskazując, by nie zatrzymywali się i biegli dalej.

Nakręcany robocik wraz z towarzyszem posłuchali rady sędziego. Stwierdził, że doszło do wypadku i nie ma sensu tego roztrząsać, tym bardziej, jeśli chciał wygrać wyścig. Starał się utrzymywać kilkumetrowy dystans w stosunku do białego robota, ale nie na tyle duży, żeby tracić go z wzroku. Miło mu się biegło w jego towarzystwie. To jemu zawdzięczał dalszy udział w wyścigu i benzynową moc, na której tak łatwo pędził z coraz większą prędkością.

Dobiegali do drugiego łuku na trasie, co znaczyło, że za nim jest ostatnia prosta, prowadząca do mety. Lider wyścigu nadal się przed nimi nie pojawiał. Robocik postanowił przyspieszyć, nie zważając już na nowego przyjaciela. Zwycięstwo w wyścigu stanowiło o jego być albo nie być, więc musiał wygrać.

Wszedł w zakręt i pędził nim, lekko przekrzywiony na bok. Gdzieś za połową całego łuku zaczęła mu majaczyć z przodu sylwetka lidera. Poczul ulgę. Póki prowadzący nie przebiegł mety, robocik miał jeszcze szansę, by wygrać. Starał się go dogonić.

Lider był potężnym robotem przeznaczonym do prac w ciężkich warunkach. Jego pancerz miał kolor rdzawego brązu, a kanciasty kształt całej sylwetki budził w nakręcanym robociku grozę. Lider z każdym krokiem wybijał w ziemi dziury, które przesypujący się piasek z trudem zakrywał na nowo.

Potężny robot zauważył rywala dopiero wtedy, gdy ten się z nim zrównał. Parsknął, widząc małego robocika biegnącego po jego lewej stronie. Początkowo nie zwracał na niego uwagi, nie widząc w nim najmniejszego zagrożenia. Do czasu, kiedy mały zaczął wychodzić na prowadzenie. Potężny robot nie chciał dać sobie odebrać zwycięstwa. Podgonienie robocika sprawiło mu sporo kłopotu. Musiał się go pozbyć. Machnął wielką, długą ręką. Rozległ się huk. Mały rywal odleciał kilka kroków w tył. Lider bezpieczny i zadowolony pognął dalej.

Robocik wylądował na bok, uderzając o piasek. Cios trafił go w głowę. Był na tyle silny, że pozostawił po sobie pokaźne wgniecenie. Robocik otrząsnął się i usiadł. Nie widział wyraźnie. Widocznie jedna z soczewek została uszkodzona. Postukał po niej parę razy ręką, ale w niczym to nie pomogło. Była rozbita. W końcu zdecydował się ją odłączyć. Wyraźny, choć okrojony obraz lewej soczewki musiał mu wystarczyć do dokończenia biegu. Nakręcany robocik pozbierał się i, chrobocząc miażdżonymi w stawach ziarenkami piasku, wstał.

Ten dźwięk zwrócił jego uwagę na dużo poważniejszy problem, niż rozbita soczewka. Smar, którym wysmarował swoje stawy, był jak klej dla pustynnego piasku. Żłocistożółte ziarna mieniły się na jego ciele wieloma odcieniami, otulając stawy rąk, ale co dużo ważniejsze, stawy nóg, biodrowe, kolanowe i stóp. Robocik nie chciał o tym myśleć. Miał do wygrania wyścig i nie miał zamiaru zrezygnować przez jakiś durny piach.

Rzucił się do biegu, próbując nadrobić stratę. Poruszał się jakby porażony chorobą. Piasek, niczym agresywny wirus, przedostawał się do każdej części jego mechanizmu, utrudniając jego działanie. Poruszanie stało się przeraźliwie trudne, a co za tym idzie, utrzymanie prędkości sprzed starcia z liderem graniczyło z niemożliwością.

Nakręcany robocik wściekał się na cały świat. Na piasek, po którym biegł i który wyniszczał go od środka, na lidera, który zrobił mu takie świństwo i prawdopodobnie zezłomował też robota, którego zwłoki leżały na trasie, na sędziego, którego nie było w pobliżu i nie reagował, nawet na białego robota, że nie pomógł mu i tym razem. Jednak najbardziej robocik wściekał się na siebie. Nie potrafił dogonić lidera, chociaż widział go przed sobą. Jedyne, na co było go teraz stać, to nie powiększać straty do prowadzącego. Rosła w nim nienawiść do swojego ciała, nie potrafiącego zrealizować tego, co umysł już widział oczami wyobraźni.

I meta pojawiła się gdzieś w oddali. I jego wściekłość wzrastała. I nadzieja malała. Nie mógł tego wygrać, chociaż dawał z siebie wszystko. Piach chrupiący wesoło w małym ciele skutecznie

hamował jego zapędy, osłabiając pracę silnika. Co z tego, że silnik pracował ciężiej niż przed uderzeniem, co z tego, że stał o krok od przegrzania, skoro nie dawało to żadnych rezultatów? Tempo pozostawało bez zmian. Efekty pracy ginęły w zderzeniu z rzeczywistością.

Wiwaty widzów wypełniających trybuny przy mecie rozbrzmiały gromko w powietrzu. Niestety nie były to wiwaty dla małego, nakręcanego robocika, ale dla robota przeznaczonego do prac w ciężkich warunkach, robota, który wygrał, robota, który go pokonał.

Robocik dobiegł na metę drugi. Z wgnieceniem na głowie i zniszczoną soczewką, toczony piaszczystą chorobą i przegrany. Nie było nagrody dla drugiego miejsca. Liczył się tylko zwycięzca. Trzeci dobiegł biały robot.

Może któreś z tej wrzawy wiwatów były dla niego – robocik zastanawiał się, patrząc na trybuny. Nawet jeśli, to ginęły w przeważających okrzykach poświęconych zwycięzcy. Nikogo nie ekscytuje drugie miejsce. Biały robot chciał podnieść przyjaciela na duchu, podszedł do nakręcanego robocika i poklepał go po ramieniu. Mały odpowiedział mu zrezygnowanym spojrzeniem jednej soczewki, po czym spuścił głowę.

Nie mogąc tam dłużej wytrzymać, poszedł do swojego pokoiku.

Przeszedł przez ciągle opustoszałe miasto, mijając te same, stare roboty, chowające się przed słońcem w cieniach budynków. Czuł się taki sam jak oni. Był niepotrzebny, przegrany i nic go już nie obchodziło. Równie dobrze mógł od razu usiąść między nimi.

Mimo wszystko chciał być sam. Dotarł do baraku mieszkalnego, minął korytarz i wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Plakat reklamujący wyścig był pierwszym, co zobaczył. „I ty możesz być zwycięzcą” - przeczytał jeszcze raz ostatnie zdanie. Boleśnie go ukłuło. Zerwał ze ściany plakat, będący teraz chłodnym przypomnieniem niedawnej przegranej. Pomiął go w dłoniach i rzucił na podłogę.

Usiadł na łóżku. Zaskrzypiało głośno. Nie miał pojęcia, co teraz ma ze sobą zrobić. Spojrzał na stojący na stoliku obok pusty pojemnik po smarze. Przypomnił mu o nieuchronnym odejściu, nieważne, czy miało nadejść jutro czy za rok. I tak nie stać go na przedłużenie swojego życia. Pusty pojemnik aż promieniował w jego oczach tą straszną wizją, ale jakoś nie mógł odwrócić wzroku. Nie chciał.

Na domiar złego czuł, jak kończy mu się paliwo. Miło było poczuć ten ostatni raz, jak to jest działać na benzynę. Zawdzięczał to wyjątkowo dobremu białemu robotowi. Przypomnił go sobie i przez sekundę znów rozpalili się w nim płomień nadziei. Niewielkie to było teraz pocieszenie, a na pewno nie na tyle, by powstrzymało go przed tym, co zamierzał zrobić. Sięgnął rękami za plecy. Wyjął klamrę do nakręcania i położył ją obok siebie, na łóżku. Chciał odpocząć i wreszcie mógł to zrobić. Nigdzie się nie spieszył, nie miał żadnego zajęcia, ani żadnych planów.

Położył się na łóżku, ignorując kolejne głośne skrzypienie. Nadal czuł nieprzyjemnie trący piasek w jego stawach. Nawet to już go nie obchodziło. Leżał, ciesząc się ostatnimi minutami przyjemnego działania benzyny. Miał nadzieję zapamiętać to miłe uczucie jako ostatnie. Wkrótce nadszedł sen.

Robiło się coraz ciemniej. Obraz w jego działającej soczewce powoli, acz nieubłaganie zanikał. Powstrzymał strach, każący mu sięgnąć po klamrę. Tym razem chciał tego. Tym razem pragnął odpoczynku. Stracił świadomość. Niedługo później zasnął.

Robot-sędzia przemierzał miasto, co jakiś czas zerkając na trzymaną w ręku kartkę z adresem. W końcu dotarł do biedniejszej dzielnicy, w której roboty bliskie zezłomowania przesiadywały w cieniach budynków. Podjechał pod barak mieszkalny. Adres zgadzał się z tym z kartki. Wjechał do środka.

Przejechał korytarz w poszukiwaniu konkretnego pokoju. W końcu znalazł odpowiedni numer. Zapukał do drzwi. Czekał, ale nikt nie odpowiadał. Zapukał drugi raz i trzeci. Dalej nic. Nie mógł tam dłużej sterczeć. Wyjął ze schowka przy biodrze kartę, którą miał dostarczyć i wsunął ją pod drzwi, po czym, zrezygnowany, odjechał.

„Uprzejmie informujemy, że z powodu kilkukrotnego złamania regulaminu wyścigu przez zwycięzcę, został on zdyskwalifikowany. W tym wypadku zwycięstwo należy się robotowi, który zajął drugie miejsce. Gratulujemy, robocie-zwycięzco!” - głosiła informacja na karcie. Szkoda, że robocik, od pewnego czasu pogrążony w głębokim śnie, nie mógł jej przeczytać.

Nihil novi

Sala amfiteatru od dawna nie widziała takich tłumów. Bilety na dzisiejsze spotkanie rozeszły się w parę godzin i najprawdopodobniej, gdyby tylko znaleźć większą salę, sumę sprzedaży można by bez wysiłku podwoić. Chcieli to zrobić organizatorzy, świadomi możliwych zysków. Dwoili się i troili, ale nie udało się znaleźć nic większego i, ostatecznie, musieli zadowolić się tym, co mieli: kompletem na mniejszej sali. Teraz mogli już tylko obserwować, jak podekscytowani ludzie tłoczyli się wewnątrz.

Po paru minutach wszyscy słuchacze zajęli już swoje miejsca, gapiąc się z niecierpliwością na pustą jeszcze scenę. W pełnej napięcia ciszy trwały, niewidoczne dla postronnego, ostateczne przygotowania do występu. Gdy tylko pojawił się wyczekiwany gość, cały budynek wypełniła burza gromkich oklasków.

Paweł uklonił się swojej widowni. Miał na sobie swój najlepszy czarny garnitur, skórzane buty w tym samym kolorze i niebieski krawat, wyróżniający się na tle białej koszuli. Wszystko po to by reklamować życie, o jakim wszyscy zebrani marzą. Przywitał ich serdecznie.

- Dobry wieczór moi drodzy, cieszę się niezmiernie, że ponownie pojawiaacie się w tak liczonym gronie tylko po to, by posłuchać mojej gadaniny.

Początkowy szmer uśmiechów szybko przerodził się w kolejną burzę braw. Paweł przystopował je gestem ręki.

- Dziękuję wam bardzo, ale zostawcie te brawa na koniec, bo jeszcze nawet nie wiecie, o czym będę mówił – zażartował. Widownia zawtórowała mu gromkim śmiechem.

Korzystając z okazji, napił się wody. Organizatorzy przygotowali mu na scenie stolik z jej zapasem. Przelknął i przez chwilę przyglądał się w milczeniu zebranym na sali. Śmiech powoli ustawał.

- Musicie nauczyć się przestać myśleć – zaczął po chwili. Widzowie popatrzyli po sobie zmieszani. – Tak, dobrze słyszeliście. Myślenie zbyt częste szkodzi, a nie pomaga. Dobrze się zastanówcie, zanim będziecie chcieli posiąść wiedzę lub odpowiedzieć sobie na pytania, na które odpowiedzi znać nie chcecie albo tylko wydaje wam się, że chcecie. Ktoś mógłby zapytać: „jak to? Przecież im więcej wiem, tym lepiej, prawda?” Otóż nie do końca tak jest. Nadmiar wiedzy może wam służyć jedynie do mentalnej masturbacji, nieproduktywnej i powodującej więcej nieszczęść niż pożytku. Teraz posłuchajcie mnie uważnie: nigdy, ale to przenigdy, nie starajcie się spojrzeć za zasłonę...

Zamilkł zaskoczony. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedział. Na pewno nie miało to pójść w taką stronę. Słuchacze oczekiwali w milczeniu na dalszy ciąg. Widocznie nic nie zauważyli. Paweł napił się jeszcze wody i szybko przeszedł do dalszej części przemówienia.

- Kierkujcie swoje myślenie. Myślcie o tym, co chcecie osiągnąć, o tym, na czym chcecie zarobić, o swojej pasji. Tam kierujcie swoje myśli i niech w tym też kierunku podąża wasza wiedza. Zrezygnujcie z mitu o wielofunkcyjności. Odnajdźcie swój talent i rozwijajcie go jak tylko się da. Ani się zobaczycie, a gdzieś na tej drodze pojawi się nowa ścieżka, którą będziecie mogli wypróbować. Nowy talent, który dane wam będzie rozwinać. Popatrzcie na mnie. Odkąd pamiętam nie miałem problemów z przemawianiem do widowni. Wtedy, gdy moi rówieśnicy trzęśli się z tremy, ja byłem cały w skowronkach mogąc przemawiać do wszystkich. Szybko doszło do mnie, że to jest moja droga. Droga, która prowadzi mnie przez życie. Teraz oprócz gadania do was, piszę także książki dla tych, którzy już nie mogą mnie słuchać – zaśmiał się. – Kręcę dla was filmy motywacyjne. Moja pasja wprowadza mnie w coraz to nowsze miejsca, w których na nowo muszę się odnaleźć i które muszą się dla niej rozwijać. Podążajcie za swoimi pasjami, a one was poprowadzą.

Zatrzymał się na chwilę. Przepełkał gardło, rozejrzał się po widowni i zadowoleniem stwierdził, że całkowicie pochłonął ich uwagę. Teraz, kiedy miał ich w garści, mógł pójść w każdą

stronę, a oni jak zahipnotyzowani podążają za jego słowami. Było to coś, co zawsze go kręciło. Zadowolony z siebie przeszedł do dalszej części monologu.

- Paweł! – do garderoby wpadł jego menadżer. – Jak zwykle świetnie ci poszło. Klienci zadowoleni w stu procentach, odbieramy sam pozytywny feedback. Jesteś stworzony do tej roboty, brawo!

Paweł dał sobie chwilę, by polechtać ego pochwałami.

- Cieszę się – odpowiedział. – Dobrze wiedzieć, że nadal jestem w tym najlepszy.
- Jesteś bogiem, chłopie! Chociaż, - dodał po zastanowieniu – dzisiaj miałeś jedno niewielkie potknięcie. Raczej żaden z widzów tego nie zauważył, a nawet gdyby, to szybko o nim zapomniał.

To jedno potknięcie. Paweł dobrze wiedział, o co chodzi i, mimo że chciał o tym zapomnieć, nie dawało mu to spokoju. Pierdolona zasłona. Niewiele brakowało, a zacząłby mówić o rzeczach, o których nikt nie chce słuchać. Sprawach, które bolą dopiero, gdy wystawi się je na światło dzienne. Jasne, często zdarzało mu się wplatać niezaplanowane rzeczy w transie wypowiedzi, ale nigdy nie sabotował sam siebie.

- Tak, wiem – przyznał. - Muszę bardziej pilnować tego, co mówię.
- Nie przejmuj się tym za bardzo. Nawet najlepszym zdarzają się potknięcia. Po prostu następnym razem patrz gdzie stąpasz – zażartował.
- Bylebym tylko nie wdepnął w większe gówno – powiedział pół żartem, pół serio.
- Haha, się wie. - Wyjął z kieszeni komórkę. - Zostawię cię teraz. Naciesz się w spokoju kolejnym zwycięstwem.

Menadżer odwrócił się i, wpatrzony w telefon, kierował się do wyjścia.

- Aha, Paweł – stanął w drzwiach. – Zapomniałbym.
- Co?
- Jakaś dziennikarka czeka na zewnątrz. Mówiła, że chce z tobą przeprowadzić krótki wywiad. Wpuścić ją?
- Cholera... - był zmęczony, ale nie chciał odmawiać wywiadu. Nawet najgorszy budował mu niezły PR. - Dobra, dawaj ją tu.

Menadżer wyszedł. Paweł odwrócił się do lustra i poprawił fryzurę. Moment zastanawiał się nad poluzowanym po występie krawatem. Zdecydował się go zdjąć. Znowu odwrócił się do drzwi, oczekując gościa.

Najpierw usłyszał ciche szmery rozmowy, jakby z końca korytarza. Potem do jego uszu zaczęło docierać coraz głośniejsze stukanie obcasów. Obcasy dobrze wróżyły. Dźwięk ucichł pod drzwiami jego garderoby.

- To tutaj – usłyszał swojego menadżera. – Proszę wejść, oczekuje na panią.
- Dziękuję – odpowiedział mu przyjemny, kremowy głos.

Właścicielka tego głosu zapukała w drzwi i, zaproszona, weszła do środka. Była wysoką brunetką, włosy miała spięte w kucyk, a zza okularów bez oprawek ziały ostrą zielenią oczy. Twarz miała ładną, smukłą, o delikatnych rysach podkreślonych nienachalnym makijażem. Pod dzinsowymi spodniami kryły się długie nogi, a jesienna kurteczka opinała jej talię i wydatne piersi.

- Dobry wieczór – przywitała się.
- Dobry wieczór. Proszę, może pani usiąść – wskazał na puste krzesło obok niego.
- Dziękuję.

Usiadła przy nim i przedstawiła się.

- Nazywam się Joanna Foster i pracuję dla czasopisma „Rok później”.
- „Rok później”? - zdziwił się. - Pierwsze słyszę.

- Jesteśmy jeszcze bardzo młodym czasopismem, więc nic dziwnego, że pan nie słyszał. Właśnie staramy się pozyskać więcej czytelników dzięki wywiadom ze znanymi ludźmi.
- Ah, rozumiem. Życzę powodzenia.
- Tak, dziękuję. Możemy zaczynać?
- Oczywiście. Chyba po coś pani tu przyszła, prawda?

Dziennikarka wyjęła z torebki dyktafon, założyła nogę na nogę i wbiła w niego wzrok. Z jej zielonych oczu wiało fachowym chłodem, jakby była tylko kolektorem informacji, a nie człowiekiem. Włączyła dyktafon.

- Wywiad z Pawłem Drylem, coachem i mówcą motywacyjnym – zaczęła.

Wywiad niczym nie różnił się od dziesiątek poprzednich, których udzielał. Już po kilku początkowych razach nabrał wprawy i wyrobił sobie odpowiedź na każde możliwe pytanie dotyczące jego zawodu. Za każdym razem szkielet jego wypowiedzi pozostawał ten sam. Zmieniały się tylko szczegóły, po których potencjalni czytelnicy mogli rozróżnić jeden wywiad od drugiego. Mówił, to o idei pomagania ludziom, to o tym, jak przyjemnie się patrzy na człowieka pochłoniętego samorozwojem, jaką radość mu sprawia motywowanie innych, czy jakie plusy wynikają z tego dla społeczeństwa. Wszystko ustalone, przemyślane i wielokrotnie filtrowane.

Więcej trudności sprawiały pytania dotyczące jego życia prywatnego. Sam był swoją marką i musiał przedstawiać swoje życie jako udane i pełne wdzięku, dokładnie tak, by było obrazem tego, o czym zwykł mówić na wszystkich spotkaniach. W tym aspekcie też nabrał pewnej wprawy, potrafiąc przedstawić najprostsze czynności jako emocjonujące i wartościowe.

Ani się obejrzał, a wywiad dobiegł końca. Już teraz mógł stwierdzić, że wyszło całkiem nieźle. Nie zanotował żadnej wpadki ze swojej strony.

- To wszystko, dziękuję panu za poświęcony czas – powiedziała dziennikarka.
- Nie ma sprawy – odpowiedział. – Mogę teraz ja o coś zapytać?

Pani Foster wyłączyła dyktafon i schowała go do torebki. Spojrzała na niego.

- Proszę.
 - To pani naturalny kolor oczu czy nosi pani soczewki?
- Przez chwilę nie odpowiadała. Zapięła torebkę i położyła ją obok krzesła.

- Do czego pan zmierza? – spytała chłodno.
- Pierwszy raz widzę u kogoś tak zielone oczy. Po prostu jestem ciekaw.
- To naturalny kolor.
- W takim razie, – ciągnął dalej – ma pani wyjątkowe i piękne oczy.

Jej chłodne oblicze złamało się mikroskopijnym ruchem kącików ust w kierunku uśmiechu. Głos nadal nie wyrażał emocji.

- Muszę już iść – powiedziała, wstając. – Dziękuję za wywiad.
- Odeszła w kierunku drzwi. Wstał za nią.
- Proszę chwilę poczekać – zawołał. Powstrzymał ją przed wyjściem.
 - O co chodzi?
 - Przed chwilą skończyłem wykład, a pojutrze wyjeżdżam na następny. W międzyczasie jestem skazany na pobyt w obcym dla mnie mieście. Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechciała pani dotrzymać mi towarzystwa. Ma pani plany na dzisiejszy wieczór?
 - Czy pan mnie podrywa?
 - Oczywiście – odpowiedział z uśmiechem. Odwzajemniła go mimowolnie, chcąc ukryć swoje speszzenie.
 - Poznajmy się jeszcze raz, tym razem nieoficjalnie. Paweł – powiedział i wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęła mu dłoń. – Joanna – odpowiedziała.

Spędzili wieczór w polecanej przez nią restauracji. Lokal był utrzymany w odcieniach czerwieni, ciasny, ale przytulny, umiejscowiony niedaleko centrum. Zamówioną włoszczyznę

popijali lampką wina, świetnie się przy tym bawiąc. Ona całkowicie pozbyła się chłodnej postawy, z radością oddając się rozmowie. On, widząc, jak przez dziennikarską powagę coraz bardziej przebijają się zmysłowa kobieta, już nie mógł się doczekać, kiedy zerwie z niej ubranie.

Po kolacji zaprosił ją do siebie. Zgodziła się. Zamówił taksówkę i razem pojechali do hotelu, w którym wynajmował pokój. Na miejscu opróżnili jeszcze butelkę wina, dostarczoną do pokoju przez obsługę. Siedzieli obok siebie, na łóżku.

- Cholera, nie potrafię przestać patrzeć ci w oczy – powiedział do niej. – Masz naprawdę hipnotyzujący wzrok. Musimy się rozebrać, żeby wreszcie mógł spojrzeć na coś innego – zażartował. W odpowiedzi zachichotała dziewczęco.

Przysunął się do niej i, nie widząc oporu z jej strony, zaczął ją całować. Całkowicie mu się oddała. Kilka chwil później leżeli nago w łóżku. Asia miała piękną figurę, była szczupła, mając przy tym wydatne piersi i krągły tyłek. Nie mógł istnieć facet, którego by nie podniecała, a jej ziewające zielenią oczy dodatkowo wzmacniały ten efekt. Paweł kochał się z nią ze szczerą przyjemnością i zaangażowaniem, na które jej ciało zasługiwało.

Wszedł w nią powoli, przy akompaniamencie jej cichego westchnienia. Czuł słodki zapach drogich perfum uwalniający się z jej skóry. Oczarował go. Przyłgął do niej, chcąc jak najmocniej go czuć. Asia objęła go, przyciskając jeszcze mocniej do siebie. Czuł na sobie jej piersi, przyjemna słodycz bombardowała mu zmysł węchu, a hipnotyczna zieleń jej tęczywek przyciągała całą uwagę jego oczu. Nawet nie zdawał sobie sprawy jak był w tym momencie zniewolony, mimo tego, że to jego kutas ją wypełniał.

Tej nocy kochali się jeszcze dwa razy. Jednak nawet gdyby to było pięć, czy dziesięć razy, nie potrafił się nią nasycić.

Wstali przed południem. Zgodziła się zostać u niego na późnym śniadaniu. zaproponował, że zrobi, więc usiadła przy stole, czekając. On przygotował jajecznicę z tostami, a ona grzebała, jakby czegoś szukając, w swojej torebce. Kiedy skończył śniadanie nałożył im obojgu na talerz i podał jej jeden, po czym usiadł po przeciwnej stronie stołu ze swoim. Nadal patrzył na nią z pożądaniem, tym bardziej, że podobnie jak on, siedziała w samej bieliźnie. Magia nocy już jednak wyparowała.

- Proste, ale smaczne – uznała po paru kęsach.
- Dziękuję.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Jutro.
- Kolejny wykład?
- Tak – westchnął. – Tym razem w Warszawie.
- Nie wyglądasz na zadowolonego.
- Nie chodzi o to. Cieszę się, że ludzie tak chętnie i licznie przychodzą mnie posłuchać, ale... - zatrzymał się. Zjadł trochę jajecznicy.
- Ale co? - dopytywała.
- Czasami nie mam już siły wmawiać im, że są wyjątkowi, i że jeśli tylko będą gonić za swoimi marzeniami, to się spełnią.

Joanna patrzyła na niego w milczeniu, nie chcąc mu przerywać. Paweł, skoro już zaczął, mówił dalej. Od dawna chciał się tym z kimś podzielić.

- Życie jest jednym wielkim pierdolonym przypadkiem. To, czy się komuś uda, czy nie, zależy tylko i wyłącznie od szczęścia. Jasne, bez starania się nic nie można osiągnąć, ale to nie znaczy, że całe życie poświęcone swojej pasji gwarantuje sukces. Wielu ludzi harowało i haruje dużo ciężiej ode mnie, by mieć takie życie jak ja i gównie z tego mają. Taka jest prawda, ale tej prawdy nikt nie chce znać. Moi słuchacze chcą być okłamywani. Za to mi płacą. Chcą, żeby im sprzedawał marzenia o lepszym życiu, mimo, że większość z tego co mówię to stek bzdur, oczywistości, o których wie każdy,

tylko chcą je usłyszeć od kogoś mądrzejszego od siebie. Idioci...

- Naprawdę tak myślisz o swoich słuchaczach?
- Asia, nie znasz ludzi, którzy do mnie przychodzą. Dziewięćdziesiąt procent z nich szczerze wierzy, że jeśli mnie przez godzinę posłucha, to po powrocie do domu wydarzy się cud i nagle osiągną sukces. Są zadowoleni, bo przecież robią coś ze sobą. Później znowu przychodzą do mnie i znowu nic się nie stanie. Myślą, że ja za nich wszystko załatwię.
- No a te pozostałe dziesięć?
- Tylu próbuje coś osiągnąć. Udaje się może procentowi z nich. I nie dlatego, że ciężiej pracują albo bardziej się starają. Jedyne, co ich odróżnia od przegranych, to to, że mieli szczęście. Tylko to.

Zapadła dłuższa cisza, w której dokończyli jajecznicę. Paweł czuł, że jeszcze coś w nim siedzi.

- Nasz świat – kontynuował - istnieje właśnie dzięki tym przegrańcom. Dzięki tym, którzy bezmyślnie harują na etacie, a wieczory spędzają przed telewizorem albo zalewają pałę. Dzięki nim my możemy teraz pić wino i pieprzyć się w hotelowym łóżku.
- O to ci chodziło z tą zasłoną? – spytała najedzona, oparta o krzesło.
- Słuchałaś mojego wykładu?
- Trochę...
- I wyłapałaś tę zasłonę? – spytał, nie oczekując odpowiedzi. – Zasłona życia, dobre nie? Zbyteczne myślenie. Mentalna masturbacja prowadząca do nihilizmu. Odkrycie, że wszystkie ideały, wszystkie wyższe cele i wszystkie wartości są jak wydmuszki. Puste i sztucznie stworzone, a my gonimy za nimi, okłamując samych siebie... - westchnął.
- Ktoś tu chyba ma depresję – stwierdziła, patrząc na niego.
- To nie jest depresja, tylko zrozumienie pewnych rzeczy. Pojęcie bezsensu i przypadkowości istnienia.

Spojrzał jej w oczy. Nie dostrzegał w nich zrozumienia, tylko morze ostrej zieleni skrywającej pogardę. „Dlaczego miałyby mnie zrozumieć? Dlaczego w ogóle miałyby chcieć mnie zrozumieć?” – spytał sam siebie. Poczł mocne ukłucie samotności.

Joanna niedługo po tej rozmowie musiała wyjść do pracy. Ubrała się, pożegnała i wyszła na korytarz. Paweł zatrzymał ją w drzwiach.

- Czekał! Chciałem ci podziękować.
- Za co?
- Za to, że zechciałaś mnie wysłuchać. Widocznie musiałem to z siebie wyrzucić.
- Nie ma sprawy – odpowiedziała z uśmiechem.

Pożegnali się. Paweł zamknął za nią drzwi i wrócił do łóżka. Chciał jeszcze chwilę odpocząć.

Dwa dni później był już w Warszawie. Nowy pokój hotelowy przywitał go kwiatowym zapachem odświeżacza powietrza. Zostawił walizkę w przedsiionku i usiadł na łóżku.

Zadzwoiła komórka. Odebrał.

- Coś ty najlepszego zrobił?! – odezwał się jego menadżer. – Musiałem odwołać dzisiejszy wykład!
- Jak to odwołać? - spytał zdezorientowany. - Co się stało?
- Co się stało?! Co się kurwa stało?! Co ty nagadałeś tej dziennikarce? Popierdoliło cię?
- Przecież mówiłem to samo co w każdym poprzednim wywiadzie. Sam chciałeś, żebym z nią porozmawiał.

- Kurwa! Chodzi mi o ten wywiad, którego udzielałaś jej w łóżku. Zresztą sam posłuchaj. Wysłałem ci linka na maila.
- W łóżku? – Paweł nagle zrozumiał, o co chodziło. Nie chciał w to uwierzyć. – Dobra, zobaczę i oddzwonię do ciebie.

Rozłączył się. Wyjął laptopa z torby i wszedł na skrzynkę mailową. Była tam wiadomość od jego menadżera. Kliknął w otrzymany link.

Przekierowało go do Youtube'a. Nagranie dźwiękowe nosiło tytuł: „Wywiad z prawdziwym Pawłem Dryłem”. Usłyszał głos swój i Joanny, była to ich rozmowa, którą prowadzili przy śniadaniu. Mógł jeszcze raz posłuchać swoich własnych przemyśleń, a każde kolejne wypowiedziane słowo pograżało go coraz bardziej. Licznik wskazywał, że nagrania wysłuchało blisko sto tysięcy ludzi.

- Ty kurwo... - warknął pod nosem.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego menadżera. Odebrał od razu.

- Słuchałaś? - spytał.
- Tak... - Dławił go wstyd. - Co z tym zrobimy?
- Nie wiem, staram się usunąć nagranie z sieci, ale wiesz, jak działa internet.
- Wiem, kurwa...
- Paweł, powiedz mi, co ty sobie myślałaś?
- Nie wiem do cholery. Miałem chwilę słabości.
- Ta chwila słabości będzie cię kosztowała karierę człowieku!
- Nie może być tak źle – szukał nadziei. Kolejne pytanie z trudem przeszło mu przez gardło. - Ile spotkań odwołałaś?
- Wszystkie w tym miesiącu i pewnie w kolejnych będzie podobnie. Ludzie cię zlinczują jeśli się im teraz pokażesz.
- To co mam robić?
- Już wystarczająco zrobiłaś. Na razie najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz w cieniu. Nie wychylaj się.

Paweł rozłączył się. Nie chciał dłużej rozmawiać. Ręce trzęsły mu się z wściekłości.

- Ja mam pozostać w cieniu? – powiedział sam do siebie. – Ja mam kurwa pozostać w cieniu?!

Rzucił telefonem w ścianę. Komórka uderzyła o nią z trzaskiem, a dziesiątki kawałeczków rozsypały się po pokoju.

Amerykański sen

Nigdy wcześniej słowa nie układały się tak łatwo, nigdy wcześniej tak płynnie nie przechodziły w ciągi zdań i w całe akapity. Pisał na laptopie, a dźwięki wystukiwanych klawiszy układały się w monotonną, acz hipnotyzującą i wprowadzającą w trans melodię. Wreszcie ruszył z kopyta, a wywoływany przez to entuzjazm pchał go do przodu. W danym momencie nie istniało nic poza nim i historią przelewaną słowami na papier. Mijały godziny.

Krwisty blask zachodu słońca wypełnił pokój. Niedługo po tym zapisał finalne zdanie, finalne słowo, finalną kropkę. Długo czekał na ten moment. By nacisnąć „enter”, wyśrodkować i zapisać wieńczące całe dzieło: „koniec”. Pisał tak pod każdym skończonym tekstem. Był wtedy jak sportowiec, świętujący zwycięstwo, albo torreador tryumfujący nad powaloną bestią. Te kilka znaków na dole strony sprawiło mu równie dużo radości.

Odjechał na krześle od biurka. Przeciągnął się i wstał uśmiechnięty. Popatrzył za okno, na rozlewającą się po niebie czerwień, okrywającą swoim welonem miasto. Zatrzymał się na chwilę, oczarowany tym widokiem. Już jest zachód? - zauważył, wróciwszy do rzeczywistości. Spojrzał na zegarek. Minęła dziewiętnasta, co znaczyło, że zatopił się w pisaniu na bite trzy godziny. Wyszedł do kuchni.

Kinga stała przy piecu. Gotowała coś. Czerwień zachodu słońca wlewała się i tutaj, tworząc wrażenie egzotycznego kraju. Podszedł do Kingi i objął ją od tyłu.

- Co tam królowo? Co pichcisz? - spytał.
- Robię nam kolację.

Zerknął przez jej ramię na patelnię. Smażyła kurczaka z warzywami. Danie pięknie pachniało mieszanką przypraw: słodko i lekko pikantnie.

- Świetnie pachnie – przyznał. Odwróciła się do niego, by odpowiedzieć uśmiechem na komplement. Wykorzystał ten moment i pocałował ją. Uległa mu, jak zwykle zresztą.
- Co ty taki uradowany? - zapytała, wracając do mieszania kolacji.
- Mam dla ciebie dobrą wiadomość – zaczął. Nie mógł się doczekać, żeby się jej pochwalić. - Spójrz na mnie – poprosił. Dłońmi opartymi na jej biodrach dał znać, że chce, żeby się odwróciła.

Kinga pozwoliła sobie najpierw dosolić uprzednio przygotowywaną potrawę, a dopiero później go posłuchała. Odwróciła się, oparła o kuchenny blat i spojrzała mu w oczy. W ręce trzymała drewnianą szpatułkę.

Kochał jej oczy. Głęboki brąz jej tęczywek za każdym razem działał na niego hipnotycznie, zatapiał się w nim, jakby to tam, w jej oczach, był ten prawdziwy świat, do którego wejście było niemożliwe. Obecny mógł być w nim tylko, kiedy go obserwował. Efekt ten, choć dobrze mu znany i przyzwyczał się do niego, o dziwo nie tracił nic ze swojej mocy. Niewiele miał w świecie rzeczy, które samym swym wyglądem budziły w nim szczęście. Kinga, a w szczególności jej oczy miały tę właściwość. Kochał w niej to.

- Co to za wiadomość? - zapytała zniecierpliwiona.
- Skończyłem powieść – obwieścił, a kiedy to mówił, rozpierała go duma.
- Naprawdę?
- Naprawdę, i dziękuję ci za to.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Nie wiedziała za co jej dziękuje.

- Trudno mi to opisać, - kontynuował – ale twoja obecność dodawała mi niesamowitej siły i motywacji. Pisanie szło mi dużo łatwiej, odkąd się poznaliśmy. Byłaś, co ja mówię, jesteś moją muzą i właśnie za to ci dziękuję. - Rumieniec wylał się na jej twarzy, a oczy zabłysnęły od usłyszanego komplementu. Mimo to zapytała skromnie:
- Nie przesadzasz trochę?
- Ani trochę. I wiesz co? - przyciągnął ją do siebie. - Chyba nie wytrzymam do kolacji.

Mam na ciebie straszną ochotę. - Całował i dobierał się do niej.

- Powinieneś częściej kończyć powieści. - powiedziała, opierając się bardziej na pokaz, niż na poważnie. - Ale wystarczy, najpierw kolacja – zaznaczyła, on nie ustępował. - Hej, bo dostaniesz szpatułką – zagroziła. - Odstane będzie niedobre, wytrzymasz te pół godziny.
- No i masz, rzeczywistość znowu wygrała z romantyzmem – zażartował i, po chwili, widząc, że nic nie wskóra, niechętnie ustąpił.
- Chyba z dymaniem... - skwitowała.

Zaśmiał się. W gruncie rzeczy miała rację. Ostatecznie do dymania się to sprowadzało.

Chociaż...

- Czemu to tak splycasz? - powiedział z uśmiechem. - Dlaczego by nie dodać seksowi trochę magii? - spytał, choć nie oczekiwał odpowiedzi.

Ostatecznie stanęło na jej wersji wieczoru. Kinga nałożyła kolację na talerze i razem usiedli przy kuchennym stole. Danie smakowało wschodem. Kurczak był miękki i soczysty. Mieszanka słodkich i pikantnych przypraw, których użyła, bardzo przypadła mu do gustu. Zjadł ze smakiem i, gdyby nie miał lepszych planów na ten wieczór, pewnie wziąłby dokładkę.

Żadne jedzenie świata nie potrafiłoby zabić głodu, który właśnie odczuwał. Jego głód był innego rodzaju. Pochodził on skądś głębiej, wielu powiedziałyby, że z duszy, a jego zaspokojenie mógł zapewnić tylko inny człowiek. Jak wielkim nietaktem jest sprowadzenie tego metafizycznego głodu do prostego, przyziemnego pojęcia dymania? Najstraszniejsze jest to, że pozbywając się tej całej mgły wokół, zostaje tylko to pojęcie - „uprawianie seksu” albo gorzej: „dymanie”, czyste, gołe i prostackie.

Nie pozwolił sobie utonąć w rozterkach. Ujął Kingę za rękę i prowadził do sypialni. W pierwszej chwili opierała się, chciała uprzątnąć po kolacji. On jednak nie przyjmował sprzeciwu. Jego głód zaczął udzielać się także jej. Dalsze upieranie się przeciw erotycznej metafizyce nie miało sensu. Robert postawił na swoim. Po chwili Kinga ustąpiła i poszła za nim.

Była idealnym zwieńczeniem dzieła, które niedawno ukończył. Karmił się każdym centymetrem jej ciała. Zapach jej potu podniecał go, wzbudzał jeszcze większy apetyt. Kochali, uprawiali seks, różnili czy dymali się – nieważne. Zwał jak zwał. Dla nich, w tej konkretnej chwili, to było coś więcej. Po prostu coś więcej.

Nie spuszczała z niego wzroku, kiedy w niej był. On patrzył w jej oczy, które w słabo oświetlonym pokoju wydawały się czarne. Tonął w tej czerni. Spojrzenie Kingi go naraz onieśmiewało i doprowadzało do euforii porównywalnej z szaleństwem. Musiał odwracać wzrok, by, choćby trochę, ochłonąć. A miał na co patrzeć.

Jej piersi, jej filigranowa figura, jej cipka. Mógł tylko żałować, że nie jest w stanie ogarnąć jej wspaniałości w całości, naraz, jednym spojrzeniem. Wypełniał ją, a urzeczony ciepłem jej ciała, jej zwilgoceniem, sam o mało nie przeżywał spazmów boskiej wręcz rozkoszy.

Był na górze. Powtarzającemu się cyklowi wsuń-wysuń nadawał coraz większe tempo.

Jęki, coraz trudniej opanowywane, zaczęły wydostawać się z gardła Kingi. Najpierw pojedynczo, potem już w coraz dłuższych seriach.

Chcąc zwiększyć natężenie tej melodii wchodził w kochankę coraz zważniej.

Starła się utrzymać kontakt wzrokowy, ale nie dawała rady. Przytuliła się do niego.

Opadł z nią na łóżko i tylko ledwo podtrzymywał się lewą ręką, by całkiem Kingi nie przygnieść. Nie ustawał w swoich staraniach.

Kinga powoli traciła kontrolę nad ciałem.

Czuł to. Czuł jej piersi, jej ciepło, czuł też powoli zaczynające się drgawki.

Nie mógł wytrzymać dużo dłużej, ale walczył do końca.

Nagle jej uścisk nasilił się potężnie, jakby mu chciała urwać głowę.

Poczuł na sobie tańczące mięśnie ud partnerki.

Zaraz po tym wystrzelił.

Kilka dni później skończył nanosić korekty na swoją powieść. Gotowy tekst wysłał mailem do kilku liczących się wydawnictw. Był pewien swojego dzieła. Pewien na tyle, żeby ze spokojem oczekiwać pozytywnej odpowiedzi zwrotnej od przynajmniej jednego z nich.

Nie musiał długo czekać.

Poniedziałkowy poranek zaczynał jak zwykle leniwie. Obudził się sam. Kinga pewnie musiała wstać wcześniej, by zdążyć do pracy. Wygrzebał się z z łóżka po parunastu minutach. Po odbyciu porannej wizyty w toalecie zrobił sobie kawę – mocną i czarną. Jej aromat rozniósł się po kuchni.

Z kawą przeszedł do swojego pokoju. Usiadł przy biurku, włączył laptop i zalogował się na maila. *Hot girls in your neighbourhood; Jeszcze lżejsza pożyczka gotówkowa; Atrakcyjne promocje. Sprawdź!; Szybki zarobek w internecie; Podsumowanie operacji za kwiecień 2016; Przypomnienie o zwrocie dokumentów.* Przebijając się przez spam zauważył jedną, wyróżniającą się wiadomość. Nadawcą było jedno z wybranych przez niego wydawnictw. Kliknął w interesującego maila. Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu już po pierwszym przeczytanym zdaniu.

Panie Robercie Tkaczu,

Nasze wydawnictwo zapoznało się z nadesłaną przez pana powieścią i uprzejmie informujemy, że wywarła na nas wrażenie. Po wstępnych analizach rynkowych mamy dla pana dobrą wiadomość. Jesteśmy gotowi wydać pana dzieło pod naszym patronatem. Prosimy o jak najszybszy kontakt w celu rozpoczęcia działań w tym kierunku.

Napił się kawy. Równoległe z tym, jak jej ciepło rozgrzewało jego organizm, zaczęło rozpierać go poczucie dumy i niesamowitej radości. Sięgnął po paczkę papierosów leżącą na biurku. Wziął jednego. Potem rozsiadł się wygodnie na krześle i zapalił, a paląc, napawał się poczuciem własnej wielkości.

Dał się ponieść marzeniom. O sławie, o pieniądzach, o tym, że będzie mógł zobaczyć własne nazwisko na półkach księgarń, o ludziach, zaczytujących się w jego dziele, o ich spojrzeniach pełnych zachwytu, oczekujących na jego następne powieści, o tych wszystkich wieczorkach autorskich, które go czekały i na których będzie mógł napawać się własnym zwycięstwem. Dobrze wiedział, że w rzeczywistości wcale to tak nie wygląda, ale nawet rzeczywistość nie mogła popsuć mu tej chwili. Może jego marzenia ostatecznie okazywały się fałszywie naiwne, ale w tym jednym momencie, gdy nimi żył, były ekstatycznie prawdziwe i sprawiały mu niesamowitą frajdę.

Sięgnął po telefon. Wybrał numer do Kingi. Aż go nosiło, musiał się z kimś podzielić swoim szczęściem.

- Cześć – usłyszał głos swojej wybranki. - Coś się stało?
- Cześć królowo. Dostałem odpowiedź. Wydadzą mnie.
- Naprawdę?! - prawie krzyknęła, a jej głos znajdował się gdzieś w połowie między zaskoczeniem, a radością.
- Tak, naprawdę. Normalnie spełnienie marzeń. Niesamowite uczucie.
- Super Robert. Naprawdę się cieszę. Gratulacje, mój pisarzu.
- O której kończysz? - spytał.
- Tak jak zwykle, gdzieś w okolicach piętnastej.
- Świetnie, kupię wino, przygotuję coś dobrego i wieczorem będziemy świętować. Co ty na to?
- Dla mnie bomba, nie mogę się doczekać. Pogadamy w domu, bo już na mnie krzywo patrzą. Muszę wracać do pracy. Pa.

– Do popołudnia. Pa.

Jak proponował, tak zrobił. Poszedł na zakupy, wybrał wino i składniki potrzebne do kolacji. Przyrządził zapiekankę z serem pleśniowym i prostą sałatkę dla Kingi. Sama zainteresowana wróciła późnym popołudniem. Cały wieczór spędzili razem, jedli, pili wino i rozmawiali – o nic nieznaczących pierdołach, o sukcesie Roberta, snuli plany na przyszłość, które tego wieczoru układały się wyjątkowo optymistycznie. Świętowanie zakończyli w sypialni, kwitując cały wieczór oddaniem się słodkim, miłym uniesieniom.

Następne tygodnie upływały na załatwianiu formalnych spraw z wydaniem książki. Okazało się, że trzeba trochę pobiegać, by dopiąć wszystko na ostatni guzik. Robert robił to z przyjemnością, pełen energii, płynącej z wielkiego docenienia jego twórczości. Ani się obejrzał, a przyszedł moment pojawienia się jego dzieła w księgarniach. Książka sprzedawała się w nad wyraz dużym nakładzie, jak na debiut. Sprzedaż była na tyle satysfakcjonująca, że skierowała światła reflektorów na jego osobę. Z dnia na dzień przeszedł od nieznanego pisarza-hobbysty, do autora, którego nazwisko rozniosło się po kraju. Los uśmiechnął się do niego, otwierając przed nim drzwi do świata chwały.

Wszedł do pociągu. Był w drodze na któreś z kolei spotkanie autorskie. Wyglądał na ospałego. Korzystając z pustego przedziału, rozsiadł się wygodnie, oparł głowę o siedzenie i zamknął oczy. W czasie podróży mógł trochę odpocząć. Nadmierna aktywność związana z promocją książki wymęczyła go fizycznie, ale jego umysł pracował na wysokich obrotach, był ostry jak nigdy dotąd.

Nie dane mu było nacieszyć się samotnością i spokojem. Na kolejnej stacji usłyszał szmer otwieranych drzwi przedziału. Otworzył oczy. Młoda dziewczyna właśnie weszła do środka. Usiadła naprzeciwko niego. Popatrzył na nią z ciekawością. Blondynka, ubrana w przewiewną, czerwoną sukienkę zwężaną w talii, zgrabna i młoda, nie miała więcej niż dwadzieścia parę lat. Od razu zauważyła, że jej się przygląda. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Dziewczyna uśmiechnęła się skromnie, zachęcająco. Robert odwrócił wzrok, nie chcąc budzić lwa.

Przez kilka kilometrów jechali w ciszy, ale mimowolnie, co jakiś czas, zerkał na swoją towarzyszkę podróży. Nie uszło jego uwadze, że i ona spoglądała na niego. Starła się nawiązać kontakt wzrokowy, co starał się jej utrudniać. Znał spojrzenie, którym go darzyła. Wiedział dokąd ta znajomość może zabrnąć. Chyba tego nie chciał. Sam nie był pewien. Na pewno nie wybaczyłby sobie, gdyby zdradził Kingę.

Blondynce wreszcie udało się złapać jego wzrok.

– Dokąd? - odezwał się, jakby z automatu.

– Do Krakowa – odpowiedziała z uśmiechem. Osiągnęła swój cel.

Komedia przypadków, pomyślał i zaśmiał się sam do siebie.

– No proszę, to tak jak ja.

– Naprawdę?

Kiwnął głową potwierdzająco.

– Studiujesz? - kontynuował dialog.

– Tak, na AWFie. Jestem na piątym roku. Właściwie już kończę.

– O, to musisz być wysportowana.

Na dźwięk tych słów wygięła się ponętnie. Doszło do tego, czego się obawiał. Zaczęła z nim flirtować. Nogi, które wcześniej trzymała złączone, teraz założyła jedna na drugą.

– A co? Nie widać?

– Widać i to bardzo – potwierdził zgodnie z prawdą. Nogi miała smukłe i zgrabne, a gładka, zdrowo wyglądająca i opalona skóra opinała jej umięśnione, ale nie do przesady, ciało. Wcześniej tego nie zauważył, albo nie chciał zauważyć.

- Cieszę się – odpowiedziała, odgarniając kosmyk blond włosów z twarzy. - Dominika – przedstawiła się, podając mu dłoń.
- Robert, miło mi poznać – odparł i uściśnął jej rękę.
- Robert? Wydaje mi się, że cię skądś znam – zauważyła. Zaczęła przyglądać mu się, jakby szukała odpowiedniego wspomnienia. - Robert Tkacz, tak? - zapytała po chwili. - Ten pisarz? Dobrze mówię?
- Masz mnie – przyznał się, nie bez dumy. Było to dla niego coś nowego, ale lubił być rozpoznawany.

Oczy Dominiki zapłonęły nowym ogniem, kiedy jej przypuszczenia okazały się prawdziwe.

- Czytałam twoją powieść, świetna. Nie mogłam się oderwać. Taka beznadziejnie romantyczna i smutna. Prawie zakochałam się w bohaterze – mówiła jednym tchem. Robert słuchał jej z przyjemnością, karmiąc swoje pisarskie ego jej komplementami.
- Miło mi to słyszeć. Cieszę się, że się podobało.
- Co będziesz robił w Krakowie? - spytała.

Opowiedział jej o swojej serii spotkań autorskich. Słuchała go z zaciekawieniem. Obiecała, że przyjdzie na to odbywające się w Krakowie. Biegła i z gracją rozbijała wszystkie opory Roberta. Wiedziała, w jakie struny uderzać, co przynosiło zamierzony skutek. Szybko polubił swoją towarzyszkę podróży. Szczególnie za to, że patrzyła na niego jak na boga. Jeden ruch z jego strony, i mógłby spędzić dużo przyjemniejszy weekend, niż planował. Dominika wyraźnie do tego dążyła.

Przegadali resztę podróży. Do celu dojechali późnym popołudniem. Dzień chylił się już ku końcowi i, mimo sporego zachmurzenia i szarugi, krwisto-pomarańczowe promienie zachodzącego słońca przebijały się do ziemi, a tam, gdzie padały, świat przybierał różowawy, wręcz bajkowy odcień. Obydwoje wysiadali na dworcu głównym.

Wyszli przed budynek.

- Gdzie się zatrzymasz? - Dominika spytała go.
- Mam już załatwiony nocleg w Qubusie.
- Podwieźć cię? Mam tu samochód.
- Nie, daj spokój. Nie będę ci robił kłopotu. Pojadę taksówką.
- Żaden kłopot. Może i nie mam po drodze, ale Qubus nie jest daleko. Chodź, nie daj się prosić – przekonywała go. - Drugi raz nie zapytam – dodała z uśmiechem.

Zastanawiał się chwilę, patrząc na nią.

- No dobra – westchnął. - Samochodem zawsze wygodniej.
- Super! - prawie podskoczyła z radości.
- Gdzie zaparkowałaś?
- Chodź za mną – poleciała.

W rytmie tyrkoczących na chodniku kółek walizek przeszli na pobliski parking.

Samochodem Dominiki okazało się być czerwone audi i to jedno z nowszych modeli. Tylko tyle mógł o nim powiedzieć ze swoją znajomością motoryzacji. Jednego mógł być pewien, jeśli blondyna czegoś od niego chciała, to na pewno nie pieniędzy.

Wrzucili walizki do bagażnika, po czym wsiedli do samochodu.

Do hotelu faktycznie nie było daleko. Na miejsce dojechali w niecałe dziesięć minut.

Zatrzymali się tuż przed nim. Robert pociągnął za kłamek i otworzył drzwi. Dominika chwyciła go za rękę. Odwrócił się w jej stronę.

- Coś się stało? - spytał, patrząc na dłoń spoczywającą na jego przedramieniu.
- Mogę na chwilę wejść?

Nie mógł powiedzieć, że zaskoczyło go to pytanie. Tak czy siak wolałby go nie usłyszeć.

Patrzył jej w oczy. Zielone. Widział w nich płomień nadziei, który jednym słowem mógł albo ugasić, albo rozniecić.

- Dominika, ech... - walczył ze sobą. - To nie jest dobry pomysł.

- Czemu nie? - nie ustępowała i nie cofała ręki.
- W domu czeka na mnie dziewczyna...

Dominika zabrała rękę.

- Cholera, tak myślałam. Straszna szkoda.
- Przepraszam cię i dzięki za podwiezienie.
- Jasne, nie ma sprawy.

Otworzył szerzej drzwi i wysiadł z samochodu.

- Hej Robert! - zawołała go.
- No? - spytał schyliwszy się do niej.
- To może chociaż zaprosz mnie na kawę, co? Z chęcią bym się napiła przed jazdą do domu.
- Mogę, czemu nie? - zgodził się.
- Daj mi tylko zaparkować, okej?

Skinął głową i zamknął drzwi. Odjechała w kierunku podziemnego parkingu. To nie był dobry pomysł, to zaproszenie jej - pomyślał, śledząc wzrokiem czerwone audi.

Weszli do pokoju hotelowego. Robert odstawił walizkę w niewielkim przedpokoju. Kawę mieli im donieść za kilkanaście minut. Dominika przeszła już do salonu połączonego z sypialnią. Cały wystrój utrzymany był w kremowych kolorach, a z okien rozciągał się widok na panoramę miasta. Usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół.

- Całkiem nieźle to wygląda – stwierdziła po chwili.

Robert omiółł pomieszczenie wzrokiem.

- No, całkiem nieźle też kosztuje, ale akurat nie ja za to płacę, więc kogo to obchodzi? - uśmiechnął się.
- To kto za to płaci?
- Ci, którzy mnie tu ściągnęli na wieczorek autorski. - zauważył zdziwienie na jej twarzy.
- Mnie też to zaskoczyło, – mówił dalej, ubiegając pytanie – ale dlaczego miałbym odmawiać wygody, skoro sami mi ją zaproponowali?

Podszedł do okien, sięgających od sufitu do podłogi. Wieczorna panorama miasta, oświetlonego tysiącami światełek – lamp miejskich, zawsze prezentowała się pięknie. Tym bardziej z ósmego piętra, na którym się znajdowali.

- Uwielbiam ten widok – powiedział, wpatrując się w miasto.

Dominika podeszła. Stała obok niego.

- Faktycznie, jest w nim coś magicznego. Wygląda to cudownie.

Popatrzył na nią. Jej wzrok był teraz daleko, a lampy miasta odbijały się w jej oczach tysiącem iskerek. Wyglądała jak dziecko, pierwszy raz patrzące w ogień.

Odwróciła się w jego stronę. Zbliżyła o pół kroku.

Jego prawa ręka powędrowała na jej talię. Objął ją delikatnie.

Ona zarzuciła mu rękę na szyję.

Pocałowała go.

Miała miękkie i wydatne usta. Czuł coś słodkiego, kiedy ją całował. Nakręcało go to. Objął ją drugą ręką. Teraz czuł całe jej ciało. Jędrne i zgrabne. Nie kłamała, że uprawia sport. Przycisnęła się do niego mocniej. Boże, jak mu teraz było dobrze. Miał w ramionach dziewczynę, której większość facetów mogłoby mu tylko pozazdrościć.

Kinga.

Niesamowitym wysiłkiem woli oderwał od siebie ten cud natury. Wybiło ją to z rytmu.

- Przepraszam, nie mogę. - powiedział po chwili. - Nawet nie wiesz, jak bym tego chciał, ale kurwa nie mogę...

Dominika nic już nie powiedziała. W jej zielonych oczach mieszały się uczucia wstydu, żalu

i niespełnionej nadziei. Cofnęła się powoli, zabrała leżącą na łóżku torebkę, po czym wybiegła z pokoju.

Został sam.

Usiadł na łóżku i patrzył przed siebie. Gdzieś w dal, za okno, na miasto.

Zrobił dobrze. Wiedział, że zrobił dobrze. Tylko dlaczego tak źle się z tym czuł? Chcąc nie zdradzić swojej partnerki, musiał zdradzić siebie. Musiał odmówić sobie tego, czego tak naprawdę by chciał. Teraz stało się to jasne. Chciał przespać się z Dominiką, a nie zrobił tego tylko i wyłącznie ze względu na Kingę. Kinga stała się przeszkodą – myślał, a myśli te wzbudzały w nim poczucie winy.

Jestem złym człowiekiem? - pytał sam siebie. - Do cholery! Mam być zlinczowany za to, że chcę być sobą?

Potrzebował czasu, by zastanowić się, co dalej. Musiał dobrze przemyśleć swój następny krok.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Po którejś próbie z kolei Robert wstał i otworzył. Młody chłopak z obsługi hotelowej dostarczył obiecaną kawę. Robert podziękował mu oschle i odebrał tacę z dwiema pełnymi filiżankami, cukierniczką i paroma plastikowymi, jednorazowymi pojemnikami z mlekiem.

Postawił ją na stoliku i znów usiadł na łóżku. Długi czas gapił się na tańczące nad filiżankami opary kawy. Całkowicie przeszła mu ochota na wypicie jej. To był pomysł nieobecnej już Dominiki. Blondynki, z którą mógł spędzić upojną noc. Położył się na plecach i, mając w głowie tę słodko-gorzka myśl, po niedługim czasie zasnął.

Do rana kawa całkowicie wystygła.

Mimo energii, jaką zawsze napelniali go ludzie zbierający się tylko po to, by wsłuchiwać się we wszystko, co mówi, krakowski wieczór autorski był jednym z najgorszych w jego niedługiej karierze. Dręczące go myśli nie pozwoliły mu popłynąć na fali tej energii, do tego Dominika jednak się nie pojawiła. Nie skupiał się. Mówił krótko i zwięźle, opierając się na samych faktach i nie pozwalał sobie na żadne dygresje. Nie potrafił porwać tłumów. Nie dziś. Nawet na pytania swojej widowni odpowiadał półsłówkami, albo krótkimi zdaniami. Wszystko po to, by nie wdawać się w żadne dyskusje, by jak najszybciej to skończyć.

Zmył się zaraz po wypisywaniu autografów. Zabrał z hotelu swoje rzeczy i wymeldował się przed czasem. Pojechał do domu. Do Kingi. Musiał to załatwić.

Wszedł do mieszkania. Zamknął za sobą drzwi. Kinga przywitała go od razu, w przedpokoju.

- Cześć kochanie – powiedziała, tuląc się do niego.
- Cześć – objął ją. - Miło cię znów widzieć.
- Przyjechałeś trochę wcześniej. Coś się stało?
- Nie – skłamał. - Wszystko gra. Pójdę się rozpakować.

Kinga przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Miał wrażenie, jakby próbowała przebić go na wylot wzrokiem.

- Co? - spytał, nie wytrzymując napięcia.
- Nic. Właśnie kończę kolację, zjesz ze mną?
- Z chęcią, od paru godzin nic nie jadłem.
- Okej, to rozpakuj się, a ja wszystko przygotuję.

Tak zrobił. Przeszedł do sypialni, wyjął rzeczy z walizki i poupychał je do szafy. Później dołączył do Kingi w kuchni. Miała już wszystko przygotowane. Zostało tylko nałożyć danie na talerze.

Zrobiła leczo. Nałożyła im po porcji, a później usiadła przy stole.

- Pięknie pachnie – pochwalił ją. Kiedy spróbował, okazało się, że smakuje równie

dobrze.

- Jak było w Krakowie? - spytała.
- Zapowiadało się dobrze, ale ostatecznie nie wyszło najlepiej. Nie wiem czemu, to chyba nie był mój dzień – mówił ogólnikami.
- Było aż tak źle?

Przytaknął. - Nie chcę o tym mówić, przynajmniej nie teraz. Jestem zbyt zmęczony, muszę odpocząć.

- Ojej – wstała i usiadła mu na kolanach. - A myślałam, że spędzimy trochę czasu razem, jak przyjedziesz.
- Wiesz co? - przytulił ją do siebie. - Na to zawsze znajdę siłę.

Uśmiechnęła się i pocałowała go. Odwzajemnił pocałunek. Teraz jeszcze ciężiej będzie mu zrobić to, co postanowił. Nie chodzi o to, że nie chciał uprawiać z nią seksu. Bardzo tego chciał. Kochał ją, ale musiał pozostać szczery ze sobą.

Pieszczoty przeniosły się do sypialni. Tyle jeśli chodzi o bycie szczerym ze samym sobą. Patrzył na nią i napawał się, ten ostatni raz. Nie potrafił sobie odmówić tego ostatniego razu. Podziwiał jej brązowe oczy, ciemne włosy i filigranową figurę. Pochłaniał i zatapiał się w nią, jakby miał jej więcej nie zobaczyć, zapominając przy tym o otaczającym ich świecie. Seks z Kingą miał tę magiczną moc. Dlaczego dla niego to było za mało? Potrzebował wolności – tylko tyle przychodziło mu na myśl.

Jak ja jej to powiem, myślał przez cały czas. Wiedział, że nie widziała poza nim świata. Wiedział, że zrani ją do głębi chęcią rozstania i mimo wszystko wiedział, że musi to zrobić, pomimo całego uczucia, którym ją darzył.

Od rana nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Kinga wstała przed nim i poszła do pracy. Cały poranek chodził niespokojnie między pokojami. Dopiero po jednej godzinie i dwóch papierosach trochę się uspokoił. Zjadł szybkie śniadanie i zmusił się do czytania. Siedział w fotelu z książką, starał się coś z niej zrozumieć, ale jego wysiłki kończyły się fiaskiem. Każde słowo znikało z jego pamięci tak szybko, jak się tam pojawiała, jakby wertował puste kartki. Jego myśli krążyły wokół Kingi, nie umiał się ich pozbyć, ale mimo tego pochłaniał tekst, linijka po linijce. Lepsze to, niż chodzenie po mieszkaniu bez celu.

Popielniczka, wiernie służąca swojemu przeznaczeniu, stojąca na stoliku obok, powoli wypełniała się wypalonymi do połowy papierosami. Do południa zebrała ich już kilkanaście. Jeszcze trochę i zaczęłoby brakować w niej miejsca. Robert ciągle siedział w fotelu i, gdyby nie to, że zadzwonił telefon, siedziałby tak do powrotu swojej partnerki.

Odebrał. Dzwonił kierownik sali, w której ma mieć następane spotkanie. Miał tam jechać od razu z Krakowa, ale plany uległy zmianie. Potwierdził swoje przybycie i na tym rozmowa się skończyła.

Zjadł coś, umył się, wyszedł na spacer, wrócił i ponownie siadł w fotelu. Kontynuował lekturę. Kiedy to nieznośne oczekiwanie zaczęło doprowadzać go do szaleństwa, usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Kinga wróciła.

Wyszedł do niej. Wnosiła do kuchni torby z zakupami.

- Hej – uśmiechnęła się na jego widok.
- Hej – odpowiedział.

Zacząła wykladać towary na stół i opowiadać najnowsze plotki z pracy. Robert oparł się o framugę. Patrzył na nią, słuchał jej i zbierał siły.

- ... nienawidzę, kiedy wysyłają mnie w teren. Użeranie się z tymi wszystkimi ludźmi nie jest dla mnie, każdy próbuje być mądrzejszy ode mnie, a ja do tego muszę udawać słodką idiotkę i robić maślane oczy kiedy opowiadają mi te pierdoły...
- Nie możesz im powiedzieć, że nie ci się to nie podoba?

- Tak Robert, jasne, a miesiąc później dostanę wypowiedzenie. To nie jest takie proste, jak to sobie wyobrażasz. Cholera...
- Kinga... - wtrącił się.
- ... Nie kupiłam śmietany do obiadu.
- Kinga! - spróbował jeszcze raz.
- Co?
- Muszę ci coś powiedzieć.
- No to mów. - Nie przerywała segregacji.
- To może chodź do pokoju, co? To bardzo ważne.
- O boże, - powiedziała z przejściem i wreszcie oderwała się od zakupów – coś się stało?
- Chodź ze mną, zaraz ci powiem.

Posłuchała go. Przeszli do salonu i usiedli na kanapie.

Niecierpliwość narastała w oczach Kingi. Teraz, albo nigdy, pomyślał. Objął jej dłonie swoimi. Spojrzał jej w oczy.

- Przerażasz mnie – powiedziała.
 - Kinga, to dla mnie bardzo trudne. Poza tym z szacunku do ciebie nie będę owijał w bawełnę. - Wziął głęboki oddech. - Musimy się rozstać – wreszcie padły te słowa.
- Nic. Zero reakcji. Tylko nadal na niego patrzyła, jakby nie słyszała, co powiedział.
- Proszę cię, tylko nie milcz. Powiedz coś.
 - Żartujesz?! - odezwała się po chwili, przetrawiwszy zaskakującą informację.
 - Nie, - mówił spokojnie – przemyślałem to. Musimy się rozstać – powtórzył.
 - Jak to przemyślałeś? To od kiedy o tym myślisz?
 - Od pobytu w Krakowie.
 - Wiedziała! - krzyknęła. Wyrwała dłonie z jego objęć. - Zdradziłeś mnie, tak? Różnaś się tam z kimś?! - jej głos stawał się coraz bardziej chwiejny.
 - Nie Kinga, nie zdradziłem cię – starał się być opanowany. Ktoś musiał.

Zerwała się z kanapy.

- To o co ci kurwa chodzi?!
- Posłuchaj. - opowiedział jej krótko, co wydarzyło się podczas wyjazdu. O Dominice i o tym, że mógł się z nią przespać, ale tego nie zrobił.

Kinga słuchała cierpliwie. Daremnie starała się powstrzymać łzy. Jej piękne, brązowe oczy całkiem się przeszklily. Ikony smutku nieśmiało, powoli wyrywały się na policzki. Bolesny to był widok dla Roberta.

Przetarła policzek dłonią.

- Proszę Robert, dlaczego mi to robisz?

Wstał i podszedł do niej. Spróbował ją objąć. Odepchnęła go. Nie poddawał się i próbował dalej. Jej opór, początkowo silny, łamał się, tak jak i ona się łamała. Jego stonowana nieustępliwość przyniosła skutek. Kinga poddała się ostatecznie. Wziął ją w swoje ramiona.

- Nie wyjdziemy stąd, póki ci tego nie wyjaśnię – szepnął jej do ucha. Poprosił, żeby usiadła na kanapie. Tak też zrobiła.

Przyklęknął przed nią. Serce mu się łamało na widok jej zapłakanej twarzy. Musiał być silny, szczególnie teraz. Dla nich obojga.

- Dobrze wiesz, – zaczął mówić – że jesteś moją muzą, moim skarbem, przeżyłem z tobą najszczęśliwsze chwile w życiu. - Odwróciła wzrok, łkała. - Proszę cię królowo, patrz na mnie. Muszę ci to powiedzieć – nie chciała się odwrócić. - Dzięki tobie – mimo wszystko mówił dalej – skończyłem tę cholerną powieść i za to będę ci wdzięczny do końca życia. Za to, że byłaś moją muzą, moim niewyczerpującym się źródłem inspiracji, za to, że zawsze byłaś przy mnie i jedno spojrzenie na ciebie pozwalało mi pisać dalej.

Kocham cię za to i kochał będę zawsze, ale teraz... Musisz mnie zrozumieć Kinga. Dostałem swoją szansę, jedną na milion. Życie otworzyło przede mną swoje bramy. Muszę wykorzystać tę szansę. Gdybym został tu z tobą, może i miałbym spokojne sumienie, ale popełniłbym straszny grzech przeciw sobie. Zdradziłbym samego siebie. A nie chcę też robić ci krzywdy, więc muszę z tobą zerwać. Musisz to zrozumieć. Proszę cię, pozwól mi odejść. Jesteś piękną, cudowną i silną dziewczyną. Znajdziesz szczęście i beze mnie. Jestem tego pewien.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że zrywasz ze mną, bo chcesz sobie dymać bez zobowiązań?! - odarła prawdę z pięknych szat, w które ją przybrał. Kinga zawsze potrafiła przebić się przez jego kwieciste wypowiedzi.
- I tak, i nie. Jestem pisarzem. Potrzebuję nowych doświadczeń, żeby móc je przekuć na papier. Musisz to zrozumieć. Ale jeszcze bardziej niż tych doświadczeń, potrzebuję wolności. Za długo siedziałem w klatce. Złotej i cudownej, ale zawsze klatce.
- Jesteś ohydny! - krzyknęła. Odepchnęła go i wybiegła do łazienki. Podniósł się i od razu pobiegł za nią. Za późno. Zdążyła zamknąć drzwi.
- Kinga! - krzyknął do niej. - Nawet nie wiesz jakie to dla mnie ciężkie. Kocham cię, ale tak będzie lepiej. Może kiedyś przyznasz mi rację.
- Zostaw mnie! - usłyszał zza drzwi.

Chyba przyszedł czas, żeby odpuścić. Powiedział to, co miał powiedzieć. Starł się jak mógł, żeby jej nie skrzywdzić za bardzo – jakkolwiek głupio to brzmiało. Nic już tu więcej nie wskóra. W końcu ustąpił.

Musiał się przewietrzyć. Zabrał papierosy i wyszedł z mieszkania.

Kolejne spotkanie okazało się sukcesem. Jego słuchacze go uwielbiali, a on, czując to, nabierał energii do jeszcze większego oczarowania ich. Prawie zawsze, teraz też tak było, wśród jego czytelników znajdowała się dziewczyna chętna i na tyle ładna, żeby i on był chętny do przeciągnięcia tej znajomości o wieczornego drinka i jej nocną wizytę w jego pokoju hotelowym. Żył pełną piersią. Korzystał ze swoich przysłowiowych pięciu minut bawiąc się, uprawiając seks i jeżdżąc po kraju, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej.

Od Kingi nie miał wieści, odkąd się rozstali. Kilka razy próbował się z nią skontaktować, czasem w przypływie samotności, czasem po prostu próbując dowiedzieć się, co u niej, ale rezultat zawsze był taki sam. Nie odpowiadała. Rozumiał ją, ale to i tak bolało. Po kilku nieudanych próbach przestał dzwonić, mimo że wspomnienie o niej często do niego wracało. Nie mógł przekreślić, jakby nigdy nic, tak bliskiej więzi, która ich łączyła.

Tej nocy towarzyszyła mu Monika. Wypatrzył ją na wieczorku autorskim. Wyglądała na typową szarą myszkę – w codziennych ciuchach, minimalnym makijażu i włosach wyglądających, jakby po wstaniu tylko szybko je spięła w kucyk. Jeśli ledwie ogarnięta potrafiła przykuć jego uwagę, to musiała mieć coś w sobie.

I miała. Po zakończeniu podszedł do niej i się o tym przekonał. Była naturalnie śliczna. Przyćmiewała swoją urodą resztę obecnych tam kobiet. Nie chciał odpuścić takiej szansy. Po krótkiej rozmowie już ją miał. W tej sytuacji nie mogła mu się oprzeć. Tego wieczora, nastrojony przez tych wszystkich ludzi, był bogiem. Wiedziała to tak samo, jak on.

Udało się. Wylądowali w pokoju hotelowym. Cały proces przebiegał podobnie do wszystkich poprzednich. Kieliszek wina, rozmowa przeradzająca się we flirt, pierwszy intymny dotyk i niedługo po nim clue programu.

Przy tym ostatnim pozytywnie się zaskoczył.

Szara, wstydliva myszka, zaczarowana magią pościeli, szybko zmieniła się w kotkę, potrafiącą pokazać pazur. Próbowała go zdominować – widocznie taki fetysz – i pewnie by jej się to udało każdego powszedniego dnia. Tylko nie tego. Nie, kiedy Robertowi przekazano tyle energii

podczas występu. Musiał ja gdzieś rozładować, a nadarzyła się ku temu świetna okazja.

Rznął się z Moniką jak oszalały. Prawdę mówiąc, nie musiał się za bardzo starać. Przy tak pięknej dziewczynie był twardy jak skała, a biologia otrzymawszy potężny bodziec do działania skutecznie kierowała jego ruchami. Ciągłe było mu za mało jej delikatnego, bladego ciała dwudziestodwuletniej dziewczyny. Robił co mógł, by się nim nacieszyć. Sama Monika ostatecznie ustąpiła w walce o dominację, oddając się przyjemności płynącej z seksu.

Nagle nieznośny dzwonek telefonu rozszarpał intymną atmosferę.

Robert przerwał na chwilę. Sięgnął na szafkę nocną, gdzie położył komórkę. Chciał ją jak najszybciej wyłączyć i wrócić do zabawy ze swoją partnerką.

Jego kciuk już miał łądować na czerwonej słuchawce, gdy zobaczył, kto dzwoni. Kinga. Niemożliwe, ale tak pokazywał wyświetlacz. Robert momentalnie otrzeźwiał. Myślał, że ma to już za sobą, a w sekundę wyskoczył z łóżka. Myślał, że już mu nie zależy, a znikąd powróciły wszystkie natrętne myśli o niej. Myślał, że jest wolny, a ciągle do niej należał.

– Chyba sobie żartujesz?! - zawołała na jego widok, siedzącego na brzegu łóżka i nie zwracającego na nią uwagi. Szybko okryła się kołdrą.

Nie odpowiedział jej. Patrzył na telefon, jak zaczarowany. To było coś niesamowitego i tylko on mógł poczuć tę niewyjaśnialną niesamowitość, właśnie wtedy, właśnie w tamtym momencie. Odbierz idioto - wybił się z zamyślenia.

– Słucham – odebrał. Czekał niecierpliwie, aż usłyszy jej głos.

Telefon milczał.

– Halo? Kinga?

Nadal nic, głucho. Dlaczego się nie odzywała?

– Kinga, nie słyszę cię... - tyle zdążył powiedzieć, zanim usłyszał jakiś cichy dźwięk, a zaraz po nim charakterystyczne piknięcie, sygnalizujące zakończenie rozmowy. Spojrzał na ekran komórki. Rozłączyła się.

Wyświetlacz po chwili wygasł, ale nadal tępo gapił się na niego. Co to miało znaczyć, pytał sam siebie. Czemu nic nie mówiła? I ten dźwięk, tuż przed zakończeniem rozmowy. Mógłby przysiąc, że to było pociągnięcie nosem. Płakała? Jeszcze? Po tylu tygodniach?

Jadę do niej, zdecydował w jednym momencie. Najpierw jednak musiał załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Monika – odezwał się do zaniedbanej towarzyszkii. Kiedy się odwrócił, zauważył nie bez zdziwienia, że była już ubrana, gotowa do wyjścia i z całą pewnością obrażona. Nawet dobrze. Zaoszczędziła mu czasu, który musiałby poświęcić na wypraszenie jej.

– Gnój z ciebie, wiesz? - rzuciła na odchodne.

– Przepraszam – zdążył powiedzieć, zanim trzasnęła za sobą drzwiami. Nie wiedział, czy usłyszała. Mało go to teraz obchodziło.

Najbliższy pociąg miał dopiero nad ranem, co dawało mu ładnych parę godzin czekania. Wciągnął na siebie bokserki, potem wczorajsze ubranie. Spakował swoje rzeczy, by być gotowym do drogi.

Resztę czasu spędził na rozmyślanii. Nie zmrzył już tej nocy oka.

Przespał za to całą podróż pociągiem. Zasnął w pół godziny po zajęciu swojego miejsca w przedziale, przez co prawie przegapił przystanek. Na dworzec rodzinnego miasta wychodził na wpół przytomny. Dopiero kawa z miejscowej kafejki go otrzeźwiła.

Po wyjściu z dworca podszedł do najbliższej taksówki. Kierowca czytał gazetę przy na wpół uchylonych drzwiach.

– Dzień dobry, można? - spytał taksówkarza.

– Jasne. - Zwinął gazetę i rzucił na siedzenie obok. - Wsiadaj pan.

Robert poprosił o otwarcie bagażnika, chciał włożyć do niego walizkę. Gdy już to zrobił, usiadł na tylnym siedzeniu.

– Gdzie jedziemy? - spytał taksówkarz.

Podał mu adres mieszkania. Miał nadzieję, że zostanie w nim Kingę. Co prawda powiedział jej, że bez problemu może tam dalej mieszkać – on i tak ostatnimi czasy był w rozjazdach – ale cholera wie, czy tak zrobiła. Jedyne, co teraz mógł, to być dobrej myśli. Włączony silnik warknął, sygnalizując gotowość i już po chwili byli w drodze.

Dojechali na miejsce po kilkunastu minutach. Zapłacił kierowcy, wysiadł z taksówki i zabrał walizkę, potem podszedł do drzwi bloku. Otworzył je kluczem. Wszedł na klatkę, gdzie jeszcze był zmuszony czekać na windę. W nerwach dłużyła mu się każda kolejna sekunda, przez co niespełna minuta oczekiwania wydawała się trwać wieki. Winda w końcu zabrała go na dziewiąte piętro. Był na miejscu. Podszedł do drzwi, wziął głębszy oddech i nacisnął klamkę. Mieszkanie nie było zamknięte, co dobrze wróżyło. Ktoś musiał w nim być. Pełen obaw wszedł do środka.

Nikt nie wyszedł mu na spotkanie, ale usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z salonu. Zostawił walizkę w przedpokoju i poszedł w ich kierunku.

Siedziała w fotelu, z laptopem na kolanach. Najwidoczniej oglądała jakiś film albo program. Niesamowicie ucieszył się na jej widok, radość ta była porównywalna do spotkania najbliższego przyjaciela, którego nie widziało się przez lata. Kiedy tylko wszedł do pokoju, popatrzyła na niego wzrokiem pełnym zaskoczenia i niepewności. Nic nie powiedziała, nic nie zrobiła. Tylko siedziała i patrzyła, jak sparaliżowana. Najchętniej podbiegł by do niej i uściskał szczerze, z całych sił, tak jak w tych filmach, które kazała mu oglądać, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Przynajmniej nie teraz. Stał jak wryty, patrząc na nią.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział w końcu.

– Co tu robisz? - spytała, jakby z wyrzutem.

– Zadzwoiłaś do mnie.

– Nie chciałam.

– Płakałaś?

– Co?

– Kiedy do mnie dzwoniłaś, - wyjaśnił – płakałaś?

– Nie. Czemu miałabym płakać?

Podszedł bliżej niej.

– To dlaczego nic nie mówiłaś? Myślałem, że coś ci się stało.

– Nawet jakby, to co cię to obchodzi? Zostawiłaś mnie.

– Kinga, - westchnął – dobrze wiesz, że mnie obchodzi. Zależy mi na tobie.

Przestała na niego patrzeć. Wróciła do oglądania czegoś na laptopie.

– Niepotrzebnie przyjechałaś.

Sama do mnie zadzwoniłaś do cholery – już miał jej wypomnieć, ale powstrzymał się.

Zacisnął zęby w złości. Nie tak to sobie wyobrażał. Łudził się, naiwny, że po takim telefonie na jego widok od razu wpadnie mu w ramiona.

Zauważył, że popielniczka ciągle stoi na stole. Wyciągnął i zapalił papierosa. Usiadł w wolnym fotelu.

– Porozmawiasz ze mną, czy będziemy tak siedzieć?

Zamknęła laptopa. Odłożyła go na stół.

– Dobrze, skoro już tu jesteś... O czym chcesz rozmawiać?

Była nieprzejednana. Miał na nią coraz większą ochotę.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Mam cię znowu przeproszać?

– Nie zaszkodzi.

– Przepraszam – nie pamiętał, który raz to mówi, ale jeśli miało jej to pomóc... - Ale przyznaj, że też się cieszysz na mój widok. Przynajmniej odrobinę – mówił

żartobliwym tonem.

– Nie...

Kinga wszystkimi siłami starała się powstrzymać rysujący się na jej twarzy uśmiech, który tak nie pasował do jej aktualnej postawy. Robert tryumfalnie zgasił papierosa. Ukruszył, chociaż trochę, mur, który przed nim postawiła.

Wstał. Kinga obserwowała, co robi. Podeszedł i przykucnął przed nią.

– Chcę cię przytulić – zażądał.

Wydostała się z objęć kanapy i usiadła na jej brzegu. Wyciągnął do niej rękę. Z początku niechętnie dała się objąć, ale po chwili wtuliła się w niego z całych sił.

– Wiesz, że to i tak nic nie zmienia? - usłyszał jej głos.

– Tyle mi na razie wystarczy – odpowiedział.

Trwali tak przez parę minut.

– To co teraz będzie? - zapytała.

– Nie mam pojęcia, królowo...

Sprawa

- Gdzie?
- Tam, na samej górze. - Wskazał palcem na rogowe poddasze kamienicy. Było zaokrąglone, przypominało wieżę osadzoną na reszcie budynku. Z jednego okna wychodzącego na ulicę ziało skromną smugą światła.

Szybkim tempem weszliśmy do środka. Klatka schodowa trzymała się jeszcze nieźle, mimo że na pierwszy rzut oka było widać, że już od dawna potrzebuje remontu. Wbiegliśmy po schodach na ostatnie, piąte piętro.

Na miejscu przywitały nas uchylone drzwi do mieszkania. Zły omen. Spojrzeliśmy na siebie niepewnie.

- Nie zdążyliśmy? - spytał cicho.
- Wzruszyłem nieznacznie ramionami.

- Przekonamy się w środku – odparłem z wątpliwą nadzieją w głosie, licząc na inny scenariusz.

Wojtek, ostrożnie, uchylił bardziej drzwi i zajrzał do środka. Żadnej reakcji – ani z jego strony, ani z wnętrza mieszkania. Po chwili przestąpił próg. Dał mi sygnał, żebym szedł za nim.

Mieszkanie wyglądało tak, jak mógłbym je sobie wyobrazić wiedząc, kto tam mieszka. Urządzone gustownie, w staroświeckim stylu, ale z nowoczesnym polotem i klasą. Większość mebli to z całą pewnością odnowione antyki, a ściany przyozdobiono abstrakcyjnymi obrazami. Jednak cała gustowność wnętrza gubiła swój urok pod nieuprzątniętymi śmieciami, składającymi się z pustych butelek i puszek po alkoholu, niedomytych talerzy rozstawionych po kątach i opakowaniach po jedzeniu, w których rodziło się już nowe życie. Zapach stęchlizny wypełniał wszystkie pokoje.

Moje wstępne oględziny przerwał Wojtek.

- Nie zdążyliśmy – usłyszałem jego głos dochodzący z ostatniego pokoju, prawdopodobnie sypialni. Tyle że tym razem nie pytał, tylko stwierdzał fakt. Moja nadzieja na inny scenariusz poszła w cholerę.
- Już idę!

Stanąłem obok niego w, jak dobrze odgadłem, sypialni. Na rozkopanym łóżku leżał nasz delikwent. Martwy.

- Zajmiesz się tym? - spytałem chłodno.
- Zaraz, tylko ubiorę rękawiczki. - Wyjął ze swojej torby przewieszoną przez ramię parę białych, gumowych rękawiczek i wciągnął je na dłonie.

Podszedł do łóżka i przyklęknął przed martwym. Przesunął go z brzucha na bok i przyjrzał mu się wstępnie. Później zabrał się do dokładniejszych oględzin. Wojtek był kiedyś lekarzem polowym w wojsku, co niegdyś wszystkich szokowało, bo już na studiach okazał się wybitnie dobry w swojej sztuce i mógł sięgnąć dużo dalej niż marnować się w armii, ale z jakichś powodów podjął taką, a nie inną decyzję.

Nie było sensu sterczeć nad nim i patrzeć, co robi. Zostawiłem go w jego żywiole i wyszedłem do salonu, aby trochę lepiej się rozejrzeć.

Źródłem światła, które widzieliśmy z ulicy był wiszący pod sufitem, połączony żyrandol. Z trzech obsługiwanych przez niego żarówek świeciła tylko jedna. Skromne, żółte światło niewiele pomagało. Pozostawiało pokój w złocistym półcieniu. Wyjąłem z kieszeni kurtki podręczną latarkę.

Zapaliwszy ją podszedłem do bogato zdobionej, renesansowej meblościanki, zasłaniającej swoim ogromem prawie całą ścianę pokoju. Błyszczące od laminatu, rzeźbione na jej rogach postaci cherubinków patrzyły na mnie martwym, rozmarzonym wzrokiem. Poczuję się trochę nieswojo. Zajrzałem do szuflad, świecąc sobie latarką.

Poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Jedyne, co znalazłem to sterty papierów, przybory malarskie, trochę dupereli i całą szufladę poświęconą medykamentom. W tej ostatniej zaskoczyła

mnie spora liczba igieł i strzykawek. Dłonią, ostrożnie, przekopałem zawartość szuflady. Moim oczom ukazała się, ukryta wcześniej pod pudełkami po lekach, tyżeczka z osmoloną główką. „No to już wiemy, co to za leki” - pomyślałem. Otworzyłem kilka pudełek. Prawie wszystkie były już puste, ale w jednym znalazłem woreczek z ziołem.

Otworzyłem pakunek i powąchałem dla pewności. Przykro-słodki zapach zbombardował mój nos swoją intensywnością. „Marihuana” - potwierdziłem sam sobie. Schowałem znalezisko do kieszeni i zamknąłem szufladę.

Aniołki nadal mnie obserwowały. Odwróciłem się od meblościanki i na powrót lustrowałem salon w poszukiwaniu czegokolwiek. Nic szczególnego nie zauważałem. Stary, kineskopowy telewizor stał na szafce podobnej do meblościanki, naprzeciwko brązowa, skórzana kanapa aż zapraszała, by w niej usiąść, a pomiędzy nimi stół – potężny, prostokątny, drewniany, ze zdobionymi rantami i nogami. Na ścianach poza starym zegarem wisiały wspomniane wcześniej obrazy. Prawie wszystkie reprezentowały sobą postmodernistyczne bazgroły, tylko jeden, wiszący nad kanapą, się wyróżniał. Był to portret jakiejś kobiety, raczej nic znanego, ale na pewno stylizowane na okres oświecenia.

Położyłem latarkę na stole, po czym sięgnąłem do kieszeni po papierosy. Odpaliłem jednego. W tej samej chwili Wojtek wyszedł z sypialni. Nadal miał ubrane gumowe rękawiczki.

- I co? To samo co poprzednio? - spytałem.
- To samo – potwierdził.
- Cholera...

Podszedł do mnie. Ściągnął rękawiczki i rzucił je na stół.

- Daj mi jednego.

Wyciągnąłem ku niemu paczkę szlufów.

Paliliśmy przez parę minut w milczeniu. Kontemplowaliśmy otaczającą nas sytuację, starając się wpaść na jakieś genialne rozwiązanie.

Wojtek odezwał się pierwszy.

- Znalazłeś coś?
- Trochę sprzętu do brania w żyłę, poza tym nic.
- W takim razie jesteśmy w dupie.

Westchnąłem i kiwnąłem potwierdzająco głową.

- Przeszukałeś sypialnię?
- Tak.
- Powiedz, że coś masz.
- Tylko ubrania i parę książek...

Liczyłem na inną odpowiedź. Jakąkolwiek, byle pozytywną.

- Kurwa. - Zdusiłem papierosa na blacie stołu.
- ...ale – dodał po chwili – przy naszym delikwencie znalazłem portfel i telefon. Nie wiem, czy na coś się przydadzą. - Wyjął z kieszeni oba przedmioty, by mi je pokazać.

Wziąłem portfel, z telefonu i tak nie było w tym momencie użytku – rozładował się.

W środku znalazłem trochę drobnych, poza tym kilka plastików, posortowanych w kieszonkach po lewej stronie. Spośród nich wyjąłem dowód osobisty.

Mimo, iż wiedziałem, kim był martwy, to i tak przebiegłem wzrokiem po jego danych. Tomasz Żbik, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy. Myślałem, że był starszy. Na zdjęciu miał maksymalnie osiemnaście lat, uśmiechnięty, z naturalną jeszcze, a nie wymodelowaną fryzurą i bez zarostu. Prawie nie przypominał dzisiejszego siebie.

Wsunąłem dowód z powrotem do portfela.

- Znałeś go? - spytał Wojtek.
- Nie na tyle, żeby było warto o tym mówić. Spotkaliśmy się kilka razy, wymieniliśmy parę poglądów, ale poza tym nic szczególnego nas nie łączyło.

- Może wiesz coś, co może nam pomóc?
- Nie wydaje mi się.
- Spróbuj sobie przypomnieć, cokolwiek...
- Stary, nie mów do mnie jak do zapłakanego krewnego. Jakbym coś wiedział, to bym ci powiedział.
- Dobra, spokojnie. Tylko, że to jest trzeci taki przypadek, a my dalej nic nie mamy.
- Myślisz, że o tym nie wiem? Coś tu w chuj nie gra, tylko pytanie, co?
- Dowiemy się, musimy. - Rozejrzał się wokoło. - Ale teraz wyjdźmy stąd, już mnie ciarki przechodzą od przebywania tutaj. Z dworu zadzwonię po ekipę, wezmą ciało i przy odrobinie szczęścia znajdą coś, co przeoczyliśmy. - Znalezione portfel i telefon schował w swojej torbie, po czym skierował się ku wyjściu.

Myślałem, że tylko ja czuję się tu nieswojo, ale widocznie byłem w błędzie. Zostałem w salonie sam. Twarze aniołów z meblościanki niezmordowanie mnie obserwowały. To samo teraz robiła kobieta z portretu. A może od początku patrzyła na mnie, tylko dopiero teraz to zauważyłem?

Czułem, że coś tu jest. Ten pokój miał jakąś tajemnicę do odkrycia. Albo po prostu dostawałem paranoi od tych ciągłych spojrzeń.

- Idziesz?! - usłyszałem Wojtka z klatki schodowej.
- Wyrwał mnie z zadumy. Sprawdziłem po kieszeniach, czy niczego nie zostawiłem.
- Idę! - odkrzyknąłem.
- Wyszedłem na zewnątrz.

Do swojego mieszkania dotarłem po północy. Całą drogę powrotną myślałem nad sprawą. Mina Wojtka, który prowadził, mówiła to samo. Już dawno nie dostaliśmy tak trudnego zlecenia. Niecały tydzień, trzy trupy i kompletnie żadnego punktu odniesienia. Byliśmy w kropce i nie zapowiadało się na żaden przełom.

- Coś przeoczyliśmy – stwierdziłem, kiedy podjeżdżaliśmy pod mój blok.
- Co? Przecież nic więcej tam nie było.
- Nie wiem, ale mam nieodparte wrażenie, że rozwiązanie jest bliżej, niż nam się wydaje. Wojtek zaparkował przed budynkiem.
- Też coś mi tu nie gra, ale dzisiaj już nic nie wskóramy. Daj sobie odpocząć, jutro też jest dzień – poradził mi.
- Nie wiem czy zasnę – powiedziałem, wychodząc z auta. - W tym mieszkaniu była odpowiedź...
- Nie męcz się tak. Jutro tam wrócimy z nowymi siłami. A tymczasem Artur, dobrej nocy, spróbuj się przespać. Radzę ci to jako lekarz. - Uśmiechnął się.
- Jasne. Do jutra stary.
- Do jutra.

Zamknąłem drzwi samochodu. Próbowałem odprowadzić go wzrokiem kiedy odjeżdżał, ale nie widziałem wiele poza dwoma rażącymi oczami światłami. Kiwnąłem jeszcze ślepo ręką na pożegnanie, a później ruszyłem w swoją stronę.

Nie posłuchałem rady partnera. Zamiast położyć się spać usiadłem w fotelu i starałem się coś ułożyć z tego, co do tej pory odkryliśmy. Trójka zupełnie nie powiązanych ze sobą ludzi umiera w ten sam sposób, w swoich mieszkaniach, wszystko wskazuje na samobójstwo; żadnego motywu mogącego chociaż nakreślić kierunek szukania sprawcy, nikt nic nie widział, nikt nic nie wie, rodzina ostatnio widziała się ze zmarłymi ponad miesiąc temu. Według naszej hipotezy sprawca pozoruje samobójstwa i robi to tak dobrze, że dopiero przy trzecim morderstwie oficjalnie przydzielono nam tę sprawę. Niewiele wymyślił, jak na doświadczonych detektywów.

Choćbym chciał, nie potrafiłem połączyć tego w spójną teorię. Za mało danych, za dużo szukanych. Dodatkowo myślenie utrudniało mi coraz większe zmęczenie, ale nie chciałem się

poddać. Czułem, że coś nam umknęło.

Przypomniałem sobie o „skonfiskowanej” marihuanie. Może lekkie otępienie zmysłów pomoże na coś wpaść, spojrzeć na to z innej strony? W ostateczności zasną w fotelu i przynajmniej, tak jak mi radził Wojtek, wyśpię się przed jutrem.

Przesiadłem się na krzesło przy biurku. Zapaliłem lampkę nocną i wyjąłem z kieszeni woreczek z ziołem i papierosy. Jednego papierosa rozmontowałem wyjmując z niego filtr i wysypując tytoń. Zamiast firmowego filtra włożyłem pocięty kartonik, a zioło z domieszką tytoniu nabiłem do pustej tutki. Tak przygotowanego „papierosa” odpaliłem.

Pierwszy raz zaciągnąłem się mocno, łapczywie. Strasznie gryzło. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz paliłem trawę, ale towar był mocny. Już po trzecim buchu byłem nieźle upalony.

– Tego mi było trzeba – powiedziałem sam do siebie.

Wróciłem na fotel. Lampkę nocną zostawiłem włączoną. Paliłem prowizorycznego blanta, otępiając się coraz bardziej. Obrazy z ostatniego miejsca zbrodni nie opuszczały moich myśli. Problem w tym, że trawa zdominowała moją głowę tak, że nie byłem w stanie ich przeanalizować. Przypomniały mi się cherubiny z meblościanki, spojrzenie ich rzeźbionych w drewnie oczu. I ta kobieta z portretu nad kanapą, jej wzrok i ironiczny uśmiech, jakby coś przede mną ukrywała wiedząc, że tego nie znajdę. Jedyna w swoim rodzaju, wśród reszty nic nie przedstawiających malowideł.

Czyżby?

Aż wyskoczyłem z fotela. Zatoczyłem się na nogach. Byłem upalony. Czyżby odpowiedź w jakiś sposób była ukryta w obrazie? Miało to sens? Sam nie wiedziałem. Na haju nawet najgłupszy pomysł może wydawać się genialny, ale przynajmniej się pojawił. Oprócz tego nie mieliśmy żadnych innych tropów.

Musiałem to sprawdzić. Inaczej nie zmrużyłbym oka. Najwyżej zrobię z siebie idiotę.

Wziąłem klucze i wyszedłem z mieszkania.

Jechałem własnym samochodem. Wiem, głupi pomysł, by prowadzić w tym stanie, ale nie chciałem tracić czasu. Po drodze wysłałem Wojtkowi smsa z informacją, że „coś mi przyszło do głowy i wracam na miejsce zbrodni, by to sprawdzić”. Do celu dotarłem w niecałe pół godziny.

Tak jak poprzednio, i na zewnątrz i na klatce schodowej cisza, jak makiem zasiał. Drzwi do mieszkania martwego zostały zalakowane – sygnał, że nasza ekipa już skończyła robotę. Nie zastanawiając się długo, złamałem lak i wszedłem do środka.

Wewnątrz panował mrok. Przeszedłem do salonu i włączyłem światło. W żyrandolu ciągle świeciła jedna żarówka. Ogarnęło mnie przemożne uczucie niepokoju, kiedy tylko ponownie się znalazłem. Marihuana dodatkowo podbijała ten stan. Na miejscu niewiele się zmieniło, poza tym, że razem ze zwłokami zniknęła większość śmieci.

Nie chciałem przebywać tu dłużej, niż musiałem, więc od razu zabrałem się do sprawdzenia mojej teorii. Podeszedłem do portretu i przyjrzałem mu się. Namalowana brunetka nie pozostawała mi dłużna i gapiła się na mnie. Na pierwszy rzut oka obraz niczym się nie wyróżniał. Sięgnąłem rękami, by go zdjąć. Bingo!

Kiedy ściągnąłem go z gwoździ, na których wisiał, moim oczom ukazała się prostokątna dziura w ścianie, jakby przygotowana na zamontowanie weń sejfu. Jednak zamiast sejfu, w środku leżało coś innego.

– Odkryłem twoją tajemnicę – powiedziałem tryumfalnie do trzymanego w rękach obrazu.

Kobieta na nim dalej uśmiechała się ironicznie.

Odłożyłem strażniczkę sekretu na stół, po czym sięgnąłem po do niedawna ukryty przedmiot.

Ze skrytki wyjąłem jakiś notes, brązowy kolor okładki ścierał się już ze starości. Poza swoją firmową objętością był grubo wypchany dodatkowymi, powciskanymi do niego kartkami. Może dzięki niemu znajdę wreszcie jakiś trop. Otworzyłem gdzieś pośrodku, na losowej stronie.

Czwartek

Nie mam już siły. To uczucie... Za dużo jak dla mnie. Czemu w ogóle dałem się w to wciągnąć? Nie wystarczy mi siły. Kurwa! Nie wystarczy mi życia do cholery! Dla kogo to wszystko robię? Po co to wszystko robię? Dla siebie? Niemożliwe. Kto by chciał cierpieć takie katusze dla samego siebie?

Znikąd pomocy. Ci ludzie tylko patrzą, czekają na moje najmniejsze potknięcie. Jeden błąd by zrównali cię z ziemią ku swojej własnej ucieście. Wy kurwy! Nie dam wam tej satysfakcji, nie będę patrzył biernie jak mnie zabijacie. Czuję pętlę na szyi. Zaciska się. Jak się tego pozbyć? Skurwiele!

Chcę, żebym oszalał. O nie, nie ja. Jestem dla was za mocny. Wszystkich was zabiję. Nie, to ostateczność. Trzeba inaczej. Wygram z wami w waszej grze. Mam pomysł. Wypali. Musi wypalić...

Tutaj wpis się urywał. Wyglądało to na notatki szaleńca. Nie powiedziałbym, że Tomasz był szalony, kiedy ostatni raz go widziałem. Mógłby tak dobrze ukrywać to, co działo się w jego głowie? Mało prawdopodobne. Ci ludzie, o których tu pisał... Mania prześladowcza, czy naprawdę miał z kimś na pieńku? Każdy człowiek o zdrowych zmysłach postawiłby na to pierwsze i dał sobie spokój, ale jako detektyw musiałem założyć drugą możliwość. Ktoś życzył mu śmierci albo nawet zmusił do samobójstwa. Ale kto? Musiałem czytać dalej.

Otworzyłem notatnik na jednej z ostatnich stron. Masa nieczytelnych bazgrołów i jakies rysunki. Nie miałem pojęcia, co przedstawiały. Jeśli miałbym opisać to, co widziałem, to powiedziałbym, że są to figury geometryczne, nakładające się na siebie i przenikające się w niezrozumiały dla mnie sposób. Twory szaleńca – co do tego nie było wątpliwości. Tylko kto doprowadził go do takiego stanu?

Wróciłem na ostatnią stronę, z której dało się coś wyczytać. Notatka, według daty, była sprzed tygodnia.

Piątek

Nieudacznik, nieudacznik, nieudacznik, nieudacznik, nieudacznik. Ciągłe ci nie wychodzi! Jak mogłeś podejmować to wyzwanie? Jesteś za słaby, jesteś nikim, zjedzą cię, tak jak zjedli niezliczoną liczbę tobie podobnych. Czujesz to tchnienie? O tak, zachłyśnij się nim. Nic ci już nie zostało, walka nie ma sensu. Wiesz o tym. Miotasz się jak zwierze w klatce. Nie wydostaniesz się, zostaniesz tu na wieczność. Szarak, nikt, nikogo nie obchodzisz. Zrób sobie przysługę i poddaj się. Przyjmij prawdę ze spokojem. Nie chcesz przed końcem męk zaznać spokoju? Wiem, że chcesz. Tylko przestań wierzyć i daj się objąć nicości.

Nienienienienienienienienienie muszę tak blisko czemu nikt nie pomaga zostałem sam wygram nie wygram oszalałem czy ja jeszcze wiem co robię muszę rysować ideał moje dzieło jak ja się nazywam Tomek na pewno nie wiem dzieło dokończyć za bardzo piecze niewiele czasu pomocy nie ja sam zdolny zdolny

Nie trzeba być psychologiem. Ostra schizofrenia. Zaczynałem tracić nadzieję na wydobyć z tych zapisków jakiegokolwiek pomocnej informacji.

Kartki powtykane luzem do notatnika pokryto rysunkami. Im dalej posuwało się szaleństwo, tym bardziej złożone konstrukcje widniały na papierze. Wyjąłem jedną kartkę i przyjrzałem się nieznanemu. Autor uwięził w kwadracie trójkąt „tańczący” na okręgu. Po bokach rysunku ciągnęły się nic mi nie mówiące wyliczenia. Całość podpisano jednym słowem: „perspektywa”. Była to jedna ze starszych prac. Te młodsze cechowało dużo większe skomplikowanie, doprowadzane wręcz do przesady. Niestety, ciągle nic pomocnego dla śledztwa.

Musiałem odsapnąć. Wręcz czułem, jak czytanie tych wypocin niekorzystnie wpływa na moją psychikę. Nic dziwnego. Ciągłe byłem na haju, przez co miałem wyostrzoną wrażliwość. Trawa musiała podbijać moje stany świadomości.

Położyłem notes na stole, obok obrazu „strażniczki tajemnicy”. Sięgnąłem do kieszeni

kurtki po papierosy i zapalniczkę. Usiadłem na skórzanej kanapie i zapaliłem dla załagodzenia nerwów.

Chociaż miałem wątpliwości co do wiarygodności treści zawartej we wspomnieniach zmarłego, to jednak jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Czy to możliwe, żeby człowiek mógł tak po prostu oszaleć? Pstryk, jedna zapadka w mózgu się przesuwa i już, jesteś wariatem? Nie chciałem w to uwierzyć. Poprzednie ofiary nie prowadziły żadnych zapisków. Skończyły tak jak Tomasz? Oszalały? Mało prawdopodobne, ale jeśli...

Intuicja podpowiadała mi, że stało za tym coś więcej. Musiałem znaleźć moment, w którym to się zaczęło. Tylko tak mogłem mieć jakiegokolwiek szanse, by poskładać tę gównianą sprawę w całość. Sięgnąłem po notes.

Z papierosem w lewej i opasłym zeszytem w prawej ręce po raz kolejny zabrałem się za lekturę. Szukałem momentu zapalnego. Iskry, która mogła strawić w ogniu szaleństwa całego człowieka. Przy odrobinie szczęścia tą iskrą okaże się konkretny sprawca. Jakiś wybitny szarlatan – przecież wielu takich we współczesnym świecie.

Skrupulatnie cofałem się w zapiskach. Presja stworzenia wybitnego dzieła, którą Tomasz opisywał, malała z każdym poprzednim dniem, aż dotarłem do czasów, w których była tylko młodzieńczym, wyidealizowanym marzeniem. To, czego szukałem musiało zdarzyć się gdzieś w tym okresie czasu.

Chyba coś znalazłem. Tak! Mam to! Według daty wpis pochodzi sprzed ponad miesiąca.

Wtorek

To był dziwny dzień. Byłem na wystawie, by jak zwykle podpatrzeć parę trików od najlepszych w tym fachu. Tylko mistrzowie potrafią ukraść pomysł i zrobić to lepiej, co nie? Moje magnum opus potrzebowało świeżej inspiracji, więc przechadzałem się po galerii szukając motywów godnych mojego dzieła. Kilka najciekawszych przerysowałem i zostawiam przy tym wpisie.

Wszystko działo się tak jak za każdym poprzednim razem i nie byłoby o czym wspominać, ale w pewnym momencie, kiedy przyglądałem się jednemu obrazowi, zaczęła mnie jakaś kobieta.

Ładna, typ damy. Okazało się, że jest to dyrektorka wystawy – że też nie poznałem po jej eleganckim stroju. Powiedziała mi, że często widuje mnie w galeriach i że zawsze wyglądam na wyjątkowo zainteresowanego wszystkimi dziełami. Odpowiedziałem, że jestem malarzem i szukam inspiracji przy pracy nad moim najlepszym dziełem. Dawniej unikałem mówienia o tym, że jestem malarzem, ale zmieniłem podejście gdy zrozumiałem, jaki z tego tekstu wabik na dupy. Myślałem, że i tym razem zadziałało.

Powiedziała, że jeśli myślę o malowaniu na poważnie, to może mi pomóc. Chciała mi coś zapisać, więc podałem ten notes. Jakie było moje zdziwienie, kiedy odkryłem, że zamiast swojego numeru zapisała mi jakiś adres. Nie wiem, czy jej, ale nie omieszkać sprawdzić.

Zapisała mu adres. Wreszcie jakiś trop. Tylko gdzie on jest? Powinien być w tym notesie, ale nigdzie go nie widziałem. Przekartkowałem notes i nic. Wróciłem do tej notatki. Wtem zauważyłem, że spory kawałek kartki u dołu strony oderwano. Cholera... Myśl Artur, jak go odzyskać?

Przy odrobinie szczęścia ta kobieta z wystawy pisała na tyle mocno, by odcisnąć treść na kolejnej stronie. Potrzebowałem ołówka. Zgasilem papierosa na podłodze i podniosłem się z kanapy. O ile pamięć mnie nie myliła, w jednej z szuflad meblościanki było trochę przyrządów malarskich. Zajrzałem do niej.

Paleta, różnej grubości pędzle, pojemniki z farbami, trochę śmiecia i jest ołówek, nawet naostrzony. Znalazłem. Wróciłem z notesem do stołu.

Kreśląc po następnej stronie w poszukiwaniu odbitego tekstu czułem się jak w jakimś starym filmie detektywistycznym. Delikatnie i z nadzieją pokrywałem szarością spód kartki. Pokaż się adresie, nie rób mi tego. Zamalowałem już połowę i nadal nic. Czyżby to nie tu go zapisała? Dół

strony oderwano bez powodu? Kreśliłem dalej. Bez efektów dotarłem do marginesu. Płomyk nadziei kurczył się z każdym kolejnym zakreślonym milimetrem. „Pusto” - pomyślałem. Sekundę później ujawnił się pierwszy odporny na szarość ołówka wzór. Kraniec marginesu! Tam ujawniła się odbitka adresu zapisanego ładnym, kobiecym pismem.

Żeromskiego 1/6. Kojarzyłem ulicę. Była blisko centrum, wypełniona sklepami ulokowanymi na parterze starych kamienic. Nic interesującego. Do teraz.

Sięgnąłem do kieszeni po telefon. Wyszukałem w kontaktach Wojtka. Zadzwoiłem.

- No siema, nie dasz się człowiekowi wyspać, co? Dostałem twojego esemesa, właśnie schodzę do samochodu i jadę do ciebie. Jesteś ciągle na miejscu?
- Cześć, jestem, ale nie jedź tutaj. Mam coś. Znalazłem jego notes.
- Dziękujemy bogu za megalomanię artystów, co nie?
- Dokładnie. Chłopakowi nieźle odbiło. Zwariował pod koniec życia. W jednym z ostatnich normalnych wpisów znalazłem adres. Zapisz sobie: Żeromskiego 1/6. Powinniśmy się tam czegoś dowiedzieć.
- Żeromskiego 1/6 – powtórzył. - Dobra, mam. Widzimy się na miejscu?
- Tak, zaraz ruszam.

Nagle usłyszałem za sobą kobiecy głos.

- Cześć – powiedziała nieznajoma.

Odwróciłem się na pięcie w jej kierunku. Reszta działa się w ułamku sekundy. Zanim zdążyłem się jej przyjrzeć, poczułem piorunujący ból w żołądku. Tam padł pierwszy cios. Aż zwało mnie na kolana. Telefon wypadł mi z dłoni. Drugi cios dostałem w szczękę. Jakby pociąg we mnie wderzył. Niemożliwe, żeby kobieta była tak silna. Niestety, nie zauważyłem, czy ktoś z nią był. Padłem na podłogę. Robiło się ciemno. Zemdląłem.

- ... Widzimy się na miejscu?
- Tak, zaraz ruszam.

Gdzieś w tle usłyszałem „cześć”, kobiecy głos. Artur przyjechał z kimś na miejsce zbrodni?

- Artur? Kto to był? - spytałem, ale odpowiedziała mi cisza. - Artur, słyszysz mnie? Artur?! - Tylko jakieś szmery, żadnej odpowiedzi. Nagle trzask, jakby telefon upadał na podłogę. Coś się stało.

Dojechałem do skrzyżowania. Na Żeromskiego powinienem skręcić w lewo, ale w tej sytuacji musiałem to sprawdzić. Trzymałem się kursu na wprost. Nie powinienem martwić się o Artura, jest doświadczonym detektywem i na pewno da sobie radę. Już nieraz bywaliśmy w tarapatach. Jednak mimo wszystko podświadomie dociskałem pedał gazu. Byle jak najszybciej dojechać do mieszkania ostatniej ofiary.

Na miejsce dojechałem w niecały kwadrans. Od razu zauważyłem samochód Artura zaparkowany przy chodniku. Miałem złe przeczucia. Stałem zaraz obok i, zanim wyszedłem z samochodu, wyjąłem ze schowka spluwę. Glock „siedemnastka” - popularny, wygodny i skuteczny. Jak to mówią: przezorny zawsze ubezpieczony.

Samochód Artura był zamknięty. Zajrzałem do środka. Kluczyków brak, poza tym wszystko wydawało się być na swoim miejscu. Skierowałem kroki ku kamienicy.

Na klatce schodowej było cicho jak w kostnicy – w tym względzie nic się nie zmieniło od mojego poprzedniego pobytu tutaj. Pewnie większość lokatorów już spała. Odbezpieczyłem pistolet i zacząłem wspinać się po schodach.

Kroczyłem ostrożnie, wyczulony na każdy najmniejszy dźwięk. W dłoniach ścisnąłem gotowego do strzału Glocka. Pokonywałem kolejne piętra, a na każdym z nich witało mnie światło zapalające się na rozkaz czujnika ruchu. Nie było mi to na rękę. O ile w mieszkaniu nadal ktoś był,

to mogłem przez to zapomnieć o elemencie zaskoczenia.

Dotarłem na ostatnie piętro bez niespodzianek. Drzwi do mieszkania były uchylone. Lak zerwany. Zapewne zrobił to Artur, kiedy tu przyjechał. Z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki. Przywarłem plecami do ściany przy wejściu.

Wziąłem kilka głębokich wdechów. Dłonie mocniej zacisnąłem na broni. Dałem sobie jeszcze kilka sekund na opanowanie nerwów i byłem gotów. Wpadłem do środka.

Korytarz, łazienka, kuchnia – pusto. Czekał na mnie salon. Oparłem się plecami o ścianę w korytarzu. Na trzy. Raz... dwa... trzy! Zrobiłem krok do środka i wycelowałem. Tutaj też pusto. Ostatni pokój – sypialnia. Trzema szybkimi susami podbiegłem do jej drzwi. Były zamknięte. Delikatnie pociągnąłem za klamkę. Kiedy poczułem, że zamek odskoczył, zdecydowanym, szybkim ruchem wpadłem do środka. Czysto. Nikogo nie było.

Odetchnąłem z ulgą. Zabezpieczyłem i schowałem broń do kabury przy pasie. Mogłem się rozejrzeć.

Mieszkanie wyglądało dużo lepiej niż jak tu ostatnio byliśmy. Zasługa ekipy sprzątającej z naszego wydziału. Poza większym porządkiem trudno było odnotować jakieś konkretne zmiany gdziekolwiek, poza salonem. Jeden z obrazów zdjęto i położono na stole, a w miejscu, w którym wisiał znajdowała się dziura w ścianie, kształtem bliska prostopadłościanowi.

Zajrzałem do środka, ale nic tam nie znalazłem. To tam musiał być ukryty notes, ale został zabrany albo przez Artura, albo przez kogoś, kto go tu zaskoczył. Podniosłem obraz ze stołu. Kobieta na portrecie uśmiechała się do mnie zalotnie. Nic więcej nie mogłem tu odkryć. Odwiesiłem nieznajomą na jej miejsce, zasłaniając tym samym wyrwę w ścianie.

Przy kanapie, na podłodze zauważyłem niedopałek papierosa. Kiedy schyliłem się po niego by sprawdzić markę, kątem oka dostrzegłem jakiś przedmiot. Leżał w cieniu, pod stołem. Przykłęknąłem i wydostałem go z ukrycia.

Telefon Artura! Był włączony, działał. Niedobrze, moje przypuszczenia się potwierdzały. Przynajmniej teraz miałem pewność co do dwóch rzeczy: Artur tu był i co gorsza, nie wyszedł stąd z własnej woli. Pytanie tylko, gdzie jest teraz?

Niczego więcej tu nie odkryję. Opuściłem miejsce, teraz już podwójnej, zbrodni i zszedłem do samochodu. Miałem jeden trop, adres, który Artur mi podał zanim doszło do szarpaniny. Żeromskiego 1/6. Bylebym tylko zdążył.

Docisnąłem gaz i ruszyłem.

Tej nocy życie w mieście zamarło. Żadnych przejeżdżających samochodów, żadnych przechodniów. Jakby wszyscy podświadomie czuli ten sam niepokój co ja i woleli dziś nie opuszczać przytulnych mieszkań. Mnie pozbawiono tego luksusu. Musiałem się śpieszyć, a śpiące miasto w tym wypadku było mi na rękę. Ciąłem powietrze pędząc pustymi ulicami, nie zważając na sygnalizacje świetlne.

Objechałem rynek jedną z bocznych ulic. Jaskrawe oświetlenie z centrum miasta docierało i tutaj, przez co, mimo rzadko rozmieszczonych lamp, wydawało się jakby był co najwyżej wieczór, a nie noc.

Głuchy szcęk blachy wybił mnie z zamyślenia. Trwało to z pół sekundy. Jakby ktoś przejechał mi po prawych drzwiach kawałkiem pręta. Instynktownie odbiłem w drugą stronę i wdepnąłem hamulec. Wsiadłem, by zobaczyć, co się stało. „Kurwa!” - zakląłem pod nosem. Okazało się, że przyhaczyłem o jeden z zaparkowanych na poboczu samochodów.

Nie miałem teraz czasu, by to wyjaśniać. Zmyłem się stamtąd jak najszybciej. „Skup się na drodze idioto” - powtórzyłem kilka razy w myślach. Głupio by było, gdybym się zabił zanim dojadę na miejsce. Chyba najbardziej idiotyczna śmierć na służbie, o jakiej słyszałem. Tym bardziej, że byłem niecałe dwa kilometry od celu.

Wjechałem na Żeromskiego kilka minut później. Zaparkowałem na wolnym miejscu przy chodniku, między dwoma innymi autami i wysiadłem. Ostatni odcinek drogi zamierzałem przejść

pieszo. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń.

Opustoszała ulica mieniła się kolorowymi wystawami zamkniętych już sklepów. Niczego tu nie brakowało. Ubrania, buty, książki, kosmetyki, jedzenie, ze dwie restauracje i monopol – było to jedno z tych miejsc, gdzie możesz kupić wszystko. Po prostu ulica przerobiona na galerię handlową.

Na parterze kamienicy z numerem jeden znajdowała się księgarnia. Za szybą, na złocistej plandecie stały dumnie najmodniejsze obecnie książki. Jakiś poradnik, romans, trochę fantastyki i coś o znanej celebrytce, która niedawno zeszała z tego świata. Można by zażartować, że czytelnictwo prężnie się rozwija.

Obok księgarni była nieoświetlona wnęka. Na jej końcu widniał skromny placyk z żarzącymi się sztucznym światłem sztyldami kolejnych sklepów. Drzwi do kamienicy ulokowano gdzieś w połowie tej drogi, po prawej stronie. Nacisnąłem klamkę. O dziwo, było otwarte.

Białe ściany klatki schodowej aż błyszczały nowością, a surowe, metalowe schody nadawały jej modernistycznego sznytu. Rozstrzał między zewnętrznym wyglądem kamienicy i jej wnętrzem był tak ogromny, że wydawało mi się przez chwilę, jakbym wszedł do innego świata. Ruszyłem po schodach.

W towarzystwie tępego dudnienia metalu wyzwalanego z każdym krokiem wspinałem się na kolejne piętra. Na każde piętro przypadało po dwa mieszkania, które, sądząc po wielkości korytarza, musiały być ogromne. Tylko na parterze było jedno z racji powierzchni zajmowanej przez księgarnię. Nie trudno odgadnąć, że mieszkanie z numerem szóstym znalazłem na trzecim piętrze.

Stanąłem pod docelowymi drzwiami i odruchowo sięgnąłem po broń. Glock czekał na mnie w kaburze, zabezpieczony. Wyjąłem go i odblokowałem spust. Nie, nie mogłem tego zrobić tak jak na filmach. Wyważenie tych drzwi kosztowałoby mnie więcej niż wynosi moja pensja. Zapukałem więc, gotów na każdą okoliczność.

Ręce jeszcze mi się trzęsły, a serce ciągle waliło jak młotem. Takie akcje nie są na moje nerwy. I tak byłam już dużo spokojniejsza niż przy pierwszej konfrontacji, kiedy otworzyłam drzwi by stanąć twarzą do wycelowanej we mnie lufy pistoletu. Niezłe przywitanie. Jednak nawet teraz miałam problemy z utrzymaniem szklanki herbaty bez rozlewania jej. Po co dałam się w to wciągnąć?

- Proszę mi wybaczyć – przepraszał mnie któryś raz z kolei – ale spodziewałem się tutaj zastać... spodziewałem się po prostu czegoś innego. - Wziął łyk herbaty, którą mu zrobiłam. - Strasznie mi głupio.
- Nie da się ukryć, że nie było to coś, czego chciałabym się spodziewać otwierając drzwi – zaznaczyłam. - Ale przyjmuję przeprosiny. Już powoli dochodzę do siebie. - Potwierdziła to herbata, coraz słabiej tańcząca w szklance, którą trzymałam.

Mój gość, Wojciech Jarus, był detektywem. Udowodnił mi to pokazaniem odznaki. Całkiem przystojny z niego facet, chociaż wyglądał na trochę zapuszczonego. Po kilkukrotnych przeprosinach wytłumaczył mi, dlaczego się u mnie pojawił. Mówił, że dostał ten adres od swojego partnera, i że razem badają sprawę seryjnego morderstwa, i że jego partner zniknął. Słuchałam jego wyjaśnień ze sporą dozą obojętności, póki nie usłyszałam nazwiska ostatniej ofiary. Tomasz Żbik. Tomek nie żyje? Aż mogłam poczuć, jak rozszerzają mi się w zaskoczeniu oczy. Detektyw musiał to zauważyć. Zresztą zaraz zadał mi pytanie.

- Znała go pani?
- Tak – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Domyślając się, że taka odpowiedź nie wystarczy, kontynuowałam. - Poznaliśmy się na jednej z wystaw w mojej galerii. Był młodym malarzem szukającym natchnienia, więc zaproponowałam mu pomoc.

- Jaką pomoc, jeśli mogę spytać?
- Artystyczną, proszę pana.
- Był u pani? - Nie chciałam odpowiadać na to pytanie. - Mój partner w jego mieszkaniu znalazł pani adres, stąd moje pytanie. Odwiedził panią?
- Tak.
- Rozumiem. - Opuścił wzrok na filiżankę. Przez chwilę milczał, kontemplując nad herbatą. Ja obserwowałam go cały czas. Miałam nadzieję, że już skończył swój mały wywiad. Nie chciałam zagłębiać się w szczegóły. W końcu ponownie spojrzął mi w oczy. - Jaki charakter miała wasza znajomość?
- O co panu chodzi?
- Sypialiście ze sobą? - wypalił bezczelnie.

Co za dupek! Że też mu nie wstyd pytać o takie rzeczy. Uniosłam się.

- No wie pan co!
- Proszę zrozumieć, że nie pytam o to dla własnej przyjemności. Pani informacje mogą pomóc w śledztwie – tłumaczył mi jak dziecku. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Napiłam się herbaty, chcąc zebrać skądś siły na odpowiedź. Kobieta nie lubi opowiadać o swoich podbojach seksualnych, tym bardziej facetowi.

- Nasza znajomość opierała się na wspólnej miłości do sztuki. Kilka razy przerodziło się to również w tę bardziej przyziemną formę miłości. Tak, sypialiśmy ze sobą.
- Kiedy ostatni raz go pani widziała? - Dzięki bogu przeszedł od razu dalej.
- Nie jestem pewna, ale jakieś dwa, może trzy tygodnie temu. Nagle urwał kontakt i później już się do mnie nie odezwał.
- Tak po prostu?

Kiwnęłam głową potwierdzająco.

- Dobrze, nie będę pani dłużej męczył. - Kiedy to powiedział, odetchnęłam z ulgą. - Zadam tylko ostatnie pytanie. Wie pani, że zmarły prowadził pamiętnik?

Zamarłam. Potężny dreszcz przeszył mnie od stóp, do głowy.

- Prowadził pamiętnik? - powtórzyłam po nim jak debil.
- Tak, zapisywał w nim każde wydarzenie.

Jeśli Tomek prowadził pamiętnik, to na pewno pisał tam o mnie, o nas. Detektyw musiał wiedzieć od początku jakie były między nami stosunki. Bawił się ze mną. Chciał usłyszeć z moich ust to, co już wyczytał we wspomnieniach tego idioty! Po co prowadził pamiętnik? Czemu mi o tym nie powiedział? Wspomniał o nich? Cholera, na pewno wspomniał! I co teraz?

Detektyw obserwował mnie uważnie. Zauważył moje zdenerwowanie? Moje zakłopotanie? Wydawało mi się, że czyta ze mnie jak z otwartej księgi, mimo iż starałam się zachować spokój. Przynajmniej na zewnątrz.

- Coś nie tak? - Wyrwał mnie z zamyślenia.
- Słucham?
- Coś się stało? Zbladła pani.

Czyli zauważył. I co teraz? Co mam mu powiedzieć? Nikt mnie nie przygotował na konfrontację z policją. To nie miało tak wyglądać...

- Nie, wszystko w porządku. Chyba dopiero do mnie dotarło, że Tomka już nie ma wśród żywych – wymówiłam tak słabym głosem, że nie byłam pewna, czy aby na pewno wyszedł z moich ust.
- To zrozumiałe, współczuję. Jednak jakby mogła się pani jeszcze na chwilę skupić i mi pomóc. Nie wie pani, co mogło się później dzieć ze zmarłym? Może miał jakichś wrogów?
- Tomek? Nie sądzę, ale nie znaliśmy się aż tak dobrze.

- I nie przychodzi pani do głowy nic, co mogłoby mi pomóc? Jakies miejsca, w których ostatnio bywał? Nowi ludzie w jego życiu?

Te pytania. Bawi się mną. Ciągle się mną bawi. Dobrze wie, gdzie ma szukać, ale dalej mnie męczy. Chce, żebym mu powiedziała sama. Chcesz to usłyszeć z moich ust, prawda? - zapytałam go w myślach i nagle znienawidziłam go z całego serca. Za te męczarnie, którym mnie poddaje. Za to, że jestem tylko jego marionetką.

Już miałam się złamać. Już moje struny głosowe miały zdrzeć od łamiących skrywaną tajemnicę słów, gdy krótki, piskliwy sygnał esemesa mnie powstrzymał. Podniosłam ze stolika swój telefon. Spojrzałam na ekran.

„Powiedz mu. Ten sam adres” - przeczytałam. Numer był zastrzeżony, ale wiedziałam, od kogo jest ta wiadomość. Uwolniona od ciężaru dzierżenia tajemnicy, odetchnęłam z ulgą. Odzyskałam trochę pewności siebie. Spojrzałam w oczy detektywa.

- Przepraszam za to – zaczęłam uprzejmie. - Wracając do pana pytania, nie wiem, czy to ważne, ale jest jedna rzecz, która mogłaby panu pomóc. Poleciałam Tomkowi pewnych ludzi...

W swojej karierze miałem do czynienia z wieloma osobnikami, ale ta kobieta... Mimo, że z wierzchu wszystko wydawało się zupełnie normalne, to, kiedy tam byłem, instynktownie czułem się nieswojo. Jasne, głupio wyszło z tą bronią, jednak poza tym było coś jeszcze. Dość szybko ją przejrzałem i postanowiłem pójść w błąd z tym pamiętnikiem. Miałem rację, nie mówiła mi wszystkiego. Udało mi się wyciągnąć od niej ten adres. Podobno poleciła to miejsce zmarłemu jakiś czas przed ich rozstaniem. Udałem się tam niezwłocznie, z głową pełną od złych przeczuc. Miałem wrażenie, że sporo informacji zachowała dla siebie, co rodziło podejrzenie, że mogła wprowadzić mnie w pułapkę. Musiałem mieć się na baczności.

Stary magazyn na obrzeżach miasta. Adres się zgadzał. Nie ma co, świetne miejsce na spotkania. Zaparkowałem tuż przy nim i wysiadłem z samochodu. Rozejrzałem się. Wokół ani jednej żywej duszy.

Niedobór miejskiego oświetlenia w tej okolicy nadrabiał dzisiejszej nocy księżyc. Niebo było bezchmurne, więc wielka, niebiańska lampa oświetlała okolicę bladym, białym światłem. Spory, podłużny budynek magazynu wydawał się przez to dziwnie przyjazny.

Wejścia były dwa. Jedno z nich, ogromna brama zajmująca środkową część ściany służyła pewnie za wjazd dla ciężarówek. Obok niej nieśmiało rysowały się blaszane drzwi przeznaczone dla ludzi. Postanowiłem z nich skorzystać.

Z pistoletem w gotowości nacisnąłem ostrożnie klamkę. Było otwarte. Zły znak. Czekal na mnie komitet powitalny? Ze środka ziało mrokiem. Delikatnie pchnąłem drzwi, nie chcąc narobić hałasu. Zawiasy, jakby na złość, zaskrzypiały ochryple. Dźwięk ten wydał mi się przerażająco głośny, chociaż w rzeczywistości tak nie było. Serce mocniej mi zabiło. Nie chciałem ryzykować kolejnego skrzypiącego alarmu, więc precyzyjnie się przez skromnie uchylone drzwi.

Znalazłem się w środku. Przez całą długość obydwu bocznych ścian biegły rzędy okien, miejscami powybijanych. Z tych po prawej stronie do środka dostawało się światło księżyca, oświetlając skromnie wnętrze. „Mój jedyny sojusznik” – pomyślałem wtedy.

Magazyn był opuszczony. Zupełnie pusty. Chociaż tyle mogłem zauważyć w panującym tu półmroku. Poza kilkoma filarami podtrzymującymi strop i balkony pod sufitem, nie było w nim nic. Wystawiła mnie? Byłaby aż tak głupia? Tak czy siak musiałem się tu rozejrzeć. Kroki stawiałem ostrożnie, skradając się przy prawych filarach coraz bliżej środka tego wielkiego pomieszczenia.

W oddali, pod przeciwległą względem wejścia ścianą coś stało. Kiedy znalazłem się bliżej mogłem stwierdzić, że jest to biurko i fotel. Stało w równej odległości od obu bocznych ścian. Dziwne i, wydawało się, umyślnie miejsce na ustawienie tych mebli.

Postawiłem kolejny krok. I nagle, jakbym nadepnął na jakiś niewidzialny przełącznik, w magazynie zapłonęły lampy. Lampy przemysłowe, wiszące pod sufitem, dawały tak ostre światło, że potrzebowałem chwili, by przyzwyczaić wzrok do niespodziewanej jasności. Jedna myśl przemknęła mi przez głowę. Wpadłem.

- Czekaliśmy na pana – usłyszałem męski głos. Przyłgnałem do filaru, przy którym akurat byłem.
- Może pan już wyjść z za tego filaru – powiedziała tym razem kobieta.

Nie byłem pewien, gdzie oni są. Wydawało mi się, że na jednym z wysokich balkonów. Jeśli to prawda, to mieli mnie jak na widelcu. Obie dłonie zacisnąłem na ręczce pistoletu – ostatniej ostoi mojego bezpieczeństwa.

- Jestem z policji! - krzyknąłem. - Jesteście podejrzeni w sprawie morderstwa! Wyjdźcie z ukrycia z uniesionymi rękami!
- Jedyńm, kto się teraz ukrywa, jest pan. – Kolejny męski głos, inny od poprzedniego. Ilu ich tam było? - Proszę spojrzeć w stronę balkonu, to nas pan zobaczy – polecił.

Wyjrzałem ukradkiem z za filaru. Na balkonie, przy poręczy, stało przynajmniej pięć osób. Chyba trzech mężczyzn i dwie kobiety. Na pierwszy rzut oka nieuzbrojeni. Zbyt wysoko by któregoś z nich lepiej rozpoznać. Na powrót skryłem się za osłoną.

- Wyjdźcie z uniesionymi rękami! - powtórzyłem. - Jeśli jesteście niewinni, to nic wam się nie stanie.
- Wybacz pan, detektywie, ale w jaki niby sposób chciałby pan nas aresztować w pojedynkę? - Okrutna to prawda, płynąca z jego ust.
- Mam telefon, mogę wezwać wsparcie – próbowałem ich wystraszyć.
- Wtedy – mówił kolejny głos – znikniemy i nigdy już pan nas nie zobaczy. Nie jest pan w stanie z tej pozycji złapać któregoś z nas.
- Jeśli chce pan się dowiedzieć o co chodzi – kontynuowała po nim kobieta – musi pan wyjść z ukrycia. Nie ma się pan czego bać, my nie zabijamy ludzi, a raczej im pomagamy.
- Poza tym – dodał znowu inny – nie jesteśmy uzbrojeni.
- I mam wam uwierzyć?
- Podobno wiara przenosi góry...
- ...a w tym wypadku jest warunkiem poznania.
- Decyzja należy do pana.

Nie wiem co kazało mi wyjść z ukrycia. To, że mieli nade mną przewagę, to, że siła argumentów leżała po ich stronie, czy to, że chciałem poznać prawdę, a wyjście z ukrycia było na to jedynym sposobem.

Kiedy odsunąłem się od osłony filaru i szedłem w stronę środka magazynu, serce podchodziło mi do gardła. Instykt samozachowawczy nieprzerwanie powtarzał mi, że zaraz nastąpi koniec, że zaraz nadejdzie śmierć. Mimo to szedłem, aż w końcu stanąłem w centrum, patrząc w górę, na nieznanym.

- Odważny z pana człowiek – usłyszałem gdzieś za sobą. Odwróciłem się.

Na drugim balkonie, pod którym skryłem się za filarem, stali kolejni. Następnym pięciu, czterech mężczyzn i jedna kobieta. Byłem otoczony.

- O co tu chodzi? - spytałem, opanowując strach.
- Prędzej czy później doszłoby do tego spotkania.
- Woleliśmy to już mieć za sobą.
- Zada nam pan swoje pytania, a później zakończy to marne śledztwo – mówili na przemian, jakby byli jedną osobą.
- Co każe wam myśleć, że je zakończę? Jeśli jesteście winni, to nie spocznię, póki was wszystkich nie wyłapię! - odgrażałem się, niczym dzikie zwierzę, zapędzone w kozi róg.

- Prawda każe nam tak sądzić.
- Te groźby są niepotrzebne.
- Kiedy dowie się pan wszystkiego, nie będzie pan chciał kontynuować tego dochodzenia.
- Proszę, niech pan zadaje swoje pytania, a my na nie odpowiemy.

Wodziłem głową za kolejnymi przemawiającymi. Prowadzili ze mną grę, w którą musiałem zagrać. Zacząłem pytać.

- Dowiedziałem się, że niedawno był tutaj Tomasz Żbik, czy to prawda?
- Prawda, przyszedł tutaj przez dwoma tygodniami.
- Czego tu szukał?
- Pomocy...
- Wsparcia...
- Natchnienia...
- On nie żyje, wiecie o tym?
- Dowiedzieliśmy się niedawno.
- Wielka szkoda...
- ...ale nie każdemu dane jest osiągnięcie wielkości.
- Macie coś wspólnego z jego śmiercią?
- Nie! - zabrzmieli wszyscy naraz.
- Jeśli ta wasza pomoc, wsparcie i natchnienie doprowadziły go do samobójstwa, to jesteście temu winni. To podchodzi po znęcanie psychiczne, wiecie o tym?
- To on przyszedł do nas, nie my do niego.
- To on oczekiwał pomocy, nie my.
- Daliśmy mu to, po co tu przyszedł.
- Na tym skończyło się nasze zadanie.
- Od niego zależało, co z tym zrobi.
- Przeliczyliśmy się, i zawiedliśmy na nim.
- A dwie poprzednie ofiary (wyczytałem ich imiona z notesu), też przyszły tu po pomoc?
- Były tu.
- Zagubione dusze.
- Podobne do malarza, którego wymieniłeś wcześniej.
- Wszystkim udzieliliście tej waszej pomocy?
- Wszystkim z tej trójki...
- ...i jeszcze tysiącom innych, którzy żyją i mają się dobrze.
- Cała trójka była u was i cała trójka zginęła, wypalona od środka. Cała wina spada w tym momencie na wasze barki. - Oprzytomniałem teraz. - Przyznam, że w pierwszej chwili porwała mnie ta wasza dziwaczna mowa, nieprzeciętne pojawienie się i tajemniczość całej sytuacji, ale koniec z tym. Jesteście zwykłymi sekciarzami! Szarlatanami! Przyznajcie się, co żeście im zrobili?! Otruliście? Podawaliście im jakieś prochy, urabiając ich podatne mózgi? Namówiliście ich do tego?

Po moim oskarżeniu nastąpiła długa chwila ciszy. Tamci byli zbyt daleko, bym mógł wyczytać cokolwiek z ich twarzy. Widziałem tylko, że patrzą na siebie. Możliwe, że coś do siebie szeptali. A ja czekałem, starając się powstrzymać powodowane strachem drżenie mięśni. Miałem wrażenie, jakby zaraz mieli mnie zmieść, zniszczyć jakimś piorunem. Niczym bogowie obradujący nad losem śmiertelnika.

- Detektywie – przemówił wreszcie któryś z nich. - Strasznie nam przykro, że ma pan o nas takie mniemanie.
- Ale przybył pan tutaj na nasze zaproszenie, więc zobowiązani jesteśmy wyjaśnić panu tę sprawę. Bynajmniej nie dlatego, że chcemy pomóc panu, ale dlatego, że chcemy tym

działaniem zapewnić sobie dalszy spokój. Z dala od rozgłosu, jaki mogłoby wywołać to niepotrzebne śledztwo.

- Ofiary, których śmierć pan bada, faktycznie przybyły do nas, bo poszukiwały siebie. Faktycznie pracowaliśmy z nimi i nad nimi, by im w tym pomóc. Faktycznie ponieśli przez to śmierć. Ale nie ma w tym naszej winy i o tym musi się pan przekonać.

Milczałem, pozwalając im mówić dalej.

- Każdy z tych ludzi – kontynuował kolejny – chciał doścignąć siebie, chciał stać się tym sobą, którego widział w swoich marzeniach. Sięgnąć do najgłębszych pokładów swojego ja i wynieść je na powierzchnię. Ujmując to płytko, ale jakże trafnie, każdy z nich chciał odnieść sukces.
- Czyli co? Jesteście coachami? To was w ogóle nie tłumaczy. I po cholere ta cała maskarada?
- Dalece nietrafne to pana porównanie. Nigdy nie wbijaliśmy innym w głowy fałszywych zapewnień i nigdy nie gwarantowaliśmy powodzenia naszych lekcji. Proponowaliśmy raczej zrozumienie tego, co nas otacza.
- Dawaliśmy im prawdę.
- No więc, – spytałem niecierpliwie – czym jest ta wasza cholerna prawda?
- Tym, że twoje życie ma wartość tylko dla ciebie.
- Tym, że samotność jest piętnem, przed którym nie da się uciec, chociaż wszyscy próbują.
- Tym, że ciężka praca nie daje gwarancji sukcesu.
- Tym, że nasza rzeczywistość jest tak zawiła, że nigdy nie dojdzie się do całkowitego jej rozumienia.
- Tym, że permanentne szczęście jest mrzonką.
- Tym, że nawet najcudowniejszy stan ducha z czasem się znudzi i nie da się tego obejść.
- Tym, że prawda jest relatywna...
- Dość! - krzyknąłem, zaskakując tym zachowaniem bardziej siebie, niż ich. - To jest ta wasza prawda? To jest pomoc dla ludzi poszukujących siebie? Wpędzanie ich w głęboką depresję?
- Wyzwalamy ich z sidła przesądu, dogmatu i społeczeństwa, dając tym samym wolność.
- Depresja to skutek uboczny. Cechuje słabe jednostki.
- Tacy w ogóle nie powinni nas poszukiwać.
- Teraz pan rozumie, że nie możemy odpowiadać za to, co nasi goście zrobią z powierzoną im wiedzą?

Rozumiałem. Rozumiałem coraz bardziej i nienawidziłem siebie za to. Nie mogłem ich aresztować za rozmowy. Czuję się bezsilny. Wtem przypomniałem sobie.

- A mój partner? Co z nim zrobiliście?
- Pański partner jest w swoim mieszkaniu. Jest bezpieczny. Nic mu się nie stało.
- Wiem, że napadliście na niego! Mogę was wszystkich aresztować za napaść na funkcjonariusza na służbie. Któryś z was za to beknie.
- Prawda, że zdarzenie to było niefortunne, ale musieliśmy zadziałać szybko i odzyskać przedmiot, w którego posiadanie wszedł pański partner.
- Dziennik malarza? - Chciałem się upewnić.
- Pański partner – mówił inny, nie odpowiadając na moje pytanie – nie jest typem człowieka, z którym można łatwo dojść do porozumienia. Sam pan to wie najlepiej.
- Dlatego uciekliśmy się do brutalności, z czego nie możemy być dumni, ale wybraliśmy mniejsze zło.
- Po całym zajściu odstawiliśmy go do mieszkania, gdzie teraz dochodzi do siebie i gdzie

niedługo powinien się ocknąć. Między innymi po to pana tu wezwaliśmy. Jest pan człowiekiem dysponującym większą ogłądą i zrozumieniem, przez co to właśnie pan, a nie pana partner tutaj stoi.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy.

Zaskoczyły mnie te słowa. Potrzebują mojej pomocy? W czym?

– Niby w czym? - nie omieszkałem spytać.

– Kiedy pan stąd wyjdzie, musi udać się pan do mieszkania partnera i nakłonić go do porzucenia śledztwa. Wiemy, że jest pan w stanie to zrobić.

Rozśmieszyła mnie ta prośba. Jej ohydna perfidia i idiotyzm. Jak ja, policjant, miałem nakłonić drugiego policjanta do porzucenia śledztwa? Przecież to wbrew prawu i co gorsza, wbrew sumieniu, kiedy sprawcy stoją tuż nade mną. Zaśmiałem się. Śmiech to był jednak pełen nerwów.

– Jesteście głupcami, jeśli sądziliście, że zgodzę się na coś takiego – brzmiała moja odpowiedź. - W jednej prośbie chcecie wymóc na mnie sprzeciwienie się mojemu sumieniu, mojej przyjaźni i prawu, które ślubowałem strzec. Nigdy na to nie przystanę.

Byłem z siebie dumny za te słowa, a świadomość, że za takie postawienie sprawy mogłem przypłacić życiem, napawała mnie jeszcze większą dumą.

– Spodziewaliśmy się oporu, więc mamy dla pana propozycję.

– Jeśli przekazemy panu całą wiedzę, którą również przekazaliśmy tym nieszczęśnikom, którzy targnęli się na swoje życie, czy wtedy rozważy pan tę prośbę ponownie?

– I tak moja odpowiedź się nie zmieni.

– Czy mimo tego, zgodzi się pan nas wysłuchać?

Wahałem się z odpowiedzią. Co takiego są w stanie mi przekazać? Bałem się, że i mnie przekabacą na swoją modłę, chociaż ufałem sobie i znałem swój rozum na tyle, by wiedzieć, że może stanąć w szranki z tą grupą nieznanym mi ludzi. Strach i tak mnie przepełniał. Strach przed tym, co nieznanne.

W końcu ciekawość wygrała. Nie tylko zawodowa, by chcieć rozwikłać tę zagadkową sprawę, ale też zwykła, ludzka i prosta.

– Niech tak będzie – dałem im odpowiedź.

– A zatem, niech tak będzie – któryś powtórzył po mnie.

– Proszę być tak uprzejmym, i usiąść przy stojącym za panem biurku.

Na usta cisnęło się pytanie „a po co?”, ale darowałem je już sobie. Cała ta sytuacja była wystarczająco dziwna. Zrobiłem to, o co mnie prosili. Kiedy tak szedłem w stronę rzeczonoego biurka nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że właśnie przegrałem tę batalię.

Usiadłem w fotelu, a broń położyłem na blacie (prawie zapomniałem o tym pistolecie, mimo że przez całą rozmowę ścisnąłem go w dłoni). Poza nią nic na nim nie było.

Z tego miejsca miałem widok na całą powierzchnię magazynu. Balkony, na których stali obcy kończyły się kilka metrów przede mną, więc nic nie mogło mnie z tego miejsca zaskoczyć. Na chwilę poczułem się bezpiecznie.

Czekałem niecierpliwie na to, co miało się wydarzyć. Chociaż fotel był wygodny, wierciłem się w nim jak dziecko w podstawówce, czekające na rozpoczęcie lekcji. Nie trwało to długo, gdyż po niespełna minucie zaczęli swoją przemowę.

Mówili, czasem chóralnie, czasem pojedynczo, a ich mieszane tony głosu wprowadzały mnie w pewien rodzaj transu. Nie śmiałem im przerywać. Rozrywali moja rzeczywistość, traktując z początku o sprawach błahych, by później przechodzić coraz głębiej, do istoty rzeczy, do samego życia w jego najczystszej postaci. Zupełnie się im poddałem, nie dlatego, że chciałem, ale dlatego, że to co mówili już dawno temu wiedziałem. Nie, „wiedziałem” to złe słowo, bardziej czułem, ale teraz, dzięki nim, mogłem objąć to rozumem. Mówili długo, starannie, bardzo prosto przez większość czasu, by nagle przejść na niezmiernie zawiłą dysputę. Rozumiałem i tak. Rozumiałem każde słowo. Rozumiałem prawdę.

Ujrzałem ją w jednej chwili, w błysku, który zniknął tak szybko, jak się pojawił. I miałem pewność, że w ciągu reszty mojego życia nie przeżyję już niczego podobnego. Zasmuciłem się. Jednak nie z tego powodu.

Smutek przeniknął mnie, kiedy prawda, którą widziałem okazała się nie być piękną kobietą kuszącą mnie swymi powabami, ale raczej ohydną staruchą, od której powinienem odwrócić wzrok, ale nie mogłem tego zrobić. I nagle jakaś radość wypłynęła na mnie z tej ohydy. I już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Nerwowo przemierzałem pokój w te i wewte. Trwałem w martwym punkcie. Cała ta sprawa wyslizgiwała mi się z rąk, a ja desperacko próbowałem ją utrzymać. Sprawdziłem już wszystkie tropy. Każdy z nich prowadził donikąd. Wszyscy już dali sobie spokój. Nawet moi przełożeni, z racji braku kolejnych ofiar, gotowi byli odłożyć te śledztwo do segregatora opisanego zwięźle „niedokończone”. Czy tylko ja zostałem wśród tych, którzy chcą rozwikłać tę zagadkę?

Z Wojtkiem nie utrzymywałem kontaktu od dobrych dwóch miesięcy. Z tego co wiem, to ma już nowego partnera. Nie licząc kilku późniejszych rozmów telefonicznych, gdzie z każdą kolejną coraz trudniej było mi się z nim porozumieć, ostatni raz rozmawialiśmy ze sobą tej feralnej nocy, gdy zostałem ogłuszony.

Pamiętam to jak dziś. Ocknąłem się z cholernym bólem brzucha i szczęki, oszołomiony, nie tylko przez sam fakt pobicia, ale na widok tego, że znajduję się we własnym mieszkaniu. Jeszcze dobrze nie zdążyłem dojsć do siebie, a ktoś zadzwonił do drzwi. To był Wojtek.

Wszedł prawie bez słowa, z jakąś przedziwną miną wypisaną na swojej zmęczonej twarzy. Usiedliśmy, ja w fotelu, on na kanapie. Ciągłe zdezorientowany zacząłem opowiadać mu, co zaszło w mieszkaniu denata, a on, co mnie zaskoczyło, przerwał mi po chwili twierdząc, że dobrze wie co tam zaszło. Wzdrygnąłem się i zacząłem go dopytywać. On jednak nie był skory do odpowiadania.

Zamiast tego bełkotał coś niezrozumiałego, po czym zaczął namawiać mnie do porzucenia śledztwa.

- Oszalałeś? Co jest z tobą nie tak? - spytałem go wtedy.
- Nic nie rozumiesz Artur. Odkryłem pewne rzeczy – tutaj zatrzymał się, widocznie zbierając myśli. - To były samobójstwa. Byli zbyt słabi, po prostu nie poradzi sobie w otaczającym ich świecie.

Wybałuszyłem oczy. Patrzyłem na niego jak na wariata.

- Co ty bredzisz?
- Mówię ci, co odkryłem. Pojechałem pod ten adres, który mi podałeś przez telefon. Stamtąd trafiłem później do magazynu, gdzie spotkałem tych, których powinniśmy uważać za winnych, ale nimi nie są. Nasze „ofiary” były tam wyłącznie po poradę, po pomoc. Nie możemy nikogo skazać za prowadzenie rozmów. Śledztwo się kończy Artur. Zagadka rozwiązana.
- Nie ma mowy, żebyśmy zakończyli śledztwo.
- Z mojej strony to koniec – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - I tobie radzę, żebyś odpuścił.

Długo jeszcze kłóciliśmy się o samo śledztwo. Obydwa próbowaliśmy się wzajemnie przekonać, ale żaden nie chciał ustąpić. Zauważywszy to, że już go nie nakłonię do zmiany zdania, przybrałem inną taktykę. Zaczęłem naciskać, by opowiedział mi krok po kroku, co odkrył. Początkowo nie chciał, kategorycznie żądając odstąpienia od śledztwa. Ja dopytywałem jednak dalej. Dzięki jego zmęczeniu, widocznym od początku naszej rozmowy, udało mi się go złamać. To od niego dowiedziałem się o kobiecie, prawdopodobnie tej samej, którą zmarły opisywał w swoim pamiętniku i o magazynie, w którym to mieli urzędować ci ludzie. Oni, tamci, nieznanymi – takimi określeniami posługiwał się Wojtek, kiedy o tym mówił. W ogóle na temat wydarzeń z magazynu

mówił mało, nieskładnie i opornie, a jak już o czymś wspomniał to brzmiało to co najmniej nierealnie.

Wtedy jednak wystarczyło tyle. Dowiedziałem się wszystkiego, co mogłem i postanowiłem, że doprowadzę sprawę do końca, choćbym miał to zrobić w pojedynkę. Wojtka od tego czasu uznałem za zbędnego.

Przystąpiłem do działania zaraz następnego dnia, zdeterminowany, by dokończyć to, czego mój były partner nie był w stanie. Wpierw uderzyłem w magazyn, w którym podobno działali główni podejrzani i nie znalazłem nic. Kompletnie nic. Magazyn stał pusty i nie było tam nawet tego biurka, o którym raczył wspomnieć Wojtek. Nie wspominając już o tajemniczym ugrupowaniu, na które się natknął. Do właściciela magazynu dotarłem kilka dni później. Była to jakaś zagraniczna firma, która nie miała pojęcia o jakichkolwiek działaniach na terenie ich obiektu. Wyciągnąłem od nich tylko skromne oświadczenie, że nie używali go od dobrych dwóch lat. Trop się urwał, ale nie zniechęciłem się tym. Miałem jeszcze drugi.

Po nieudanej wizycie w magazynie zajechałem pod adres kobiety – kochanki ostatniej ofiary. Stałem pod jej drzwiami i kilkakrotnie nacisnąłem dzwonek. Nikt nie otwierał. Wtedy to zaczęły pojawiać się pierwsze natrętne myśli o daremności mojej misji. Co to do cholery ma znaczyć? - pytałem sam siebie. Zacząłem dobijać się do drzwi, nie omieszkując parokrotnie krzyknąć, że jestem z policji. Irytacja we mnie narastała. Oczywiście nic nie wskórałem, poza wywabieniem sąsiada nieobecnej, mieszkającego naprzeciwko, z mieszkania.

- Co tu się dzieje? – spytał mnie. Był facetem po trzydziestce. Wyglądał niechlujnie, jakby dopiero co wstał.
- Przepraszam, jeśli niepokoję, ale jestem z policji – wytłumaczyłem mu. - Wie pan może, gdzie jest pana sąsiadka?
- Dzisiaj rano się wyprowadziła – oznajmił.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czternasta. Szybka jest – pomyślałem – w jedną noc się wyniosła.

Podziękowałem sąsiadowi, po czym skontaktowałem się z właścicielem mieszkania. Odznaka otwiera wiele drzwi, otwarta też te. Wszedłem razem z nim do środka. Wnętrze wyglądało na świeżo wyremontowane, w stylu modernistycznym i całkowicie surowym. Jakby nikt nigdy tu nie mieszkał. Przeszukałem co mogłem, szuflady, szafki, regały, zajrzałem w każdy kąt. Wszystko to na próżno. Zawodowa robota. Nie zostało nic po poprzedniej lokatorce. Nawet papierka.

Po nieudanych poszukiwaniach stanąłem raz jeszcze przed właścicielem. Trzęsącą się ręką zapaliłem papierosa. Byle tylko utrzymać nerwy na wodzy.

- Tu nie wolno palić! - zaprotestował przygrubawy knypek.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jakim wzrokiem wtedy na niego spojrzałem, ale jedno jest pewne – nie chciałbym być odbiorcą tego spojrzenia. Właściciel momentalnie odstąpił, pozwalając mi palić w spokoju.

- Ma pan jej dane? - spytałem z nadzieją. To była ostatnia deska ratunku.

- Mam, zrobiłem zdjęcie jej dowodu, kiedy się wprowadzała.

Kazałem mu przesłać to zdjęcie na swój telefon.

- Mówiła może, gdzie się przeprowadza? - spytałem w trakcie tego procesu.

- Niestety, cały ranek była jakaś taka małowówna. Teraz już widzę czemu. Ma kłopoty?

- Nie – odpowiedziałem krótko. - Przynajmniej na razie.

Mając jej dane pożegnałem się i opuściłem lokal. Już w samochodzie będąc, przyjrzałem się zdjęciu jej dowodu. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że ładna kobieta. Natalia Tuszyńska, lat trzydzieści jeden. Miałem wszystko, czego potrzebowałem, żeby ją znaleźć. I właśnie szukaniem jej zajmowałem się przez następne dni.

„Miałem wszystko, czego potrzebowałem, żeby ją znaleźć” - kiedy teraz przypominam sobie te słowa, to aż nie mogę uwierzyć, jak naiwny wtedy byłem.

Podczas swoich poszukiwań udało mi się dotrzeć do jej rodziny. Od rodziców nie

dowiedziałem się niczego, jakby kompletnie zapomnieli o tym, że mają córkę. Dopiero jej siostra powiedziała mi coś konkretnego, coś, co całkowicie przekreśliło moje szanse na sukces w tym śledztwie. Natalia Tuszyńska poleciała do Ameryki.

Nie mogłem jej przecież ściagać samodzielnie. Znalezienie jej w stanach byłoby jak szukanie igły w stogu siana. List gończy też nie wchodził w grę, bo niby na jakiej podstawie miałbym go wystawić? Śledztwo zostało umorzone, a mój ostatni trop urwał się wraz z jej odlotem.

Mój język zaczynał powoli przypominać papier ścierny. Pałęm papierosa za papierosem, wpierw próbując na coś wpaść, później by załagodzić stres, a teraz... teraz już tylko pałęm. To koniec. Nie miałem niczego, co mogłoby mi w jakikolwiek sposób pomóc. Powiniennem się poddać i porzucić tę sprawę. Czemu nie potrafiłem tego zrobić?

Choćbym miał zwariować jak ten pierdolony malarz, nie spocznę, dopóki nie doprowadzę tego śledztwa do końca. Obiecałem to sobie, gasząc kolejnego peta w popielniczce. My, ludzie, jesteśmy mistrzami w składaniu obietnic bez pokrycia.

Nie wiedząc czemu, sięgnąłem po pistolet, który trzymałem w szufladzie biurka. Zacząłem obracać go w dłoniach, przyglądając mu się uważnie. Zabawne, wystarczyłoby jedno pociągnięcie za spust i już. Wszystkie problemy zniknęłyby równie szybko jak moja świadomość. „Kurwa, o czym ja w ogóle myślę?”. Rzuciłem spluwę na biurko, jakbym przestraszył się samego siebie. Ten niezręczny moment, istny mexican standoff, który zapadł między mną, moimi myślami i pistoletem przerwał sygnał telefonu komórkowego.

Dawno nie widziałem tego numeru.

- Cześć Sara.
- Artur? Jak dobrze cię słyszeć – jej głos był chwiejny, jakby przed chwilą płakała. - Proszę cię, musisz mi pomóc.
- W czym? Coś się stało?
- Z Wojtkiem coś się dzieje, zamknął się w pokoju i nie chce nikogo wpuścić. Proszę, przyjedź tu.
- Sara, słuchaj, nie wiem czy jestem właściwą osobą...
- Przecież jesteś jego przyjacielem!
- Raczej byłem...

Chwilę ciszy w słuchawce przerwało głośnie jęknięcie, wywołane płaczem.

- Ja już nie wiem co ja mam robić – zawodziła – od dłuższego czasu nie potrafię do niego dotrzeć. Nie mam do kogo się zwrócić Artur... - nie potrafiła dłużej powstrzymać emocji. Jej głos się załamał. Rozpłakała się na dobre.

Sara była żoną Wojtka, a z biegiem czasu stała się również moją dobrą koleżanką. Choć urażone ego przerwanej znajomości zniechęcało mnie do wybrania się do nich, to jednak gdzieś wewnątrz czułem dumę wywołaną wiadomością, że Wojtek potrzebuje mojej pomocy. Dodatkowo cała sytuacja, w świetle sprawy, którą się zajmowaliśmy, wzbudzała we mnie złe przeczucia.

Ostatecznie zgodziłem się ich odwiedzić.

- Dziękuję Artur, naprawdę. Nie wiem co bym bez ciebie zrobiła...
- Nie trzeba Sara, wiesz, że możesz na mnie liczyć. Będę jak najprędzej, a ty w tym czasie postaraj się opanować. Nie bój się, wszystko będzie dobrze – słowa głupie jak but, ale w takich sytuacjach człowiek zawsze chce je usłyszeć.

Rozłączyłem się. Trzymając się złożonej obietnicy, zabrałem tylko najpotrzebniejsze rzeczy i zbiegłem do samochodu.

Na miejsce dotarłem po niespełna trzydziestu minutach. Sara otworzyła mi drzwi w ułamek sekundy po tym, jak zapukałem. Biedaczka musiała oczekiwać mnie jak jakiegoś zbawienia. Oczy miała szkliste, powieki nabrzmiałe, a całą twarz zaczerwienioną. Wyglądała na wymęczoną i, choć idąc za moją radą starała się trzymać emocje na wodzy, to na pierwszy rzut oka widać było jej stan

ducha.

Wtuliła się we mnie, jakbym miał być tym, który rozwiąże jej wszystkie problemy. Byłem pewien, że chce zapłakać, ale gdzieś w tej drobnej kobiecie znalazło się wystarczająco siły woli, by powstrzymać to pragnienie. Objąłem ją na tyle czule, na ile potrafiłem. Trwaliśmy tak kilka sekund. Później szepnąłem, by zaprowadziła mnie do Wojtka.

Skinęła tylko głową i bez słowa podeszliśmy pod zamknięte drzwi sypialni. Zapukałem krótko, lecz donośnie.

– Wojtek, jesteś tam? To ja, Artur!

Brak odpowiedzi, tylko jakieś ledwie słyszalne szmery.

Ponowiłem próbę. Uderzyłem w drzwi dwa razy otwartą dłonią. Sara patrzyła na mnie z nadzieją.

– Wojtek! Jak nie otworzysz, to będę zmuszony wyważyć drzwi! Wiesz, że nie żartuję!

Opierając się ręką o ścianę czekałem i nasłuchiwałem. Głucha cisza trwała uparcie za drzwiami. Nie zwlekając dłużej, spojrzałem na Sarę, szukając pozwolenia na to, co miało za chwilę nastąpić. Jej wzrok wskazywał na całkowite zaufanie względem mnie, więc brak zwerbalizowanej odpowiedzi uznałem za przyzwolenie na działanie.

Ustawiłem się przed drzwiami, lewym ramieniem w ich kierunku, gotów, by je wyważyć.

– Wojtek! Wchodzę do środka! - krzyknąłem ostrzegawczo.

Wzięłem głęboki wdech. Wydłużyłem rozbieg na tyle, na ile pozwalał mi na to korytarz ich mieszkania. Gestem ręki rozkazałem Sarze, żeby się trochę odsunęła. Ruszyłem. I w pół sekundy później Sara weszła mi w drogę, zatrzymując mój pęd.

– Czekaj! Słyszysz? - spytała.

Zbliżyliśmy się do drzwi. Faktycznie, w sypialni dało się słyszeć coraz głośniejsze ruchy. Aż odskoczyliśmy, gdy nagły, głośny dźwięk zamka rozbrzmiał tak blisko nas. Drzwi otworzyły się, na szczęście bez mojej pomocy.

Od razu wszedłem do środka, Sara za mną. Wojtek zdążył już usiąść przy biurku, po przeciwległej stronie pokoju. Spodziewałem się, że będzie wyglądał gorzej. Trudno byłoby stwierdzić po nim jakiegokolwiek problemy. Może oczy miał trochę podkrążone i wzrok jakiś nieobecny, co jednak zauważyłem dopiero po dłuższej chwili. Aczkolwiek na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie normalnie i zdrowo.

– Wojtek! Wojtuś! - usłyszałem za sobą Sarę.

Rzuciła się w jego stronę.

– Nie zbliżaj się! - warknął nagle. - Proszę cię, nie zbliżaj się.

– Ale... kochanie...

Złapałem ją i cofnąłem za siebie.

– Zrób, jak mówi – poleciłem jej. Kolejna porcja łez zaczęła leniwie spływać jej po policzkach, ale posłuchała mojego polecenia i stanęła pod ścianą, przy drzwiach, łkając co jakiś czas.

Ja zbliżyłem się nieznacznie do Wojtka. Dzieliło mnie od niego ich małżeńskie łóżko, zajmujące środek pomieszczenia. Siedział profilem do mnie, z prawą ręką opartą na biurku, a lewą na kolanie. Na biurku leżały rozrzucone jakieś zapisane kartki, z daleka poznałem, że to pismo Wojtka.

– Cześć stary, trochę czasu minęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy, co nie? - spytałem, kompletnie nie wiedząc, jak mam zacząć tę rozmowę.

Nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrzał.

– Dobrze się czujesz? - pytałem dalej.

– A co, źle wyglądam? - odezwał się głosem mówiącym, że robi mi łaskę wypowiadając te słowa.

– Sara mówiła, że ostatnio nie jesteś sobą...

Spojrzał na mnie, a po sekundzie znowu wbił wzrok w podłogę przed sobą. Wtedy właśnie zdążyłem zauważyć jego nieobecne oczy.

- Sara nie wie, co mówi – powiedział, jakby od niechcenia.
- Wojtek...! - jęknęła za mną. Uciszyłem ją gestem ręki.
- Chłopie, znam ją prawie tak długo jak ty i wiem, że bez powodu by do mnie nie zadzwoniła. Zresztą sam widzę, że coś cię gryzie.
- Nic nie rozumiesz Artur...
- To mi wytłumacz.

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się, czy warto. Zerknąłem na Sarę, stała pod ścianą, wyglądała jak przerażony piesek. Wojtek, wreszcie zdecydowany, odwrócił się na krześle, przodem do mnie. Uznając to za pozytywny sygnał, zrobiłem krok w jego stronę.

Błąd.

- Nie! - warknął. Prawie mnie wystraszył. Zatrzymałem się. Zaraz po tym przeprosił, jakby sam nie był pewien, czy krzyk był tu na miejscu. - Po prostu potrzebuję teraz przestrzeni – wytłumaczył się.
- Jasne stary – przytaknąłem. Nie chciałem go bardziej denerwować. - Mogę usiąść? - wskazałem na ich małżeńskie łóżko. Skinął głową.

Usiadłem więc jakieś półtora metra od niego.

- Co się dzieje? - spytałem jeszcze raz.

Popatrzył na mnie, szukając milczącego zrozumienia. Chyba go nie znalazł, bo później przemówił.

- Nawet nie wiesz, jak to boli. Jak mnie pali gdzieś w środku, a ja nie mogę z tym nic zrobić. - Zacisnął pięści. Tak mocno, że aż cały zadrżał. - Cholera, nie wiem jak mam ci to wytłumaczyć.
- Coś ci jest? Jesteś chory?
- Nie... nic nie rozumiesz Artur. Nie widziałeś tego co ja, nie wiesz tego, co ja. Nigdy nie dowiesz się, jak się czuje człowiek otoczony ruinami tego, co kiedyś było jego światem. Artur... chyba nie dam rady. Myślałem, że wszystko jest w porządku, ale... ale kurwa nie jest... Wypaliłem się...

Słuchałem go. Starąłem się zrozumieć. Gdzieś tam, w tych jego słowach, czułem pokrewieństwo z tym, co kilka tygodni temu przeczytałem w dzienniku malarza. Chłodny dreszcz przebiegł mi po ciele.

- Wojtek, proszę cię, mów jaśniej, a postaram się ci pomóc.
- Nie da się jaśniej! - krzyknął i ponownie odwrócił profilem do mnie.

Spróbowałem inaczej.

- Spójrz na Sarę, ile cierpienia sprawiasz jej takim zachowaniem. Musisz mi dać większe pole do manewru przyjacielu.
- Tak, wiem. Ostatnimi czasy byłem powodem wielu jej cierpień. Nie chcę tego dłużej robić.
- Bardzo dobrze, pomożemy ci. Tylko przestań mówić zagadkami.

Spojrzał na mnie przez ramię, jako że łóżko, na którym siedziałem kończyło się kawałek za nim. Chłód jego wzroku zapamiętam do końca życia.

- Wiedziałem, że nie zrozumiesz – powiedział wtedy, po czym odwrócił się do biurka. - Przepraszam, że was zawiodłem. Naprawię to.
- Nigdy nas nie zawiodłeś – odezwała się w końcu.

Patrzyłem wtedy na nią, na Sarę. Szukałem w niej siły, by walczyć dalej. Ocierała rękawami nieustępliwe łzy, gdy usłyszałem znajomy dźwięk otwieranej szuflady. Momentalnie odwróciłem głowę.

Trwało to może z sekundę, choć pamiętam każdy szczegół. Jego rękę, sięgającą do wnętrza

szuflady. Błysk promieni słońca odbijających się na czarnym lakierze pistoletu, który dobrze znałem. Całą łukową trajektorię ruchu jego ręki, gdy go unosił w kierunku głowy. Mój zryw w jego stronę. Krzyk Sary. Głuchy dźwięk wystrzału. Czerwień, która pojawiła się w pokoju. Jego ciało, bezwładnie spadające z krzesła na podłogę. Jeszcze większy krzyk Sary, gdy kulila się pod ścianą. Mój paraliż na widok tego wszystkiego.

Ciągle mam wrażenie, że jego śmierć miała mnie przed czymś przestrzec, ale za cholerę nie wiem, przed czym. Jedno nie ulega wątpliwości, chciał mi pomóc. Notatki z biurka mojego byłego partnera pozwoliły mi przekonać przełożonych do kontynuowania śledztwa. Okazało się, że utrzymywał kontakt z tą kobietą, a ponadto opisał wydarzenia w magazynie. Tym samym przechylił szalę zwycięstwa w moją stronę.

Po kilku dniach oficjalnie przywrócono mi tę sprawę.

Osaczony

- ... ale czemu nie lubisz postmodernizmu?
- Nie cierpię Klara. Postmodernizm jest wytworem głupoty ludzkiej za wszelką cenę podążającej za ideą wolności. Wolność we wszystkim, wyzwólmy sztukę z kajdan zasad! Co za idiota to wymyślił? Ty widziałaś jaką sztukę się teraz tworzy? Ten twój postmodernizm dał przyzwolenie na tworzenie totalnego gówna ludziom nie posiadającym żadnego talentu.
- Wiesz co, chyba trochę przesadzasz. Ok, zgodzę się, że powstaje masa gówna, ale też wiele naprawdę wartościowej sztuki.
- Wiele to chyba za dużo powiedziane. Jakoś tego nie zauważam, a te kilka perełek nie ratuje całego systemu.
- Może za słabo szukasz, albo nie rozumiesz idei postmodernizmu Robert. - Położyła dłoń na jego ramieniu. Nie zareagował na to w żaden sposób.
- Może, ale ja nigdy nie byłem wielkim fanem formy, a właśnie na niej próbuje postmodernizm jechać. Wiesz, ja zajmuję się pisaniem i może jestem przez to trochę spaczony, bo zawsze będę stawiał treść ponad formę, bo ona bez treści jest pusta. To pewnie jest główny powód, przez który postmodernizm mi się nie podoba. Już Bukowski mówił, że kiedy brakuje treści, to pojawia się forma.

Cofnęła rękę.

- Nie sądzisz, że sama forma też może być piękna?
- Oczywiście, że może, ale bez treści znika z pamięci tak szybko, jak się pojawiła. Wiesz, jak ja to widzę? Jeden debil – oficjalnie nazywany artystą – próbuje przekonać kolejnego debila – odbiorcę – że to co stworzył ma jakąś głębię. Ot, cały postmodernizm.
- Strasznie płytko na to patrzysz. - Wzięła łyk piwa.
- Raczej trzeźwo, niż płytko. Wiem, może trochę przesadzam, ale temat współczesnej sztuki to jedno wielkie bagno, w którym nie chcę się taplać. - Też chciał się napić, gdy przypomniał sobie, że skończył swoje już kilka minut temu.
- To co, lecimy? - spytała, odstawiając szklankę z resztką piwa.

Spojrzał na to.

- Nie dopijasz?
- Zawsze trochę zostawiam. A co, chcesz dopić?
- No nie Klara. - Zaśmiał się. - Dzięki. Idziemy?
- Tak.

Narzucił płaszcz i poczekał, aż jego partnerka się ubierze. Później razem wyszli z baru.

Jesienna noc była gwiazdzista i zimna. Kilku bywalców knajp stało gdzieś tam, paląc papierosy. Poza nimi trudno było znaleźć jakiegokolwiek przechodnia, czy choćby skromnego gwaru. Tej nocy miasto spokojnie zapadało w swój krótki sen.

- Chodź, odprowadzę cię – zaproponował. Odpowiedziała mu uśmiechem.

Ich wspólny spacer nie trwał długo. Klara mieszkała jakieś dziesięć minut piechotą od baru, w którym się spotkali. Te dziesięć minut poświęcili na rozmowy o wszystkim i o niczym.

- Mogę cię o coś zapytać? - wtrąciła między wątkami.
- Jasne.
- Byłeś kiedyś zakochany? - wypaliła.
- O cholera, teraz wytoczyłaś ciężkie działa.
- Nie no wiesz, jestem ciekawa. Powiedz proszę.
- Trudno powiedzieć – prześwilił w głowie wszystkie swoje miłości. - Tak na poważnie

to raczej nie.

- Naprawdę?
- Wiesz, nie wliczając w to jakichś szczenięcych miłostek, to nie. Nie przypominam sobie.
- Oj Robert – westchnęła i jakby zawężyła dystans między nimi. - Współczuję ci z całego serca.
- Czemu?
- Bo to cudowne uczucie – wyjaśniła.
- Tak, wiem. W końcu miłość to najsilniejszy i najdłużej działający narkotyk na świecie – przyznał. - Przynajmniej kilkumiesięczny haj gwarantowany, co nie?
- No, - zamyśliła się na moment - życzę ci, żebyś mógł go przeżyć.

W chwilę później dotarli pod jej adres. Zatrzymali się przed brama wejściową.

- Wejdiesz na chwilę? - spytała.
- Nie Klara – odparł najmiej jak mógł. - Jestem już zmęczony i wygłodzony, od południa nic nie jadłem.
- Na pewno? - Jej ton przybrał odcień błagalnego flirtu.
- Tak, marny byłby ze mnie teraz towarzysz.
- Rozumiem... - odpuściła. - To do zobaczenia.

Przytuliła go na pożegnanie.

- Do zobaczenia.

Patrzył chwilę, jak Klara odchodzi. Kiedy już zniknęła w bramie, wyjął papierosa i odpalił go. Zaciągnął się kilka razy, po czym odwrócił się i wolnym krokiem rozpoczął marsz do swojego mieszkania.

Pozwalał myślom płynąć swobodnie, kiedy przemierzał nocne, mieniące się neonami miasto. Te widoki pustych ulic, rozświetlanych latarniami, przemierzanych przez takich jak on nocnych podróżników o wątpliwej trzeźwości, których było tak niewiele, że można by zliczyć na palcach obu rąk, do tego ta cisza i spokój oraz trzymany w ręce, leniwie tłący się papieros. To połączenie zawsze wprawiało go w dobry nastrój.

Jego myśli krążyły wokół dzisiejszego wieczoru. Bez dwóch zdań miło spędził czas, ale zastanawiał się nad zakończeniem tego spotkania. Był pewien, że dobrze zrobił, kończąc je w taki sposób, ale samce ego czuło niedosyt, nie pozostawało bierne i sugerowało inną formę spędzenia nocy. Dał mu dojsć do głosu, zastanawiał się dłuższą chwilę nad jego racjami i ostatecznie zdecydował, że, biorąc pod uwagę konsekwencje, podjął dobrą decyzję.

Nagle ktoś wyrwał go z zamyślenia.

- Jo! - usłyszał za sobą.

Odwrócił się, zaskoczony.

- O siema stary! - zawołał, zauważając swojego dobrego kumpla. Przystanął i poczekał na niego. - Skąd wracasz? - spytał, kiedy ten go podgonił. Dalej szli już razem, bo niedaleko siebie mieszkali.
- Wyjazd miałem i dopiero teraz wróciłem. A ty co tu robisz?
- Byłem na spotkaniu.
- Z kim?
- Z koleżanką.
- Z Elą? Miałeś się z nią już nie spotykać.
- Nie z Elą, z Klarą.
- Ah, ok. I co?
- I nic.
- Jak to nic? Nie zakochałeś się Robercik? - zażartował.
- Stary, ja cały czas jestem zakochany – odpowiedział, również żartem.

– Ta, chyba w sobie.

Przegadali całą drogę powrotną, ten temat już uleciał, ale te ostatnie słowa przyjaciela wbiły mu się do głowy tak, jak to często bywa z chwytliwymi piosenkami. W tamtym momencie jeszcze nie do końca sobie to uświadamiał, ale gdy już wrócił do domu, gdy został sam na sam ze swoimi myślami, powróciły jak echo, pełne wspomnień z jego przeszłości. Co prawda był to żart, ale był to ten rodzaj żartu, który przemyślał to, czego nie chce się mówić na poważnie, prawdę. Naprawdę jestem zakochany w sobie? - zadał w końcu to pytanie. - Możliwe, ale czy aż tak to widać? - Zatrzymał się nad tym problemem, ale nie poświęcił mu dużo uwagi.

Zjadł obiecany sobie, późny obiad i niedługo po tym położył się spać.

Cała seria kolejnych dni okazała się być naszpikowana wydarzeniami, które, ku jego własnemu zaskoczeniu, miały na stałe zagościć w jego umyśle. Pojedynczo nigdy nie zwróciłyby jego uwagi, ale razem te skromne prądy potrafiły wykreować olbrzymią falę, przed którą nikt nie dałby rady uciec. Chociaż on się starał.

Te wszystkie wydarzenia miały jeden wspólny punkt ogniskowy, a była nim jedna osoba, dziewczyna, Maria.

Znali się już wcześniej. Kiedy ją poznał stwierdził, że jest naprawdę ładną, brązowooką brunetką, ale na tym zakończył zajmowanie się jej osobą. Wystarczało mu dotychczasowych wrażeń, więc zamierzał uciąć problem w zarodku, zablokować swoje myśli na jej temat. Mimo szczerych chęci problemowi jednak udało się wykiełkować na kanwie ich zbyt częstych spotkań.

Kiedy zobaczył ją któregoś dnia, przepięknie ubraną, w tej białej czarnej marynareczce i spodniach, drobną istotkę obdarzoną taką urodą, że onieśmieliłaby nawet najbardziej zatwardziałego samca alfa, wtedy pojawił się sygnał alarmowy. Rozmawiał z nią, sam nie wiedział o czym, dławiąc w sobie komplementy cisnące się na usta. Nigdy nie miał interesu w tym, żeby wzbudzać w kobietach zainteresowanie swoją osobą, bo też nie miał im do zaoferowania nic, poza przelotną znajomością. Nawet stosując taką taktykę, ciągle nader często im ulegał bo, ostatecznie, prędzej czy później one i tak przychodziły do niego same. Tym razem nie miało być wyjątku.

Efekt kuli śnieżnej rozpoczął się od, wydawać by się mogło, skromnej przysługi. Ot, pewnego dnia spotkał ją, porozmawiali, podobno ktoś ją wcześniej zaczepiał i nie chciała wracać sama do domu. Jakim mężczyzną by był, gdyby odmówił jej wtedy pomocy. Odprowadził ją, a ona odwdzieczyła mu się zaproszeniem na herbatę. Posiedzieli chwilę u niej, Robert trochę pożartował, Maria się śmiała, co dobrze wróżyło. W tym czasie zapalił papierosa, zaproponował jej jednego. Mówiła, że rzuciła, ale wyjątkowo może się poczęstować. Patrzył na nią. Lubił widok palącej kobiety, zawsze było w nim coś seksownego. Nie siedział wtedy u niej długo z dwóch powodów: ona musiała gdzieś wyjść, a jemu było to na rękę – zbyt długi pobyt w jej mieszkaniu mógł się skończyć kłopotliwą sytuacją.

Kula śnieżna nabierała objętości i rozpędu z kolejnymi dniami. Marysia to, Marysia tamto. Marysia igrała z nim, a on w te jej gierki się nieświadomie bawił. Zapraszała go na koncert, by, gdy już miał się wydarzyć, nie odbierać telefonu. Chciały się upalić z koleżanką. On miał towar, one urodę, więc czemu nie? Odwiedziły go wtedy i spędzili wspólnie miłe popołudnie. Później miała problemy z mieszkaniem, a że kiedyś jej wspominał, że ma ogromny metraż, chciała zamieszkać u niego. Na to kategorycznie się nie zgadzał, nie miał zamiaru dzielić swojej lwiej jaskini z jakąkolwiek lwicą, a w szczególności z tak niebezpieczną dla niego. Sprawa urwała się na parę dni. Gdy ponownie poczuł się zabezpieczony, otrzymał smsa: „Hej, możemy wpaść dzisiaj zobaczyć mieszkanie? :)”. „Możemy” odnosiło się do jej koleżanek, które znalazły się w podobnej sytuacji, co ona. Trawił długo tę śmiałą propozycję. Po ponad godzinie do niej zadzwonił. Stawiał opór, mówił, że nie widzi mu się mieszkanie z trzema dziewczynami, ale ona, krok po kroku, ugłaskała go tym swoim bajecznym głosem tak, że słabł i słabł, a jego opór stawał się coraz bardziej iluzoryczny. Ostatecznie zgodził się, uległ jej i tym razem. Miał wielką słabość do pięknych kobiet. Umówili się na dziewiątą.

Kiedy godzina dziewiąta minęła, a po niej minęła godzina kolejna, było już po sprawie. Nie przyszła. Szczęście i nieszczęście walczyły wtedy w jego wnętrzu.

Przez cały ten okres czuł się tak, jakby atakowała go ze wszystkich stron. Osaczony przez jedną dziewczynę. Jej osoba, w postaci jej imienia, Marysia, tak rzetelnie i długotrwanie była wbijana w jego głowę, że w końcu zadomowiła się tam na dobre. Sam moment tego zadomowienia umknął jego uwadze. Został postawiony przed faktem dokonanym, a to znaczyło, że miała go w garści.

Robert chyba sam jeszcze nie był świadom tego, co w nim siedzi. W okresie, w którym działy się te wszystkie wydarzenia w tle przewijało się kilka konkurentek Marysi, ale żadna z nich nie mogła już do niego dotrzeć. Były jak aktorki drugoplanowe, grające w półcieniu, gdy wszystkie światła reflektorów skierowano na główną protagonistkę, przez co błyszczała tak mocno, że nikt i nic nie miało na tyle mocy, by ją zasłonić.

Seria niefortunnych przypadków kazała mu nawet spotkać ją w momencie, w którym był na samym dnie. Bezdomny, zraniony i chory, wyrzucony z miasta, które było jego domem. Wtedy, szczęśliwym zbiegiem okoliczności uszedłszy przed wymiarem sprawiedliwości, kierował się, półprzytomny, na autobus mający zawieźć go do rodzinnego domu. Nawet wtedy pojawiła się na jego drodze. Ona, jak zwykle zresztą, wyglądała pięknie, on był w rozsypce.

- Robert? Cześć – powiedziała, gdy w mijanym przez nią, złamanym człowieku rozpoznała właśnie jego.
- Cześć Marysia – odpowiedział zmęczonym głosem, klnąc w duszy na ironię życia. Naprawdę musiał spotkać ją właśnie wtedy?
- Co ci się stało?
- Nic, chory jestem. Właśnie idę do lekarza. - Wymyślił na poczekaniu.
- Naprawdę źle wyglądasz – stwierdziła – mam iść z tobą?
- Nie dzięki, dam sobie radę.
- Na pewno?
- Tak...
- No dobra. - Patrzyła na niego, jakby próbowała stwierdzić, czy nie przewróci się parę kroków dalej. - Odezwę się do ciebie później. Sprawdzę, czy żyjesz.

Uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalał mu jego ówczesny stan.

- Dzięki, miło cię było zobaczyć.
- Wzajemnie, to pa.
- Na razie.

Rozeszli się. Następnego dnia faktycznie do niego napisała. Odpisał jej krótko, że „żyje i nie ma się o co martwić”, ucinając w ten sposób rozmowę. Mimo wszystko, jej zainteresowanie było miłe. Niestety, nie mogło naprawić życia walącego mu się w tamtym momencie na głowę.

Okres rekonwalescencji trwał długie tygodnie. Nigdzie wtedy nie bywał, starając się zregenerować obrażenia, których doznał. Może fizycznych było niewiele, ale psychicznych trochę się nabierało. W końcu znowu stanął na nogi, wyjechał za granicę, raz i drugi, po czym wrócił do miasta, które go niegdyś wypluło.

Powrót do pisania dał mu siłę, by ustabilizować roztrzęsioną duszę. Ponownie stał się sobą, silniejszym o nowe doświadczenia i rozważniejszym. Ponownie życie przyjęło go w swoje szeregi. Ponownie odzyskał zainteresowanie płci pięknej.

Marysia przestała zaprzętać mu głowę. Przez długi czas swojej nieobecności w ich wspólnym mieście nie widział jej na oczy, a po swoim powrocie widywali się dużo rzadziej, niż miało to miejsce wcześniej. Znikł obiekt pożądania, zniknęło również pożądanie. Z mijającymi tygodniami dziewczyna, która niemal go opętała, stała się raczej miłym wspomnieniem, niż faktycznie istniejącą osobą. Znowu był wolny.

Do czasu.

Odezwała się po długim okresie milczenia, w dniu jego urodzin. Złożyła mu życzenia, by chwilę później prosić go o przysługę. Nawet go to bawiło. Mała manipulantka. Jeśli chodzi o kontakty z nią, zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Nie miał powodu jej odmawiać. Miał sporo wolnego czasu, a jej prośba nie była wielka. Chodziło tylko o podpisanie kilku dokumentów przez odpowiedniego człowieka. Nie mogła tego zrobić osobiście, gdyż zmieniła miejsce zamieszkania. Zgodził się jej pomóc.

Załatwił, co trzeba było załatwić i dał jej znać. Zaszczyciła go, dzwoniąc kilka godzin później. Cieszyła się z pomyślnie załatwionej sprawy, a i on był zadowolony, że mógł jej pomóc. Mówiła, że wpadnie do miasta, i że muszą się jakoś umówić, żeby mogła odebrać swoje papiery, i że musi z nią później pójść na kawę, bo chce mu się odwdziżyć za przysługę. Mimo iż zgodził się od razu na tę propozycję, upewniała się jeszcze dwukrotnie co do jego decyzji. Raz na koniec ich telefonicznej rozmowy i drugi, już w dzień, w którym się spotkali.

Straszna szaruga panowała wtedy na zewnątrz. Pomógł jej załatwić kilka formalności i, już po wszystkim, znaleźli przyjemną kawiarenkę niedaleko centrum. W tamtej chwili byli jej jedynymi klientami.

Marysia zamówiła sobie herbatę, a jemu czarną kawę. Początkowo wzbraniał się przed tym, żeby za niego płaciła, ale ona utrzymywała, że skoro spełnił jej prośbę, to chce mu się odwdziżyć. Nie chcąc robić większego zamieszania, nie wymagała sytuacji, ustąpił. Jakoś przełknie tę drobną skazę na męskim honorze. W przerwie na zrealizowanie zamówienia zdjęli odzież wierzchnią i usiedli przy stoliku.

Jeśli Robert miałby powiedzieć, co takiego jest w tej dziewczynie, siedzącej teraz obok niego, wymienić powód, przez który z taką łatwością potrafiła przebić się przez jego chłodne oblicze i opętać myśli, mógłby to zrobić bez zastanowienia. Pomijając jej niezwykłą urodę, która dodatkowo wpasowywała się w to, co uwielbiał, a w niej jej brązowe oczy – ten kolor zawsze działał na niego jak afrodyzjak. Pomijając te aspekty widoczne od razu, jej magia tkwiła w czymś dużo subtelniejszym. Miała w sobie coś na podobieństwo wrodzonej elegancji, ktoś mógłby nawet nazwać to wyrachowaniem, wyglądała jak dama, zawsze dumna, zawsze starająca się ustawić człowieka tak, by działał wedle jej woli, a nawet wtedy pozostawała przy tym niezwykle zmysłowa. Poeta mógłby powiedzieć, że była jak bogini, baczenie obserwująca otaczających ją śmiertelników. Robert poetą nie był, ale dobrze wiedział, z jakim typem kobiety miał do czynienia. Jednak równocześnie miał wielką słabość do dam.

Zauważył coś niezwykłego, gdy z nią tam siedział. Trzęsły jej się dłonie. Widział to przez moment, kiedy sięgała po herbatę. Czyżby stresowała się jego obecnością? Mógłby tak na nią oddziaływać? Te myśli nie pojawiły się znikąd. Kiedyś, dawniej, jemu tak trzęsły się ręce, gdy z nią rozmawiał. Od tamtej pory jednak minęło sporo czasu, miał czas by dojrzeć, dzięki czemu teraz był spokojny i opanowany.

A mimo to swobodną rozmowę ze swoją towarzyszką utrudniały mu jego rwące się emocje. Mówiąc, musiał jednocześnie powstrzymywać masę słów cisnących mu się na usta. Takich, których nie chciał wypowiadać, bo za bardzo by się odsłonił. Nie mógł tego zrobić, nie chciał podbijać tego, czego nie miał zamiaru czuć. Nigdy jeszcze, przy żadnej kobiecie, nie czuł się tak podatny, wręcz bezbronny, jak przy niej.

Jednak, pomimo tych niedogodności, miło spędził te kilka godzin z nią u boku. Prawdę mówiąc, nawet gdyby mieli milczeć i gapić się tylko tępo w ścianę, czas mijałby przyjemnie i szybko, właśnie dzięki jej obecności. Takie właśnie było jej cholernie działanie, a efekt tego działania jednocześnie napawał go radością i strachem. Radością, bo czuł się tak, jakby ktoś na nowo wtłoczył w jego żyły życie, a strachem, gdyż to samo życie stawało się jego nałogiem.

Musiała iść, ona zawsze miała coś do załatwienia, zawsze musiała gdzieś iść. Tym razem i tak poświęciła mu niezwykle dużo czasu. Niemniej, wstali, ubrali się i opuścili lokal. Pożegnali się

już na zewnątrz. W końcu, niestety, musiał nadejść ten moment.

- No to, Robert, nie wiem, kiedy znowu się zobaczymy.
- Będziesz tu przecież za tydzień, może wtedy?
- Nie wiem, czy nie będę musiała od razu wracać...
- Marysia, dobrze ci radzę, zwolnij trochę. Świat będzie się kręcił dalej, z tobą, czy bez ciebie.

Skwitowała to uśmiechem, po czym uściśnęła go na pożegnanie. Zdziwiony w pierwszej sekundzie, po chwili objął ją również. Zdziwiło go nie tyle samo zachowanie, co obecność tego zachowania u niej. Jasne, większość dziewczyn nie stroni od tego typu czułości, a i większość z tych, które znał bez oporów rzucały mu się na szyję już po krótkiej znajomości. Marysia jednak jeszcze nigdy tego nie zrobiła i dlatego też od razu wyłapał ten ewenement. Oczywiście nie miał powodu narzekać na jej nagłą zmianę zachowania.

- Mmm – mruknął. - Miło.

Odstąpiła o krok i zmierzyła go wzrokiem. Nie sądził, żeby zrozumiała, o co mu chodziło. Delikatny uśmiezek zarysował się na jej twarzy. Jak zawsze – elegancka i dumna.

- Na razie Robert, dzięki za pomoc.
- Nie ma sprawy, do zobaczenia.

Poszła w swoim kierunku. On wyjął papierosa i ruszył w swoją stronę. Przystanął, żeby go odpalić i wtedy też odwrócił się jeszcze, wzrokiem odprowadzając Marię aż do końca ulicy. Dalej nie mógł, gdyż róg dalekiej kamienicy zabrał mu ją na dobre. Zaciągnął się i wypuścił chmurę dymu, po czym skierował się do domu.

W domu już będąc, kiedy wszystkie emocje opadły i miał chwilę, by ochłonąć, zaczął rozumieć, co się z nim działo. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Sam na sam ze swoimi myślami, które niezmordowanie go dręczyły, chodził po mieszkaniu, palił papierosy, nie potrafił usiedzieć na dupie, bo gdy już usiadł, czuł, jak się w nim kotłowało. Nie potrafił nad tym zapanować. Jakiś wewnętrzny niepokój nakazywał mu pozostawanie w ciągłej aktywności, a gdzieś w centrum tego niepokoju zaszczepliło się wspomnienie o niej.

Sam na siebie ukręciłem ten bicz. Po cholere się z nią spotkałem? - ganił się, gasząc kolejnego, nie pamiętał już którego, papierosa. Starał się, mniej lub bardziej świadomie, zdusić dymem tytoniowym żrący go od środka niepokój. Oczywiście marne w skutkach było to leczenie. Stan, w którym się znajdował utrzymywał się w nim, z różnym natężeniem, przez kilka następnych dni.

W przeciągu swojego życia nauczył się jednak, jak nikt inny, trzymać swoje emocje na smyczy, przez co jego najbliżsi nie byli w stanie zauważyć burzy, jaka panowała wewnątrz niego. Jedyna zauważalna zmiana, która zaszła w Robertcie w tamtych dniach, to zwiększone zmęczenie. Bądź co bądź, walczył z wewnętrznym sztormem, co wymagało od niego wielkich nakładów energii.

Nie był pewien jak doprowadził do tej sytuacji. Jego kanapa była rozłożona, a na niej siedziały Maria z Anetą – jego byłą dziewczyną. On, lekko przyćmiony leżał obok nich, oparty głowa o ścianę. Obserwował je. Coś do siebie szeptały. Nie był pewien, skąd one się ze sobą znały, a może on je ze sobą poznał? Nie pamiętał.

Chwilę później dziewczyny były półnagie, pozbawione górnej części garderoby. Całowały się ze sobą, zupełnie ignorując jego obecność. Nie był pewien jak ma się teraz zachować. Dał sobie sporo czasu na zastanowienie. Jakoś mu się z tym nie spieszyło. Przecież za takie przedstawienie niejeden facet oddałby i wyplatę, i nerkę, i jedno jądro, jeśli by tego od niego wymagali.

- Dziewczyny, nie wiem czy o to wam chodziło, ale ja się podnieciłem.

Spojrzały na niego pierwszy raz od początku swoich igraszek. Wzrok ich przypominał spojrzenie mitycznych syren, kuszących, wyłącznie dla własnej uciechy, biednego marynarza. Marynarzem tym, na swoje nieszczęście, był teraz Robert.

Nie skończył jednak jak jego antyczny poprzednik, gdyż jedna z syren, Maria, pozostawiła Anetę samej sobie i zmysłowymi, kocimi ruchami zbliżyła się do niego. Nic nie mówiła. Uniosła się tylko nad nim, klęcząc na kolanach. Miał okazję zobaczyć ją w całym majestacie. Serce mocniej mu zabiło, gdy zawiesił wzrok na jej delikatnie zarysowanych piersiach i sutkach w kolorze ciemnej czerwieni.

Zerwał się z pozycji leżącej i przyłgnął do niej, wręcz rzucił się na nią. Obejmował, dotykał, całował jak oszalały. Powalił ją na kanapę, chyba nawet spadli na podłogę – tego nie był pewien. Zbyt był zajęty swoją zdobyczą. Nie potrafił się nią nacieszyć, chłonał każdy cal jej młodego ciała. Maria nie odzywała się, nie śmiała, nawet nie jęknęła, była jak ofiara złożona przed jego obliczem. Poddała mu się całkowicie, a Robert, opętany namiętnością, łapczywie wykorzystywał jej poddaństwo.

Nagle nitka rozumu wskoczyła gdzieś pomiędzy nieprzerwany ciąg żądz. Opamiętał się i przerwał swoje pieszczoty. Był trochę oszołomiony. Puścił ją. Podparł się na rękach, by spojrzeć na leżące pod nim чудо. Popatrzył w jej oczy.

To, co tam zobaczył, kazało mu stworzyć własne.

Ocknął się nad ranem. Usiadł na krawędzi łóżka i przetarł twarz ręką. Ja pierdole, tego już jest za wiele – pomyślał. Nawet we śnie nie dajesz mi spokoju? Poszedł zrobić sobie poranną kawę, do której tradycyjnie wypalił papierosa. Tego poranka też nie mógł zaliczyć do spokojnych. Emocje w nim buzowały. Zastanawiał się, jak spuścić to rozrywające go ciśnienie.

Musiał wyjść, by załatwić kilka urzędowych spraw, ale nawet zajęcie umysłu czymś innym nie dało wymarzonego odpoczynku. Przez cały ten czas był nieobecny, a towarzyszący mu ludzie byli zmuszeni do wyrwania go z wnętrza samego siebie. Nie mógł tak długo pociągnąć. Trzeba było coś ze sobą zrobić.

Wczesnym popołudniem skończył swoje zajęcia. Znalazł mniej hałaśliwe miejsce w centrum miasta. Wyjął z kieszeni telefon. Wahał się. Czy to aby na pewno dobry pomysł? Ostatecznie zdecydował, że musi się z kimś podzielić swoimi przeżyciami. Zadzwoił.

- Siema, co jest? - usłyszał głos kumpla.
- Siema, wpadłbym na chwilę, jesteś wolny?
- Tak, ale masz jakąś sprawę czy co?
- Nie, muszę po prostu z kimś pogadać.
- O czym pogadać?
- Po prostu pogadać, dowiesz się jak przyjdę. To mogę wpaść?
- No spoko stary, wbijaj.
- Dobra, będę za jakieś piętnaście minut.

Pożegnali się. Robert skierował swoje kroki w kierunku mieszkania kumpla. Na miejsce dotarł mniej więcej w tym samym czasie, w którym się zapowiedział.

Usiadł. Robert w fotelu, a jego kumpel – Darek naprzeciwko, na kanapie. Jak to zwykle u nich bywało, już od progu zaczęły się żarty ze wszystkiego i ze wszystkich, które nieraz potrafiły ciągnąć się bez końca. Robertowi było to na rękę. Musiał zebrać w sobie wiele siły, by wyrzygać to, co leżało mu na sercu. Potwierdzeniem niech będzie fakt, że to Darek pierwszy poruszył ten temat.

- No to o czym chciałeś pogadać?
- Eh, w sumie sam nie wiem, jak mam o tym mówić – zapalił papierosa, dla uspokojenia i ułatwienia. Poczęstował również Darka. Kiedy obydwójce już palili, kontynuował. - Wiesz, że nie jestem człowiekiem, który lubi się zwierzać, ale mam wrażenie, że jak komuś o tym nie powiem, to mnie dosłownie rozerwie.
- Noooo? - przeciągnął, czekając na dalszy ciąg.
- Widziałem się ostatnio z Marią, i stary, nie wiem co mam z tym zrobić.
- Z czym?

Robert opowiedział mu pokrótce jego spotkanie.

- ... i kiedy z nią tam siedziałem to... nie wiem jak to powiedzieć, ale czułem, jak wszystko we mnie rwie się w jej stronę. Niesamowite. Nawet nie wiesz, jak trudno było mi się powstrzymać, żeby się na nią przypadkiem nie rzucić. – Zaśmiał się.

Oczy Darka rozbłysnęły, jakby powróciło jakieś wspomnienie.

- O stary, wiem o czym mówisz. Ja w swoim życiu przeżyłem coś takiego tylko raz. To jest naprawdę niesamowite uczucie. Człowiek ma wrażenie, jakby jakieś dziwne, przyjemne ciepło wypełniało jego organizm.
- Tak – Robert ożył, widząc zrozumienie. - Czuje się niesamowitą lekkość, jakbyś się unosił.
- Fakt, dziwaczne i piękne naraz – potwierdził i nagle wrócił do tematu. - Ale w czym masz problem?
- Bo – przełknął ślinę - mimo tego uczucia, o którym tu teraz gadamy, nie potrafiłem w to pójść. Jakbym postawił przed sobą jakiś mur. Patrzyłem na nią i nie potrafiłem się przemóc.

Robert widział po Darku, że dał mu temat, w którym może rozwinąć skrzydła. Nic zresztą dziwnego. Jego przyjaciel od długiego czasu zajmował się takimi sprawami, i w teorii, i w praktyce.

- Wiesz, ja tylko mogę zgadywać czemu nie mogłeś się przemóc. Może być wiele powodów, teraz, jak cię znam, przychodzą mi do głowy trzy...

Robert się wtrącił. Nie wiedział, czy przez to, że nie chce usłyszeć diagnozy, czy dlatego, że już miał swoją.

- Stary, ja chyba sam wiem jaki był tego powód.
- Tak, jaki?
- Strach. Po prostu boję się tego, co we mnie siedzi. W końcu nigdy czegoś takiego nie czułem, a co za tym idzie, nawet boję się Marysi. Właśnie przez to uczucie. Boję się tego, jaką ona może mieć nade mną władzę.
- Tutaj nie ma dobrej rady stary. Zresztą sam wiesz, jak to jest z radami. Ty sam nawet nie masz pojęcia, jakie mogłoby być rozwiązanie twojego problemu, bo tego rozwiązania nie ma. Z mojej strony mogę ci powiedzieć tyle: let it go, po prostu let it go. Może być zajebiście, może być chujowo, ale przynajmniej będziesz wiedział.
- Tak, wiem. Coś muszę z tym zrobić, bo inaczej zwariuję... - zgodził się. - Ale, żeby tak depresyjnie nie kończyć naszego spotkania, to powiem tak: przynajmniej Marysia jest żywym dowodem na to, że są jeszcze na tym świecie rzeczy, na których może mi zależeć. - Wstał, zbierając się do wyjścia. - I to jest piękne.
- Szkoda, że nietrwałe. - Darek wszędzie musiał wtrącić kawałek swojej filozofii życiowej.
- Nic nie jest trwałe – uciał. - Dobra, ja będę leciał, bo od rana nic nie jadłem. Jeszcze i tak widzimy się później, nie?
- Jasne, dzisiaj praca.

Idąc do domu czuł się niewiele lepiej. Co prawda zrzucił z ramion trochę balastu, ale bynajmniej nie tyle, ile by oczekiwał. Sprawa ta dalej go gryzła, mimo marnej pociechy z faktu, że mógł się z kimś nią podzielić.

Dalsza część tego dnia wypełniła się obecnością ludzi i wspólną pracą twórczą, a dzięki tym bodźcom miał niewiele okazji by uciec do samego siebie. Resztę wieczoru spędził w towarzystwie, które dostarczało mu długo wyczekiwanego, psychicznego oddechu.

Niestety, prędzej czy później musiał nadejść nowy dzień, a wraz z nim ten sam koszmar, męczący Roberta od tygodnia. Choć już wiedział, co się z nim dzieje, to nie miał pojęcia, dlaczego to tak długo trwa. Czuł się jak opętany, jakby pewna dobrze znana mu osoba rzuciła na niego urok, bawiąc się jego kosztem. W jego przypadku czas nie potrafił wyleczyć ran.

Wiedział, że może ją jeszcze spotkać w swoim mieście. Mówiła mu, że musi tu jeszcze raz przyjechać. To, czego nie wiedział, to czy warto dalej brnąć w tę znajomość. Może lepiej byłoby dać sobie spokój i odczekać? Ostatecznie, prędzej czy później, musiało mu przejść. Żadna fascynacja nie trwa wiecznie. Z drugiej strony jednak, szkoda mu było tych emocji i chciałby sprawdzić, jak one mogą rozkwitnąć.

Tak oto wyliczał sobie każde za i przeciw po milion razy, od nowa i od nowa każdego dnia, aż nadszedł ten dzień, w którym Maria musiała pojawić się, jeszcze raz, na jego horyzoncie.

Tego poranka siedział razem ze współlokatorami w salonie. Rozmawiali o czymś, ale nie przykładał do tego większej uwagi. Jeździł palcem po ekranie telefonu, klikał jej numer i wycofywał to kliknięcie po parę razy. Ciągłe nie był pewny. Ale, kiedy przypomniał sobie ostatni tydzień tej mordęgi, zdecydował się. Napisał jej smsa, czy aby na pewno jest dzisiaj w mieście. Wolałby zadzwonić, jednak o tej porze prawdopodobnie była już zajęta i i tak by nie odebrała.

Ze kwadrans czekał na odpowiedź, a był to kwadrans, w którym czuł każdą mijającą sekundę. Nie odpisywała, co było do niej podobne, a on nie mógł dłużej czekać. Wiedział gdzie będzie i zdecydował się pójść tam w ciemno.

- Gdzie idziesz? - spytał jeden z jego współlokatorów, kiedy Robert wstał z miejsca.
- Na spotkanie swojego przeznaczenia - odparł z gorzkim uśmiechem, po czym ubrał się i wyszedł.

Tego poranka pogoda była ohydna. Nie dość, że straszna szaruga panowała na zewnątrz, to jeszcze się rozpadało. Przemókł do reszty kiedy dotarł pod budynek, w którym musiała w tym czasie być Marysia.

Teraz to już i tak wszystko jedno – pomyślał. Przystanął przed wejściem, na deszczu, i zapalił papierosa.

Kiedy tam tak stał, jego stan osiągnął istne apogeum. Już nic nie wiedział. Nie wiedział, czy ma tam czekać, czy sobie pójść, czy ma zrobić to, co zaplanował, czy poddać się i uciec jak najdalej. Trząsł się, ale nie od zimna. Odpalał papierosa od papierosa, próbując nikotyną uspokoić wykończone już nerwy.

Palił piątego z kolei, kiedy zobaczył ją, swoją nemezis, Marię, wychodzącą na zewnątrz. I ona go zauważyła. Podeszła do niego, żeby się przywitać.

- Cześć Robert, co ty tu robisz? Przecież masz dzisiaj wolne.
- Tak, mam wolne, ale czekam na ciebie.
- Na mnie? - spytała zdziwiona. - O, jak miło.
- I jak ci poszło? - rozpoczął od czegoś lekkiego.
- Udało się na szczęście.
- Gratulacje! Ile tam siedziałas?
- Nie wiem, ze dwadzieścia minut. W miarę szybko się uwinęli.
- Mnie też krótko trzymali, ale cieszę się, że ci się udało.
- No, teraz ten cały stres ze mnie schodzi.

To wybacz, że ci go zaraz przywrócę – pomyślał.

- Maria, – zaczął – bo widzisz, muszę ci coś powiedzieć.
- Co? - spytała zdziwiona.
- Jestem w ciąży – zażartował. Co prawda żart nie należał do górnolotnych, ale bardziej był wynikiem stresu, niż chęci. Mimo wszystko dopiął swego, uśmiech wywołał.
- Robert, nie stresuj mnie teraz, proszę cię. Ja jeszcze nie doszłam do siebie.
- Ok, daj mi po prostu pięć minut, powiem, co mam powiedzieć i tyle.
- No dobra – popatrzyła na niego niepewnie. - To chodź już pójdziemy w tamtą stronę, bo jestem umówiona z koleżanką.

Zgodził się. Poszli razem w kierunku centrum.

Kiedy zaczął mówić, przez jego usta próbowało precyzyjnie się milion myśli, co w rezultacie poskutkowało kilkoma słowami, marnie do siebie dopasowanymi, układającymi się w koślawe, nieociosane zdania. Marnie to brzmiało dla zwykłego człowieka, a co dopiero dla pisarza. W tym momencie zrozumiał, że wydobyć z siebie prawdy, szczerości, to dla niego nie lada problem. Czemu kłamstwo zawsze przychodziło mu z taką łatwością?

- Wiesz co – próbował się ratować – w przeciągu swojego życia nauczyłem się pięknie pisać, ale jakoś nigdy nie nauczyłem się pięknie mówić.

Maria dobrze wiedziała, czego się może spodziewać dalej. Już wcześniej wyczytała to z jego nieudolnego przemówienia. Pozwoliła mu kontynuować.

- Powiem po prostu szczerze, więc się przygotuj, bo to będzie mocne. Ludzie w dzisiejszych czasach nie są przyzwyczajeni do szczerości – powiedział w formie wstępu, by potem przejść do sedna. - Marysia, jesteś piękną dziewczyną, do tego kręciłaś się wokół mnie wystarczająco długo, żebym nie pozostał obojętny. Podobasz mi się, a nawet więcej. Czuję, jak wszystko we mnie rwie się do ciebie.

Powiedział to. Jaka to była dla niego pierdolona ulga. Całe ciśnienie siedzące w nim momentalnie zeszło. Jednak za tę ulgę musiał zapłacić cenę. Odsłonił się przed Marią, jak przed nikim innym wcześniej. Nagi i bezbronny, czekający na jej reakcję. Miała go na kolanach, jak Leyla Erica Claptona, jak Dolores Humberta Humberta, jak Grusza starego i młodego Karamazowa.

I tak samo jak one swoim wielbicielom, odmówiła mu. Powiedziała nie.

Pierwszy raz usłyszał nie. Czyżby to była karma za te wszystkie razy, kiedy on, prędzej czy później, odmawiał swoim adoratorkom? Tego nie mógł się dowiedzieć, ale za to poznał gorzki smak porażki. Co najdziwniejsze: ego ucierpiało, ale on sam nie poczuł żadnej zmiany, żadnej złości, radości, czy innego uczucia, tylko niesamowita ulga i pewna dziwna fascynacja pierwszą kobietą, która mu odmówiła.

Rozmawiali jeszcze chwilę po wszystkim. Ona próbowała mu wytłumaczyć, że myli się co do jej osoby, on, nie chcąc wchodzić z nią w dyskusję, cierpliwie jej wysłuchał. Nawet tych psychologicznych tekstów, jakby żywcem wyjętych z pierwszego lepszego podręcznika do psychologii. Wiesz, że ja też przeczytałem w swoim życiu parę książek? - chciał powiedzieć, ale się powstrzymał.

- Psychologia... - westchnął zamiast tego, podsumowując jej wypowiedź.
- Dlatego myślę, że lepiej jeśli powiem ci szczerze, niż jeśli mamy bawić się w kotka i myszkę.
- I dobrze robisz – potwierdził bez ironii. - Ponownie dajesz mi wolność.

Patrzyła na niego trochę speszona. Chyba już nie miała nic do dodania.

- Dobra Marysia, powiedziałem, co miałem powiedzieć. Nie będę cię już dłużej zatrzymywał, ale zrób jeszcze coś dla mnie – poprosił. Ona patrzyła w oczekiwaniu. - Przytul mnie na pożegnanie.

Zrobiła to bez oporów. Objął ją, pewnie ostatni raz. Później się rozstali.

- Trzymaj się – powiedział na pożegnanie.

Kiedy odeszła, zapalił papierosa. Deszcz lał nadal. Nie ma co, scena żywcem wyjęta z romantycznej komedii. Zaśmiał się na tę myśl.

Mimo wszystko był zadowolony. Wreszcie, może trochę nieudolnie, ale wyrąbał dziurę, przez którą mogło ujść wszystko to, co nagromadziło się ostatnimi dniami. Czuł wymarzoną ulgę. A co do Marii, był jej wdzięczny za to, co w nim wyzwoliła, nawet za cenę urażonego męskiego ego, które będzie się leczyło jeszcze długo po tym zdarzeniu.

Papierosa, czy dwa dopalił w drodze do domu.

Błąd

- Stary, coś tu nie gra.
- Co ci znowu nie gra?
- Nie wiem, tak jakby czegoś brakowało...?
- Brakowało? Ale czego?
- Nie uważasz, że jakoś tu pusto? Nie miało tu być opowiadania?
- O cholera! Faktycznie, opowiadanie. Na śmierć o tym zapomniałem.
- No i co teraz zrobimy? Zostaniesz tu z pustą kartką?
- Nie no, nie mogę tak tego zostawić. Czekaj czekaj, zaraz coś wymyślę.
- Teraz chcesz coś wymyślać? Przecież zaraz wychodzisz.
- Daj mi chwilę. Sytuacja jest jeszcze do odratowania.
- Skoro tak uważasz... Tylko się postaraj, ludzie to będą czytali.
- Nie pomagasz! Ale dobra, jedziemy z tym. Zaczniemy od wymyślenia protagonisty. Mężczyzna, czy kobieta?
- Może kobieta? Tak dla odświeżenia klimatu?
- Kobieta mówisz? Z kobietą będzie trudniej...
- To rób mężczyznę.
- Nie, niech będzie kobieta. Postawmy na większe wyzwanie. Więc, mamy bohaterkę. Teraz pomyślmy, czym może się zajmować? Tak, żeby było ciekawie. Jakiś interesujący zawód... hmmm...
- prostytutka?
- Ostro, ale... Tak jest! Złammy zasadę piękna. Kobieta świadcząca usługi seksualne mężczyznom. Tylko, nie możemy zrobić z niej zwykłej ulicznicy, niech będzie, bo ja wiem... Mam! Nasza bohaterka będzie escort girl – ekskluzywną dziewczyną do towarzystwa. Co ty na to?
- Całkiem niezłe. Zarysowujesz świetne pole do dalszego tworzenia.
- No człowieku, w końcu się na tym znam. Brakuje jednak jeszcze jednego. Rzecz niech się dzieje w realnym świecie, ale musimy wrzucić ją w jakąś sytuację, która wywoła spore zamieszanie.
- Jakoś trzeba tę historię rozpocząć.
- Z tym akurat nie będzie problemu. Prawdę mówiąc, ułożyłem już w głowie całkiem niezłe opowiadanie. Posłuchaj tego, rzecz działa się naprawdę, w mieście, które wszyscy znamy. Naszą Klarę zaczniemy śledzić w momencie, w którym została wynajęta przez kolejnego, bliżej jej nieznanego klienta...

Koronkowa bielizna, pończochy i sprzączki do nich, wszystko w kolorze białym, wszystko na wpół przezroczyste, pozostawiające bardzo niewiele miejsca wyobraźni. W tym stroju Klara przeglądała się w lustrze swojej łazienki. Dopieściła wcześniej nałożony makijaż, spięła długie, brązowe włosy wysoko w kucyk, poprawiła piersi w staniku i resztę bielizny, by równo na niej leżała. Po wszystkim oceniła swój wygląd. Była wysoka, miała długie nogi, smukłą figurę i dziewczęcą, niewinną urodę. Dziesiątka jak nic – pomyślała i uśmiechnęła się gorzko do swojego odbicia. Każdy facet jadł jej z ręki kiedy zrobiła się na bóstwo. Dlatego też życzyła sobie sporej sumki za swoje usługi.

Przed wyjściem ubrała białą sukienkę, kończącą się gdzieś w połowie ud i szpilki, by dodatkowo podkreślić swoją figurę. Na wszystko narzuciła brązowy płaszcz i wyszła z mieszkania, zamykając je za sobą. Całą drogę błagała w myślach los o to, by to nie był kolejny oblech, by przynajmniej zaliczał się wyglądem do średniej krajowej. Błagała o to za każdym razem, gdy była

zamawiana. W tym temacie los wyjątkowo rzadko się nad nią litował.

Wyszła ze swojego bloku. Przed nim, na ulicy, czekał już na nią znajomy samochód – czarne, błyszczące w światłach latarni nocnych BMW, nie kojarzyła jaka to marka i rocznik. Przeszła chodnikiem do znajomego pojazdu, otworzyła drzwi i usiadła z przodu, na miejscu pasażera. Bartek spojrzał na nią, jak zwykle, chłodno.

- Cześć – przywitał się oschle.
- Cześć – odpowiedziała mu i spojrzała przed siebie, na drogę, urywając tym samym kontakt wzrokowy.
- Gdzie?
- Na Ochmana.
- Samo centrum – zauważył. - Pniesz się w górę...
- Daruj sobie, co?
- Żartowałem przecież – wytłumaczył się.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik warknął groźnie i już po chwili byli w drodze do centrum miasta, jednak daleko im było do komfortowej jazdy. Atmosferę panującą w samochodzie można było ciąć nożem. Nie odzywali się do siebie wiele, ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Bartek był dla Klary kimś w rodzaju alfonsa, mimo że nazwany w ten sposób pewnie by się wściekł. Jednak spełniał wszystkie funkcje tej osławionej pracy: z racji muskularnej budowy ciała był jej ochroniarzem, zawoził ją do klientów, dbał, by w razie czego nie próbowali wymigać się od zapłaty, a Klara za te usługi odpalała mu dolę ze swoich zarobków. Jediną różnicą w tym układzie było to, że to ona była jego szefową, a nie odwrotnie.

Skąd się znali? Jeszcze z dawnych, licealnych czasów. Bartek kiedyś bardzo starał się o to, by została jego dziewczyną. Klara, niestety dla niego, nie dała się przekonać. Kiedy patrzyli z dzisiejszej perspektywy na tamte czasy wydawało im się, jakby pochodziły z zupełnie innego świata. Ona nigdy nie żałowała podjętej wtedy decyzji. Wiedziała również, że mu nigdy do końca nie przeszło, przez co miała świadomość tego, że trochę go wykorzystuje, ale, bądź co bądź, płaciła mu za jego poświęcony czas. On jednak nie czuł się dobrze wiedząc o tym, czym zajmuje się jego dawna miłość.

Dojechali do centrum w milczeniu. Bartek chciał podwieźć ją pod same drzwi, ale ostudziła jego zapał.

- Stań przy Ochmana, ten kawałek przejdę już sama.
- Jak sobie życzysz.

Zrobił tak, jak mu poleciła. Zatrzymał się przy wylocie docelowej ulicy. Klara otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. W tym samym momencie pomarańcz nocnych latarni otulił ją w całości. Przez moment w oczach Bartka wyglądała jak gwiazda w blasku reflektorów – piękna, seksownie ubrana, oświetlona z każdej strony. Ten moment trwał mniej więcej do czasu, gdy przypomniał sobie, czym ta gwiazda się zajmuje i gdzie właśnie idzie.

- Zaparkuję w pobliżu – poinformował głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Klara kiwnęła tylko głową i poszła w swoją stronę. Kiedy weszła w ulicę Jerzego Ochmana, usłyszała za sobą odjeżdżającego Bartka. Nie odwracała się już. Kiedyś, na początku swojej wątpliwej kariery robiła to za każdym razem. W dniu dzisiejszym pozbyła się tego nawyku, tak jak pozbyła się wywołującego go strachu. Receptę na to miała prostą: nie myśleć. Wejść tam, dać klientowi zrobić swoje i wrócić do domu. Wypić kieliszek, albo i butelkę wina i po prostu o tym nie myśleć.

Dotarła pod drzwi kamienicy, w której miała umówione spotkanie. Spojrzała na domofon po prawej. Wcisnęła guzik przeznaczony dla mieszkania z numerem sześć. Jednostajny sygnał dzwonienia trwał kilka sekund, by nagle urwać się na rzecz brzęczenia otwieranego zamka. Brak jakiegokolwiek powitania Klara przyjęła obojętnie.

Weszła do środka, a następnie schodami na trzecie piętro. Klatka schodowa wyglądała

obskurnie, jakby jeszcze nigdy jej nie remontowano, na domiar złego zewsząd cuchnęło stęchlizną. Mijany na półpiętrze chłop w typie robotnika, z pokaznym wąsem i dźwigający ciężar własnego, ogromnego brzucha dodatkowo pograżył to miejsce w jej oczach. Kiedy się mijali, wlepił w nią łapczywy, samczy wzrok. Przez sekundę mignęła jej straszna myśl, że to właśnie on ją zamówił. Bała się, że zaraz się do niej odezwie, ale jednak tak się nie stało. Przyspieszyła kroku. Zatrzymała się dopiero, gdy zauważyła wymalowaną na drzwiach szóstkę.

Nie zauważyła nigdzie dzwonka. Zapukała więc dwa razy, wpierw cicho, ale gdy nikt nie otwierał ponowiła próbę, uderzając mocniej. Tym razem się udało. Za drzwiami słyszała kroki, lekkie i szybkie, co ku jej wielkiej nadziei sugerowało, że klient był młody. Dźwięk nasilał się, aż uciął przy samych drzwiach. Strzał otwieranego zamka wydawał się tak głośny, że aż cofnęła się o krok. Szybko poprawiła sukienkę pod płaszczem i sam płaszcz, przeczesła ręką włosy spięte w ogon.

Drzwi otworzyły się. Mężczyzna stojący za nimi był... Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przystojny, wysoki brunet z kwadratową szczęką zasłoniętą kilkudniowym zarostem trzymał klamkę i patrzył na nią swoimi, zupełnie do niego niepasującymi, zielonymi oczyma. Gdyby tego było mało, ubrany był elegancko, w ciemnoniebieskie dżinsy i czarną koszulę, uwydatniającą jego muskuły.

– Wejdz, zapraszam – powiedział niskim głosem.

Klara, ciągle zaskoczona, patrzyła nie niego, stojąc jak wryta na klatce schodowej. Jego zaproszenie przeszło przez nią bez echa.

– Nie wiem, jak to rozumieć. Zostajemy na klatce, czy się rozmyśliłaś? - spytał, a w jego głosie wyczuwała coś jak smutek, albo zrezygnowanie.

– Przepraszam – odpowiedziała, opanowując się. - Mogę wejść?

– Tak, proszę.

Weszła do środka. On zamknął za nią drzwi.

– Tędy, jeśli możesz – poprosił, wyprzedzając ją w przedpokoju.

Mieszkanie, w przeciwieństwie do klatki schodowej, wyglądało na nowe i urządzone z wyczuciem smaku, jednak prowadzone niechlujnie. Wszędzie wały się drobne śmieci oraz przedmioty i ubrania nie odłożone na swoje miejsce. Typowe mieszkanie kawalera, na pierwszy rzut oka widać było, że brakuje tu kobiecej ręki.

Poszła za brunetem do pokoju, który okazał się być sypialnią. Tutaj też, choć w mniejszym stopniu, panował ogólny nieład. Brunet stał pod oknem, patrzył gdzieś przed siebie. Na parapecie leżała średniej wielkości, czarna torba podróżna. Klara stanęła w progu, trochę onieśmielona wyglądem swojego klienta.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Proszę, wejdz. Nie bój się – powiedział, po czym wrócił do obserwowania nocnej panoramy miasta.

Klara, ciągle speszona, ruszyła się z miejsca. Zrobiła krok, potem drugi, jej szpilki wybrzmiewały tępą melodię na drewnianych panelach. Kiedy znalazła się przed łóżkiem, jakieś półtora metra od klienta, postanowiła przycupnąć na świeżej, miękkiej pościeli. Nie wiedziała, co dalej. Brunet do tej pory nie wykazywał najmniejszego zainteresowania seksem. Patrzył ciągle za to okno, jakby czekał, aż coś, gdzieś tam na zewnątrz się wydarzy.

Podparła się ręką na łóżku, lekko wygięła w biodrach, założyła nogę na nogę.

– Mam się rozebrać? - przerwała długie milczenie.

– Co? - spytał nieobecny głosem, ciągle patrząc przed siebie.

– Pytam, czy mam się rozebrać? - powtórzyła.

Teraz się do niej odwrócił.

– Nie, nie musisz. Przynajmniej na razie.

– To co mam robić?

Patrzył na nią dłuższą chwilę, widocznie zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Siedz i daj mi pomyśleć.

Klara zaczęła się niecierpliwić.

– A w takim razie po co, jeśli mógłbyś mi powiedzieć, mnie tu zaprosiłeś?

– Nie wiem. Nie wiem, kurwa... - westchnął ciężko. - Chyba, – kontynuował – tak myślę, że chciałem mieć świadka.

– Jakiego świadka? - spytała zmieszana.

Nie odpowiedział. Znowu odwrócił się do okna i stał tak chwilę. Później wsadził rękę do torby leżącej na parapecie. Brzęk metalu dotarł do jej uszu. Nie spuszczała teraz wzroku z przystojnego nieznajomego. Ten wyjął rękę z torby. Trzymał coś w dłoni. Klara w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć w to, co widzi, tak nierealne się to wydawało. Co on tam trzyma? - zapytała sama siebie. - To jest pistolet?!

Oczami wyobraźni widziała to, co zaraz miało nastąpić. Jak ten facet w nią celuje, a potem strzela. Huk wystrzału będzie ostatnim dźwiękiem, jaki w życiu usłyszy. Już miała zacząć krzyczeć, już miała zrywać się do ucieczki, ale jego ciało zareagowało szybciej, niż jej. Jego ręka poszybowała w górę. Klara zamarła, by za chwilę znowu się zaskoczyć. Nie tego się spodziewała. Zamiast wymierzyć w nią, wymierzył we własną głowę.

Klara zerwała się z miejsca.

– Co ty robisz?!

– Chciałaś wiedzieć, czego masz być świadkiem. Właśnie tego, mojej śmierci.

Już prawie wbijał lufę do swojej głowy. Ścisnął pistolet tak mocno, że ścięgną wręcz tańczyły na jego dłoni. Wyglądał, jakby za sekundę miał nacisnąć spust.

– Stój! - krzyknęła, próbując opanować sytuację. - Czekaj, nie rób tego. Na pewno jest jakieś inne wyjście!

Uśmiechnął się na siłę.

– Z którego filmu wyrwałaś ten tekst? Nic nie wiesz o mnie, ani o moim życiu, więc skąd pewność, że jest inne wyjście? - mówił, odkładając autoegzekucję.

– W takim razie mi opowiedz. W końcu mnie tu zaprosiłeś. Powiedz, dlaczego chcesz to zrobić? Co się stało? - pytała, próbując go odwieść od jego pomysłu.

– Nic. Po prostu nic mnie tu już nie trzyma.

Zamknął oczy, poprawił broń w rękę. Zastygł w bezruchu. Klara widziała, że jak teraz nic nie zrobi, to go straci.

Nagle wpadła na pomysł.

– Czekaj, daj mi ostatnią szansę!

Brunet na powrót otworzył oczy. Patrzył na nią. Ona szybkim ruchem rozpięła płaszcz, którego nie zdążyła wcześniej zdjąć i zrzuciła go z siebie na łóżko, odsłaniając ukrytą pod spodem sukienkę. On nic nie mówił, tylko patrzył, a jego ciekawość przebijała się przez chłodne tchnienie śmierci. Klara sięgnęła rękami za plecy, szukając zamka błyskawicznego. Ręka bruneta lekko opadła, broń zsunęła się ze skroni. Krótki dźwięk rozpinanego zamka przeciął ciszę. Sukienka poluzowała się. Przy niewielkiej pomocy Klary zsunęła się po jej długich, smukłych nogach na podłogę. Odsłoniła to, co zostało dla niego przygotowane.

– Nie da się zaprzeczyć, piękna z ciebie dziewczyna – powiedział, gdy zobaczył ją w koronkowej bieliźnie i pończochach, wszystko w kolorze bieli. Wyglądała jak jakaś bogini, albo anioł. - Ale nie robi to już na mnie takiego wrażenia. - Mimo tego co mówił, nie potrafił oderwać od niej wzroku. - Ja też brzydki nie jestem i kilka moich kobiet dorównywało ci urodą. - Broń jednak nie wracała na skroń.

– Możliwe, ale mając do wyboru śmierć, albo to – tutaj dłońmi przejechała po swojej talii – naprawdę wybrałbyś śmierć?

Patrzył na nią i milczał. Milczał i patrzył na nią. Odjął pistolet od głowy, przyglądał się mu

chwilę, a później znowu zawiesił wzrok na Klarze, jakby próbował ją z nim porównać. Wreszcie ręka z pistoletem opadła całkowicie. Brunet zachwiał się i oparł o parapet. Opadł z sił. Opuścił głowę.

– Już sam nie wiem, anioł z ciebie, czy diabeł? - powiedział, z trudem łapiąc oddech, jak po długim biegu.

Klara postanowiła przejść do ofensywy. Nie patrzył teraz na nią. Zbliżyła się do niego, wyciągnęła ku niemu ręce.

– Dobrze, a teraz chodź tu do mnie. Oddaj mi broń, usiądziemy i porozmawiamy.

Brunet wyglądał teraz, jakby zasnął. Głowę miał opuszczoną. Opierał się o parapet szeroko rozstawionymi rękoma, w jednej z nich trzymał pistolet. Klara była już na tyle blisko, że mogła chwycić go, półprzytomnego za przedramię. Zrobiła to. Z jego strony nie było żadnej reakcji. Dodało jej to więcej odwagi. Wolną ręką sięgnęła po pistolet.

– Daj mi to – powiedziała łagodnie, prawie szeptem.

Chwyliła pistolet. Teraz trzymali go razem. Próbowwała delikatnie wwiерcić się palcami w jego mocny chwyt, a była przy tym skupiona do tego stopnia, że nawet saper mógłby jej pozazdrościć. Jej stanowczość przynosiła rezultaty. Brunet rozluźnił dla niej uścisk. Mocno złapała rączkę pistoletu i wyjęła mu go z dłoni. Był zaskakująco ciężki. Nigdy wcześniej nie trzymała pistoletu.

Teraz brunet spojrział na nią. Oczy miał przeszkłone. Klara szarpnęła go lekko za trzymane przedramię, dając sygnał, by się ruszył. Posłuchał jej. Podniósł się ociężale z parapetu. Poprowadziła go na łóżko i kazała usiąść. Później sama usiadła obok, broń kładąc na podłodze po swojej stronie. Nie mógł jej sięgnąć ze swojego miejsca.

– Nie mam już siły – odezwał się, chowając twarz w dłoniach.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Jak ty mi chcesz pomóc kobieto?

Przysunęła się do niego. Jedną ręką go objęła, a drugą złapała jego głowę. Przyciągnęła go do siebie, do piersi, jak matka tuląca zbłąkanego syna. Trudno powiedzieć, ile trwali w tej pozycji, ale Klara czuła, że udało jej się uratować przystojnego nieznajomego.

Niecierpliwie zerkał na zegarek. Niedawno minęło czterdzieści minut, odkąd Klara poszła do klienta. Bartek nie potrafił już wysiedzieć w samochodzie. Robiło mu się niewygodnie, muzyka leżąca w radiu już zaczynała denerwować, zamiast uspokajać, a internet w komórce coraz słabiej zajmował jego myśli. Wyłączył radio i wyszedł z samochodu.

Drżącą ręką wyjął z kieszeni paczkę papierosów i odpalił jednego. Zaciągnął się tak mocno, że aż poczuł żar w gardle. Patrzył w kierunku ulicy, na której w tym czasie pracowała Klara. Nerwy zżerały go za każdym razem, gdy z nią jeździł, szczególnie w ostatnich chwilach jej pobytu u klienta. Zawsze przygotowywał się na najgorsze, chociaż od początku jej działalności tak naprawdę musiał interweniować tylko dwa razy. Nieźle sobie wtedy pozwolił. Obił tamtych delikwentów tak mocno, że trudno ich było rozpoznać. Na co dzień z trudem mógłby się określić jako agresywny, ale świadomość, że te typy rżnęły „jego” kobietę wyzwalała w nim wściekłość. Ciągle się łudził, że coś między nim, a Klarą zaiskrzy.

Kończąc papierosa ponownie zerknął na zegarek. Postanowił, że jeśli Klara w ciągu dziesięciu minut nie da znaku życia, to tam idzie. Sprawdzał w samochodzie, czy aby na pewno wziął piersiówkę. Była na swoim miejscu, w schowku. Przed interwencją zawsze brał parę łyków – na odwagę.

Przysiadł na fotelu, przy otwartych drzwiach. Sprawdzał komórkę. Nie dostał żadnej wiadomości.

Odpalił kolejnego papierosa i czekał.

- Mógłbyś mi przynajmniej zdradzić swoje imię.
- Adam – przedstawił się, głowę ciągle miał przyciśniętą do jej piersi. - A ty, zdradzisz mi swoje?
- Nie powinnam, ale w tej sytuacji... Mam na imię Klara.
- Piękne imię.

Życie wracało do Adama. Poznała to po tym, że poczuła jego dłonie na swoich plecach. Dotykał ją, pieścił, po plecach, talii, jedną nawet pozwolił sobie zejść niżej, na jej tyłek. Wyczuł go całą swoją dłonią, ale nie próbował złapać. Wtedy też podniósł głowę. Klara wypuściła go z objęć.

Patrzyli sobie w oczy. Rozpływała się w zieleni jego tęczywek. Zbliżył się do niej nieznacznie. Złapał dłonią za potylicę. Wiedziała, że chce ją pocałować. Pocałunki to coś, czego nigdy nie robiła z klientami, wydawały jej się zbyt intymne, o ile miało to jakiś sens. Tym razem jednak nie mogła się oprzeć. Czuła, że nawiązała z Adamem pewną nić porozumienia, której próżno szukać nawet w wieloletnich małżeństwach.

Ich usta się zetknęły. Jego były szorstkie i zimne od stresu. Przebił się językiem do jej ust. Lekko rozchyliła wargi. Masował jej język z czułością i spokojem wręcz niespotykanym u mężczyzn. I ona, choć początkowo wycofana, przeszła z bierności do czynnego uczestnictwa w tych pieszczotach. W trakcie, kiedy ich języki tańczyły ze sobą, opadli na łóżko. W momencie znalazła się pod Adamem.

Oplotła ręce wokół jego szyi. On, ciągle zajęty całowaniem, podziwiał jej ciało dotykiem. Jego dłoń sunęła z jej policzka na południe po szyi, zatrzymała się na chwilę na piersi, masując ją delikatnie, by później zjechać delikatną trasą brzucha na jej majtki i trochę niżej, tam zatrzymała się na dłużej. Klara poczuła przyjemne ciepło w całym ciele, wywołane miarowym ruchem jego palców w tamtym rejonie.

Przyszczypnęła zębami jego wargę. Adam odsunął głowę, uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem. Czuła się niesamowicie. Wiedziała, że nie powinna. Nigdy nie powinna tego czuć przy kliencie.

- Dasz mi jeszcze chwilę? - poprosiła.
- Potrzebujesz więcej czasu?
- Mhm – mruknęła.

Adam przyjął to do wiadomości. Osunął się po jej ciele, gotów wspomóc ją językiem. Robiła się wilgotna. Czuła jego ciepły oddech na wargach. Dotknął ich językiem przez materiał, pomagając sobie przy tym kciukiem. Klara już była gotowa, ale nie chciała mu przerywać. Odgięła głowę do tyłu. Adam zaczął zsuwać jej majtki.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z pełnego rozkoszowania się chwilą. Momentalnie spojrzała na drzwi.

- Nie przejmuj się – usłyszała głos Adama. - Pewnie zaraz sobie pójdzie.

Dźwięk faktycznie ustał. Chciała się zapomnieć, ponownie zanurzyć w trwającej chwili. Nawet poleciła Adamowi, żeby kontynuował. I tym razem dźwięk walenia pięścią o drewno wyrwał ją z rytmu. Tylko tym razem był on na tyle głośny, że aż się wystraszyła. W sekundę przypomniała sobie o Bartku.

- Musisz otworzyć! - zawołała wystraszona.

Adam nie wyglądał na przekonanego.

- Daj spokój, znudzi się i pójdzie.
- Nie rozumiesz, to pewnie mój ochroniarz – powiedziała, podnosząc się do siadu. Adam wyjął głowę spomiędzy jej ud.
- Jaki ochroniarz?

Szczęknęcie klamki przerwało ich dyskusję. Usłyszeli głośny, szybki krok na korytarzu. Sekundę później drzwi sypialni z impetem rąbnęły o ścianę. Za nimi stał nabuzowany Bartek. Prześwilił wzrokiem całą sytuację: ją, Adama, później zauważył pistolet leżący na podłodze. Nie czekał na wyjaśnienia. Ruszył na Adama.

– Doigrałeś się gnoju! - warknął.

Adam widocznie przestraszył się jej rosnącego kolegi pracującego w jego stronę. Instyktownie sięgnął po pistolet. Nie zdążył. Dostał w twarz prawym sierpowym Bartka. Odrzuciło go z kolan na plecy. Szybko się opamiętał i próbował wstać, ale wtedy Bartek runął na niego z pięściami. Szamotali się na podłodze. Adam też był muskularnym facetem i nie pozostawał dłużny napastnikowi, ale nie miał szans z Bartkiem, któremu wściekłość dodawała niewyobrażalnej siły. Okładali się na zmianę, a ich twarze przybierały kolor buraków. Adam próbował nie dać tego po sobie poznać, ale coraz bardziej słabł, krwawił z nosa i łuku brwiowego. Bartek nie ustawał i bił go jak oszalały, samemu zbierając coraz mizerniejsze ciosy.

Klara siedziała na łóżku jak sparaliżowana. Patrzyła na bijących się przed nią facetów i zasłaniała usta z przerażenia. Raz po raz próbowała krzykiem przemówić im do rozsądku, żeby przestali, że się pozabijają, ale jej słowa do nich nie docierały.

– Proszę... - Adam próbował mówić między uderzeniami. Widząc, że napastnik ma to gdzieś, szukał wzrokiem pomocy u Klary. Widziała to jego błagalne spojrzenie. Bartek w tym momencie ją ignorował, zajęty jej niedoszłym klientem.

Postanowiła działać. Wygięła się za granicę łóżka w poszukiwaniu pistoletu. Leżał na dywanie, tam, gdzie go zostawiła. Chwyliła go, sama jeszcze nie wiedząc dokąd tym działaniem zmierza. Zeskoczyła z łóżka. Stała na równe nogi. Broń złapała oburącz i wymierzyła w walczących. Wahala się.

Bartek kątem oka zauważył to, co ona robi.

– Daj spokój, – mówił krótkimi seriami, zadyszany – nie trzeba, poradzę sobie z nim.

Adam ciężko oddychał, ale się nie odzywał. Teraz widziała tylko jego nogi.. Bartek zasłaniał go plecami. Ręce Klary drżały, może od emocji, może od stresu, może po prostu od wagi pistoletu albo od wszystkiego po trochu. Biła się z myślami. Czuła, że oczy zachodzą jej łzami. Zaczęła łkać. To początkowe łkanie w sekundę przerodziło się w krzyk, a ten zwiastował coś jeszcze gorszego.

Nacisnęła spust.

Wystrzał zagłuszył dźwięki bijatyki. Całkowicie wypełnił pomieszczenie, oczyścił je, robiąc miejsce dla następującej po nim ciszy. Czas jakby stanął na chwilę w miejscu, przynosząc ukojenie złamanym umysłem. Nie trwało to długo, może przez ułamek sekundy, ale było tak intensywne w swoim wyciszeniu, że nie do przeoczenia.

Klara zamarła, patrząc tępo przed siebie. Adam zastygł w miejscu, zasłaniając twarz rękoma. Bartek siedział na nim, ręce miał opuszczone, a na plecach, trochę poniżej prawej łopatki, rozrastała się po bluzie ciemna plama.

Odwrócił głowę w kierunku Klary. Ona stała tak jak przed tym, nieruchoma jak posąg, z pistoletem ciągle wyciągniętym przed siebie. W oczach Bartka zaskoczenie mieszało się z niedowierzaniem, żal ze spojrzeniem pełnym wyrzutu. Krew przesiąknęła już bluzę od pachy aż do spodni. Moment, w którym opadał bezwładnie na Adama wyglądał iście teatralnie, tak nierealnie, że Klara nie mogła uwierzyć, że to działo się naprawdę.

Później wszystko odzyskało swoje normalne tempo. Adam zrzucił z siebie zwłoki i podniósł się poobijany. Klara upadła na kolana i dalej trzymała pistolet oburącz. Nie wierzyła w to, co właśnie zrobiła. Opuściła głowę i płakała. Adam podbiegł do niej, złapał za ramiona i z trudem podniósł na nogi. Patrzyła na niego pustym wzrokiem. Był cały we krwi Bartka, w jego oczach widziała wdzięczność za to, co zrobiła, ale był na tyle wyrozumiały, że nie podziękował jej za zabicie przyjaciela.

Zostawił ją na sekundę, szperając po pokoju. Stała tam w bieliźnie, trzęsąc się jak osika. Adam wrócił, narzucił jej płaszcz na ramiona i pociągnął do wyjścia.

– Idziemy! - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Opuścili miejsce zbrodni, zbiegli po schodach i uciekli samochodem Adama, byle jak najdalej stąd.

Bartek dogorywał w mieszkaniu, brudząc dywan własną krwią.

Koniec.

– Już?

– Już.

– Nieźle. Muszę przyznać, całkiem nieźle.

– Mówiłem, że nie ma o co spinać pośladków? Opowiadania nie było, a już jest. Tak jak obiecałem.

– Dobra, uratowałeś sytuację, ale ja jednak mam jeszcze jedno pytanie.

– No, dawaj.

– Czemu powiedziałaś, że to wydarzyło się naprawdę?

– Podobno dużo lepiej się dzięki temu czyta.

– Czyli kłamałaś?

– A skąd, chociaż może? Poza tym, kto powiedział, że ta historia, przynajmniej w części, nie mogła wydarzyć się w naszym nudnym, realnym świecie...

Teraz już naprawdę

Koniec.

Wybyłem z gniazda i idę przed siebie krętą ścieżką, a wokół mnie kompletny mrok. I nie ma nikogo, żadnego człowieka, który mógłby oświetlić mi drogę.

I

Idę ostrożnie, stawiam drobne kroczki jak gejsza, jakbym stąpał po świeżo zamrożonym lodzie, mimo iż podłoże wydaje się solidne. Czasami patrzę pod nogi, chcąc upewnić się, czy jest tam chodnik. Nie widzę go – zbyt ciemno, ale przecież po czymś iść muszę. Zakładam więc, że chodnik jest, mimo braku naocznych dowodów.

Upewniwszy się co do tego, zaczynam patrzeć przed siebie, w ciemność. Czuję, jak odważnie szerokie mam źrenice, gdyż nie muszą obawiać się ataku światła. Nic nie widzę. Idę po omacku gdzieś tam, do przodu. Szukam wzrokiem jakiegokolwiek punktu zaczepienia, celu, który z moich mizernych kroków stworzy kroki pełne, stanowcze, nie pozbawione sensu. Czarna ściana horyzontu nieraz jest łamana. Jednak to, co migocze tam daleko w czerni, te fatamorgany pełne skupisk ludzkich, nie przekonują mnie swoją przeźroczystością, swoją ulotnością i nieokreślonością. Omijam je szeroko, po łuku, a iskierki wydobywających się z nich światła tańczą na mym ramieniu ogrzewając oszukańczym ogniem. Staram się je strzepać, choć bezowocnie, uciekam więc dalej. Iskierki, speszzone moim brakiem zainteresowania zeskoczyły z mego ramienia, po nodze, na ziemię. Znów nic nie widzę.

II

Od czasu do czasu ciemność wypływa z siebie niewyraźne postacie, z którymi mijam się obojętnie. Ludzie, tacy jak ja, idący swoimi mrocznymi ścieżkami, tak jak ja, wychodzą z mroku, by ponownie się w nim zatopić, zaraz za moimi plecami. Czasami czuję się samotny, tak jak każdy z nich. I ta samotność podrywa mą wolę w ich kierunku, by choć przez chwilę objąć, złapać za rękę, przejść kawałek razem. Nie musiałbym tak uważnie pilnować swoich kroków przecież – racjonalizuję. Ale jak te marne dusze miałyby to zrobić, kiedy oni sami drobia, dzielą i łamią krok za krokiem, nieraz tracąc przy tym równowagę? Nie wiem. Potrzebne jest mi światło, a nie kolejna ciemność. Szukam więc i idę dalej. Idę dalej i szukam. Co mnie pcha do przodu?

Wola życia – rzekłbym, ale nie jego żądza. Nie ma tu pociągu do życia, do przeżywania, nie ma pasjonowania się całą paletą jego barw i nie ma chęci odkrywania każdej jednej jego tajemnicy po to tylko, by przeżyć więcej i więcej doświadczać, a tym byłaby żądza. Wola natomiast jest chłodna, nie płonie jasno ogniem uczuć, a raczej tli się powoli, trochę skrycie, oszczędnie nawet i matematycznie, po to tylko, by życie żyć, a nie je przeżywać, nie czerpać z niego zachłannymi garściami, a raczej z pełnym szacunku wzrokiem je obserwować w całym jego majestacie, ingerując tylko tam, gdzie się powinno, a nie wszędzie tam, gdzie można. Wolną wolą są więc przesiąknięte moje kroki, a nie szybką żądzą.

III

Potknąłem się i upadłem, nie o kamień czy nierówność w podłożu, lecz o własne myśli potknąć się raczyłem. Płacz ciśnie się na usta w tej godzinie próby i doszedłby do skutku, gdyby nie duma w swojej sile (czy słabości?), zjadająca łyzy w zarodku. Klęczę, podparty rękami, a mrok wyżera mi palce i czuję... i czuję, że pora już wstać, ale tak miło lamentuje się nad własnym losem w chórze lamentu innych podróżnych.

Gdyby podał mi rękę jakiś guru, nieważne – ze wschodu czy z zachodu, pomógł mi wstać, a w drugiej, wolnej dłoni trzymałby lampę, podobną do naftowej, jednak prawdą płonąca i rozświetlił mi drogę pośród tej ciemności, czy przyjąłbym tę pomoc? Czy dałbym się poprowadzić jak dziecko we mgle, gdyby ciepło światła jego wypaliło do cna smutek, w tym okresie rzeką we mnie płynący? Czy umysł podatny w chwili słabości wybrałby tę prostszą drogę, zamiast tłuc się samodzielnie gdzieś po omacku?

Chyba nie – powtarzam sobie z nadzieją, w tytaniczną we mnie wierząc siłę. Fałszywe

wydaje się światło jedynej prawdy, choć bezsprzecznie tak cudownie kojące. Przeczekałam tę słabość. Niech zje mnie mrok. Mój rozum zaleczy się w końcu i wstanę z klęczek, otrzępię się z brudu i pójdę dalej szukać po ciemku jasności nienarzucającej się, nie chcącej mnie od razu osłepić. Teraz jednak, póki klęczę, póki posiadam korzenie zapuszczone w ten kawałek nicości, postęgam trochę, odurzę się, poprawię sobie samopoczucie narzekaniem.

IV

Czarne, podobne do winorośli twory wspinają mi się po rękach i nogach, plugawe swoje myśli na mnie przelewając. Biada temu, który nie widzi w ich słowach podstęp. „Odpocznij, nie rwij tak przed siebie”, „Tutaj jest dobrze, wygodnie, po co ciągle szukać?”, „Patrz, ilu ludzi podobnych tobie, usiedli, przestali wierzyć, nie uciekaj od nich”, „Rozgość się tu, pozwól nam o wszystko zadbać” - słyszę nieprzejednany ciąg myśli należących do nich jako moje własne. A może to są moje własne? Nie... Kręcę głową, próbując je strzepać, jak pies wodę z sierści. Mnie nie idzie to tak dobrze.

Ręk już prawie nie widzę, ich kolor zlał się z otoczeniem. Krucze winorośle otulają mnie coraz mocniej, pokrywając w tym momencie prawie połowę mojego ciała. Jakie dziwnie przyjemne jest to uczucie niesamotności, gdy już połowa mnie zlewa się z otoczeniem. Może naprawdę nie warto się szarpać? Usiadłbym, czerniejąc, a inni, podobni mnie z przeszłości, potykali by się o prawie niewidoczną figurę przypominającą moją osobę. Koniec zmartwień, koniec myśli, koniec wszystkiego. Kuszące, ale mimo tego strasznie szkoda usiąść już teraz, tak szybko, a może już za kilkaset kroków... Właśnie. A co, jeśli moje światło nie jest daleko?

„Przytul ziemię” - słyszę własne słowa. Mięśnie zadrżały. Winorośl ciągnie mnie zalotnie na głębę. Opieram się niepewnie, a ręce słabną z sekundy na sekundę. I czubkiem nosa już prawie dotykam tafli mroku. I wizje mam, ze sobą w roli głównej. I te wizje południowe nagle północne się stają. Szeroko otwieram oczy z przerażenia. Odpycham się ile sił od podłoża. Całe moje ciało, cały ja – stara maszyna walcząca o kolejną szansę. Ogień rozgorzał we mnie na nowo, równie niespodziewanie jak w momencie, w którym przygasł.

Podniosłem się, a czarne winorośle zeszyły ze mnie boleśnie, jak pazurzaste dłonie zazdrosnych kochanek.

V

Ból minie – powtarzam sobie, stawiając pierwsze, rażone spazmami kroki. Wrażliwy na pewne niuanse śmiem twierdzić, że otoczenie się zmieniło. Do tej pory tylko (lub aż) nieprzeniknienie czarne, teraz stało się czarne i nieprzyjazne. Obraziło się na mnie za moją arogancję. Za to, że wiedziony młodzieńczym poczuciem potęgi odrzucam jego zaloty. Dumnie wypinam pierś do przodu i wiem, że nie dam się powalić... Każdy kolejny krok stawiam dużo ostrożniej niż dotychczas.

Wyczułem coś pod stopą. Spojrzałem pod nogi. Kępa trawy. Najprawdziwsza i najzwyczajniejsza. Coś rzeczywistego w nierzeczywistym świecie. Przyklęknąłem by dotykiem sprawdzić, czy aby na pewno? Zerwałem palcami jedno źdźbło, a potem drugie, i kolejne, i następne. Rwałem jak małe dziecko dopiero poznające świat. Ogarnęła mnie euforia. Chciałbym się uśmiechnąć, ale strach zaszył mi wargi. Wyrywane źdźbła lądowały na mrocznej ziemi, odsłaniając kostkę brukową. Coś co znam, coś, do czego mogę się odnieść.

Czyżby to tak miało wyglądać? Czyżbym odnalazł swoje światło i ja, głupi, przegapiłem ten moment? Podniosłem wzrok znad kojącej zieleni i spojrzałem przed siebie. Czarna kurtyna rozsunała się nieznacznie, niechętnie, ale wystarczająco. W powstałej szparze dojrzałem znajome kształty budynków. Oczami wyobraźni dobudowałem sobie całe miasto. Jest! Dotarłem! - krzyczała moja uradowana dusza, a nogi posłuszne jej wołaniu pobiegły w tamtą stronę.

VI

Ach, gdybyście mnie teraz widzieli, mknącego niczym wiatr w sobie tylko znanym kierunku. Zapomniałem o bólu, zapomniałem o smutku i ogarnął mnie niezwykły spokój, co może wydawać się dziwne, biorąc po uwagę dynamikę moich ruchów sięgającą teraz zenitu. Tak, boska pchała mnie siła, wypływająca z samego celu. Ja sam, biegnąc ku niemu przeżyłem istne katharsis, niesamowite sprzężenie zaszło między nami. Otchłań straciła na ważności, ciemność przestała przeszkadzać i nie było już celu, nie było już mnie. Staliśmy się jednym bytem, a im szybciej biegłem, tym bardziej byliśmy jednością.

Zarysy sylwetek innych podróżników migały mi po obu stronach. Ciągnęli do mnie jak chmara ciem do lampy. Nic dziwnego. Poruszenie tego typu nie mogło umknąć bez uwagi postronnych. W otchłani, tak idealnej w swojej jednolitości, ta sytuacja była ewenementem skrajnym, wypełniała swoim echem całe limbo. Świeciłem. Wiem, że świeciłem. Zarówno płonący we mnie ogień, jak i moi niemi, mroczni kibice potwierdzali tę tezę. Obserwowali mnie z pewnej odległości. Nie czułem zmęczenia, chociaż tyle przebiegłem. O kurwa, już tak niedaleko do światła...

Wytraciłem prędkość na paręności susów przed metą. Zatrzymałem się. Kilka stanowczych kroków dzieliło mnie od ziejącej jasnością wyrwy. Moje źrenice zwężyły się. Patrzyłem do nowego świata, a na plecach czułem wzrok innych podróżnych. Jak tam było pięknie. Dawno nie widziałem tylu kolorów, dawno nie widziałem tyle światła, dawno tak wyraźnie nie widziałem samego siebie. Nie wiedzieć czemu, spuściłem zawstydzony wzrok na czarną ziemię.

Czerń wokół szczeliny gotowała się boleśnie, wrywając się gdzieś przed siebie, to znowu zapadając we własne głębiny. Obserwowałem ten żalony taniec z chorym przejściem. Żal – ten sprytny skurwiel, dosięgnął mego serca. Odwróciłem się od światła, by ostatni raz spojrzeć w otchłań (może była więzieniem, ale też wieloletnim domem). Pierwszy raz wyraźnie widziałem innych podróżnych. Ich oświetlone twarze wykrzywiały odwieczny lament. Wystraszyłem się, że i moja tak wygląda. Schowałem ją we własnych dłoniach. Później przemogłem, by poczuć własny dotyk. Nie wymacałem nic, co by sugerowało, że moja twarz wygląda podobnie. Skończ patrzeć za siebie - rozkazał mój mądry umysł.

VII

Stałem się wiernym obserwatorem własnej możliwości – powiedziałbym, gdybym chciał zabrzmieć mądrze. Problem z mądrymi wypowiedziami polega jednak na tym, że tyranizują własną treść, przez co często trudno ją zauważyć. Co zatem kryje się za tym, ładnym skądinąd, zdaniem: „stałem się wiernym obserwatorem własnej możliwości”?

Zwlekałem długo z opuszczeniem otchłani. Moja skóra drżała szczęśliwie od ciepła wiatru wypadającego ze szczeliny, moje oczy szalały od nagłego przyływu barw do katalogowania, zapachy tańczyły i mieszały się w moich nozdrzach, do uszu docierały strumienie dźwięków, tworzących spójną muzykę, a moje myśli już dawno przeszły na drugą stronę. Ja, a przynajmniej jakaś część mnie, wiedzona nikomu nie znanymi powodami ciągle zwlekała. Limbo od razu zwiertzyło swoją szansę. „Zwlekasz, więc spójrz dobrze. Ten świat to tylko sztuczny blichtr i nic więcej. Nawet go nie znasz. Zostań. Żle ci tu było? Opiekowałam się tobą, byłeś bezpieczny, żyłeś na równi z innymi. Chcesz to wszystko rzucić? Zostań.” - Tak to przemówiła do mnie otchłań. Wysłuchałem jej, spokojny.

VIII

Rozgościłem się na tym kawałku niczego. Przesiaduję tutaj całymi pasmami czasu i koję nerwy widokiem światła. Wielu z podróżników już mnie opuściło. Chyba ich zawiodłem. Miałem przejść, a siedzę. Siedzę i obserwuję to, co przede mną. Czarne pnącza owijają moje nogi i ręce, snując swoje wygodne kłamstwa. Nie pozwalam im już na wiele. Mam na nie sposób. Czasami zbieram się w sobie, robię przymiarki, w końcu wstaję i podchodzę do szczeliny. Zaglądam nawet do tamtego świata. Wtedy też światło wypala moje miłe pasożyty.

Nigdy jednak nie stanąłem obiema stopami po drugiej stronie. Boję się, że przejście zamknie się za mną. Staję w rozkroku, przechylam się i rozglądam, ale zawsze jakaś część mnie pozostaje w mroku. Po wszystkim wracam na swoje, wysiedziane w ciemności miejsce, siadam i patrzę przed siebie, gdzieś w dal po drugiej stronie szczeliny, a czarne winorośle snują swoje słodkie kłamstwa. Uspokaja mnie myśl, że w każdej chwili, w każdym momencie, mogę tam wejść. „Ostatecznie, wystarczy tylko jeden, stanowczy krok, prawda?”

2016

Mistrz cechu złodziejskiego

Wiecie po czym poznać prawdziwego złodzieja? Mistrza w swojej sztuce? Kogoś tak dobrego w swoim fachu, że okradziony, zamiast burzyć, powinien być mu wdzięczny za możliwość wzięcia udziału w tym swoistym przedstawieniu? Nie, na pewno nie po tym, że jest w stanie ukraść najbardziej strzeżoną rzecz na świecie, ani nawet nie po tym, że to już kiedyś, w przeciągu swojej kariery, zrobił. Nie chodzi tu też o wartość danej rzeczy, chociaż słowo wartość mogłoby być w tym przypadku mylące. Co więc czyni złodzieja mistrzem? - stawiam wreszcie to pytanie i śmiem na nie nie tak od razu odpowiedzieć. Ten, którego ja uważam za mistrza fachu złodziejskiego nie jest tajnym agentem włamującym się do ściśle strzeżonych sejfów jeszcze tajniejszych agencji. Nie jest też zakochany w pieniądzu na tyle, żeby kraść warte miliony kamienie szlachetne, czy rabować banki z ich składów złota. Mistrz para się swoją sztuką dla niej samej, częstokroć nie wyciągając z niej żadnych zysków poza doświadczeniem kierującym go do perfekcji. Złodziej (mówiąc kolokwialnie) przez duże „Z” potrafi okraść człowieka w taki sposób, że ten ostatni nie zauważy braku, a – w przypadku mistrza – może nawet dojść do przekonania, że bez ukradzionej rzeczy nawet nieźle się żyje. Tak, wtedy właśnie mamy do czynienia z mistrzem. Może będę nieskromny, ale rozwinąć tak rozbudowany akapit i nie pochwalić się byłoby, paradoksalnie, grzechem. Ja, moja nie do końca skromna osoba, czuję się dumny i zaszczycony faktem, że zostałem okradziony przez mistrza złodziejstwa per se.

Oczywiście wiem, zdaję sobie sprawę z tego, że nie każdy czytelnik zechce uwierzyć mi na słowo, kiedy w grę wchodzi tak śmiało oświadczenie. W końcu, można by zadać pytanie (nie głupie zresztą), czego szukałby u mnie mistrz złodziejstwa? Dlatego też dla niewierzących, a dla wierzących w celu potwierdzenia swojej wiary w faktach, przytoczę całą historię z tym śmiałym złodziejstwem związaną. O tak, całą historię, gdyż okraść kogoś w taki sposób, by był nieświadomy, albo nawet zadowolony z zaistniałego braku nie sposób w jeden dzień. To musiało trwać tygodniami, o ile nie dłużej. Ten konkretny złodziej, przynajmniej taką mam teorię, towarzyszył mi przez dłuższy czas. Nie potraktujcie mnie jako kolejnego świra od teorii spiskowych, ale mógł być obecny przy mnie nawet przez kilka lat. Ostatecznie, czymże jest kilka lat dla mistrza tworzącego swoje arcydzieło?

Długi czas zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób sklecić tę historię, by całość miała ręce i nogi. Jak już wspominałem, całość rozciąga się na przestrzeni wielu lat i znalezienie klucza, według którego można by ułożyć wydarzenia okazało się, nomen omen, kluczowe. Chodziłem z tą zagwozdką i chodziłem, męcząc się strasznie, ale ostatecznie przyniosło to skutek. Po długim czasie wymyśliłem. W sukurs przyszła mi tutaj moja teoria, wedle której mistrz złodziej, aby dotrzeć do interesującej go rzeczy, musiałby przecież obejść pewne zabezpieczenia, pewną metafizyczną materializację sejfu, broniącego dostępu do sedna sprawy. Taki proces w samej swojej istocie musiał być czasochłonny, a pokłosie pękniętych zapór dobrze widoczne. Ja (a zatem i wy) podążę drogą tych łamanych zabezpieczeń. One są moim kluczem.

1

Młodym jeszcze będąc często jeździłem na wieś, do drugiej połowy mojej rodziny, tej od strony ojca i praktycznie każdego lata, przynajmniej tydzień wakacji tam spędzałem. Wieś dla młodego chłopca, dziecka jeszcze, jest jednym wielkim polem zabaw z własną wyobraźnią i taka dla mnie była, przynajmniej dopóki nie zacząłem czuć ciągot do bardziej przyziemnych form rozrywki – alkoholu, papierosów i kobiecego wdzięku. Wtedy ta sama, magiczna wieś zaczynała stawać się mordęgą całych serii nudnych zajęć, które były nie do zniesienia. Niemniej, do pewnego okresu bawiłem się tam świetnie.

Nie wiem, naprawdę nie wiem na ile mistrz obserwował i wpływał na moje poczynania w tamtych czasach, kiedy radośnie hasałem po rodzinnym polu z psami myśliwskimi swojego

dziadka, kiedy chodziłem na spacer do lasu szukać jeleni i znalazłszy jakieś z pewną dozą nieśmiałości obserwowałem ich dostojność, kiedy bawiłem się z całą gamą zwierza hodowlanego, tętniącego życiem, często śmierdzącym, na podwórku i w chlewie. Może go jeszcze wtedy nie było, może to za wcześnie, ale musiał pojawić się niedługo po tym. Bo czy to normalne, żeby kura chodziła jak pingwin? Nie marszczcie czoła ze zdziwienia. Tym pytaniem wybiegłem trochę w przód mojej historii. Zaraz wyjaśnię o co chodzi, ale chciałbym w pierw zaznaczyć mistrzowsko subtelny zabieg, który pokierował dalszymi losami moimi, jak i wspomnianej kury.

A działo się to w ciągu jednych z tych wielu spędzonych tam wakacji. Z całą rodziną jechaliśmy w odwiedzin, chociaż prawdziwym celem podróży było dostarczenie mnie na miejsce w zamiarze wakacyjnym, a dodatkowo (dla moich rodziców) w celu kilkunastu dni wytchnienia od zbyt energicznego dziecka, którym wtedy byłem (gdyby sytuacja działa się współcześnie, prawdopodobnie stwierdzono by u mnie ADHD). Na miejscu zostaliśmy przywitani w tradycyjnym stylu kawowo-ciastowym, gdzie oczywiście mnie interesowała głównie część -ciastowym. Zresztą nikt o zdrowych zmysłach nie podały mi wtedy kawy, więc dla mnie impreza miała raczej charakter soko-ciastowy lub ewentualnie herbaciano-ciastowy. Gwar rozmów dorosłych i starszyny nie bardzo mnie obchodził wtedy i, prawdę mówiąc, niewiele się to do teraz zmieniło, dlatego też skupiałem całą uwagę na talerzach i na tym, którego ze słodkości jeszcze nie próbowałem. Wszystkie rozmowy zbywałem krótkim odbknięciem dziecka zajętego swoimi sprawami, dopóki ciocia nie zdobyła mojego zainteresowania.

- A widziałeś, jaką mamy na podwórku kurę? - spytała mnie, uśmiechając się jak chochlik pewien zwycięstwa w walce o moją uwagę.
- Nie – odbaknąłem swoim zwyczajem, zając ciastko.
- Generała – dziadek podłapał temat po drugiej stronie stołu.
- No, - kontynuowała ciocia – cały czas chodzi na baczność. Idź zobaczyć.

Zainteresowałem się tą informacją na tyle, że byłem w stanie odstąpić od sutego stołu i pognąć do przedpokoju, gdzie odpoczywały moje wymęczone buty. Kura chodząca na baczność była czymś zupełnie nowym w moim świecie, więc należało sytuację jak najszybciej zbadać i się do niej w odpowiedni sposób ustosunkować.

- Tylko się nie ubrudź! - usłyszałem jeszcze głos mamy. - Masz świeżo wyprane ubranie!
- Nie ubrudzę! - odkrzyknąłem pewny w danym momencie tego, że to prawda, po czym wybiegłem na zewnątrz.

Olbrzymi plac należący do domu podzielono na dwie części. Pierwsza z nich pełniła funkcję wizualną, była to zielona część działki, w której mieścił się mały sad (trzy czy cztery drzewa owocowe), ogródek pełen warzyw, owoców i przypraw oraz wydzielone miejsce na spotkania pod gołym niebem, gdzie mieliśmy huśtawkę, stół ogrodowy i kilka stołków. Całości dopełniały gęsto porozmieszczane skupiska różnokolorowych kwiatów. Natomiast druga część działki, oddzielona od pierwszej drewnianym płotem, odpowiadała za funkcję użytkową, gdzie, mówiąc krótko, upchany był sprzęt rolniczy, szopa, obora, biegały kury, spacerowały koty, siedziały psy i dogorywała masa dziwnych rzeczy, wiecznie czekająca na możliwość kolejnego użytku. Mnie oczywiście interesowała ta druga część.

Zamknąłem za sobą furtkę. Już wchodząc na ich teren spłoszyłem całą kurzą ekipę. Teraz obserwowałem baczny wzrokiem rozbiegane ptaszyska, szukając wyróżniającego się okazu. Do dziś pamiętam wygląd tej kury starającej się nie pozostawać w tyle w stosunku do swoich sióstr, chociaż marnie jej to wychodziło. Wyjątkowy był to okaz i wyjątkowo wzbudzał we mnie emocje. Już dawno na swojej drodze do poznania świata opisałem tak proste stworzenia jak kury i byłem pewien, że wypracowany przeze mnie dogmat obejmuje całą ich populację, przynajmniej naszą polską. Jakie było moje zdziwienie, kiedy patrzyłem na kurczaka biegnącego z tyłu grupy, trochę koślawo, ale dumnie przy tym wyprostowanego, w pozycji pingwiniej, a nie kurzej. Ba, w pingwiniej?! W prawie człowieczej pozycji biegła ta czarnulka, trochę budową ciała mniejsza od innych. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że biedaczka musiała wcześniej doznać jakiegoś

wypadku, w wyniku którego doznała dziwnego urazu kręgosłupa, ale wtedy, dzieckiem będąc, był to dziw nad dziwy.

Kierując się najbardziej podstawową cechą człowieka, chcącego zbadać to, czego nie rozumie, pobiegłem w jej kierunku. Czarna kura nie była w stanie przede mną uciec. Wszystkie jej siostry czmychnęły, aż się za nimi kurzyło, a tylko ona, złamana, człapała nieudolnie, próbując uciec przed stojącym za nią olbrzymem, wyciągającym ku niej swoje żądne wiedzy ręce. Objąłem ją dłońmi, blokując możliwość trzepotania skrzydłami i podniosłem na wysokość twarzy. Czujne oko kurczaka obserwowało mnie, kiedy obracałem nim na wszystkie strony w celu znalezienia jakiegoś odróżnienia od innych kur. Próba ta nie powiodła się. Nie zdołałem zauważyć nic wyjątkowego w tym wyjątkowym kurczaku. Odstawiłem nieszczęsną czarnulkę na ziemię, ale nie puściłem jej jeszcze. Z dziecięcą chęcią pomocy wygiąłem ją z pozycji pionowej do takiej, w jakiej kurczak powinien się poruszać. Nie stawiała przy tym oporu, ale za każdym razem, jakby na sprężynie, wracała do pingwiniej stójki. Podniosłem ją znowu.

- Bawisz się z naszym pingwinem? - usłyszałem za plecami głos cioci.
- No – odpowiedziałem z uśmiechem.
- Zostaw ją na razie i chodź umyć ręce. Niedługo będzie kolacja.
- Dobra, zaraz przyjdę.

Ciocia wróciła do domu, a ja spróbowałem jeszcze raz przywrócić trzymaną czarnulkę do kurczakowej pozycji. Brak efektów w tym działaniu zniechęcił mnie na daną chwilę. Puściłem ją więc wolno. Ona poczłapała do swojego stada, a ja poszedłem do swojego. Nie zrezygnowałem oczywiście z badania całej tej niesamowitej sprawy. Przełożyłem je po prostu na następne dni mojego pobytu na wsi.

Resztę dnia spędziłem w domu i, jak na prawdziwego badacza przystało, chciałem jak najszybciej przejść do dnia kolejnego i badania wznowić. Dlatego też podczas jedzenia kolacji i później, gdy zegnałem najbliższą rodzinę zostawiającą mnie tu na wakacje byłem niespokojny z podekscytowania. Szybka, przymusowa wieczorna toaleta i szybki sen – taki był plan na resztę wieczoru i plan ten wykonałem w stu procentach. Na szczęście sen tego dnia nie pobił i szybko wziął mnie w swoje objęcia.

Następny dzień rozpocząłem leniwie. Obudziłem się o dość wczesnej porze (co zdarza mi się coraz rzadziej) i wygrzebawszy się z łóżka zszedłem na dół, do reszty domowników. Nie znalazłszy nikogo postanowiłem spędzić poranek przed telewizorem. Poszedłem do pokoju w którym ów telewizor się znajdował i siadłszy w fotelu, odpaliłem go pilotem. Moja pamięć nie pozwala mi przypomnieć sobie, co wtedy oglądałem, ale znam siebie na tyle, by móc powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że skakałem po kanałach w poszukiwaniu jakiejś bajki. Słyszałem, że moja rodzina już pojawiła się w domu, ale za późno, bym był tym zainteresowany. Znalazłem odpowiadający mi program. Jakiś czas później do pokoju weszła ciocia.

- Tu jesteś! A myślałam, że jeszcze śpisz i szukam cię na górze. Przyjdź zaraz do salonu, bo robię śniadanie.
- A mogę zjeść tutaj? - spytałem z nadzieją w głosie. - Bo akurat leci bajka.

Ciotka spojrzała na mnie karcącym wzrokiem, mającym mi dać do zrozumienia, że tak się nie robi, po czym, mając już pewność, że zrozumiałem przekaz, zlitowała się nade mną i pozwoliła jeść przed telewizorem.

- Dobrze, niech ci będzie.
- Już miała wychodzić, ale zatrzymałem ją pytaniem.
- A co jest na śniadanie?
 - Jajecznica, może być?

Skinąłem głową. Nie chciałem kontynuować dyskusji. Dzięki słowu „jajecznica” coś mi zaskoczyło w głowie i przypomniałem sobie, że przecież mam do przeprowadzenia bardzo ważne badania. Nie wiedziałem, jak to się stało, że mogłem o tym tak po prostu zapomnieć. W pierwszej chwili miałem zamiar od razu iść się ubrać i biec na dwór, ale – tłumacząc z angielskiego –

pierwsze rzeczy pierwszymi. Bynajmniej nie chodziło mi o śniadanie, ale o bajkę leącą w telewizji. Nie mogłem zostawić niedokończonego seansu. Już od najmłodszych lat wciągały mnie każdego rodzaju opowieści. Nie ważne jak słabe by były, jeśli zacząłem, musiałem dowiedzieć się, jak się kończą.

A więc siedziałem w fotelu zajęty oglądaniem, w którego trakcie dostarczono mi pod nos śniadanie składające się z jajecznicy z kielbasą, kromek chleba z masłem i herbaty domowej roboty, której smak doceniłem dopiero niedawno. Zjadłem to wszystko jeszcze przed zakończeniem seansu, a gdy i ten dobiegł końca, pogałem na górę zamienić pidżamę na jakieś dzienne ciuchy. Krzyknąłem szybkie „cześć” dziadkom, kiedy w drodze do bocznego wyjścia przebiegałem przez kuchnię. Widząc, że jestem w pośpiechu, nie próbowali mnie zatrzymywać.

Stanąłem na zewnątrz, na użytkowej części podwórka i od razu spłoszyłem stado kur. Trzepotały skrzydłami, gdakały i przebierały łapami ile się da, by tylko wrócić do kurnika, gdzie ich zdaniem nie mogłem ich dorwać. Prawdę mówiąc, miały trochę racji, kurnik to nie jest najprzyjemniejsze miejsce na ziemi i wolałem uniknąć wizyty w nim. Jednak nawet wśród tego kurzego tumultu nie miałem problemu z dostrzeżeniem tej wyjątkowej, dumnie wyprostowanej kury. Wyróżniała się tak bardzo, że w sekundę ją zlokalizowałem i pogałem w jej kierunku. Tak jak poprzedniego dnia i tym razem nie miała szans przede mną uciec. Ponownie trzymałem ją w garści, gotów dalej badać tę dziwaczkę.

Trzymając ją, czułem na dłoniach mocne, przyspieszone bicie kurzego serca. Bała się mnie, mimo że nie miałem zamiaru zrobić jej krzywdy. Moje badania były czysto empiryczne i obserwacyjne, a co za tym idzie: mało inwazyjne. Czarna kura stała się tego dnia moją towarzyszką zabaw i badań wszelakich. Nosiłem ją ze sobą wszędzie, próbowałem pomóc wrócić jej do naturalnego kurzego stanu, stawiałem w różnych dziwnych i czasami wysoko położonych miejscach, by sprawdzić jej zachowanie, czasami puszczałem ją wolno, bo i tak byłem pewien, że nie ucieknie zbyt daleko, ganiałem ją, badałem jej ciało w poszukiwaniu urazu, testowałem reakcję na przeróżne przedmioty i zachowania. Nie wiem, czy mistrz podsunął mi ten pomysł, czy wpadłem na niego sam, ale pojawił się w mojej głowie. Może dzięki obciążeniu będę w stanie pomóc wrócić jej do normalności – zaśpiewała mi myśl. Wziąłem moją czarnulkę w ręce i razem wyruszyliśmy na poszukiwania odpowiedniego przedmiotu.

Takowy znalazł się w wąskim przejściu między domem, a górą drewna przeznaczonego na opał. Wszedłem tam z kurczakiem i od razu zauważyłem oparte o ścianę domu, niewielkie, metalowe płytki. Trzymając kurczaka w jednej ręce sprawdziłem ciężar znaleźnika. Płytką wydawała się wystarczająco ciężka na nasze potrzeby, ale znowu na tyle lekka, by nie uszkodzić kury. Nie namyślając się długo ustawiłem moją czarnulkę na ziemi i oparłem płytkę na jej plecach. Stała, pochylona, tak jak przewidział to jej gatunek. Zadowolony z pierwszych przymiarek do naprawy mojej towarzyszki odstępiałem od dalszych testów na rzecz obiadu, na który byłem wołany. Wypuściłem kurę i pobiegłem jeść.

W trakcie jedzenia nie wspominałem słowem, mimo pytań, o moim eksperymencie, gdyż był to eksperyment tajny i jedyną osobą, która miała wgląd w niego byłem ja – młody badacz. Zjadłem tak szybko jak umiałem, wyrwałem się z rodzinnych pogaduch i pobiegłem z powrotem na podwórko. Złapałem kurę, wróciłem z nią do płytek i wznowiłem prace badawcze. W chwilach poświęconych złapaniu oddechu lub pójściu za potrzebą najzupełniej w świetle kładłem metal na kurze, bym nie musiał za każdym razem jej gonić. Nagle stało się coś okropnego. Choć w moich oczach wszystko szło pomyślnie, to widocznie tak nie było. Po jednej z takich krótkich przerw podniosłem płytkę, ale kura już się nie podniosła. Podnosiłem ją, stawiałem na nogach, potrząsałem, ale na nic się to zdało. Była martwa. Strasznie się wystraszyłem, ale niestety muszę przyznać, że nie bałem się spowodowania śmierci, ale tego, co zrobi moja ciotka, albo dziadek, albo babcia, gdy się o tym dowiedzą. Zostawiłem trupa tam, gdzie leżał i pogałem do domu. Moją linią obrony miało być iście w zaparte. Śmierć jako taka była dla mnie w tym wieku czymś całkowicie irrealnym, a życie traktowałem jako coś stałego i niezniszczalnego. Niestety śmierć mojej czarnej

towarzyszki pozostawiła rysę na tym dziecięcym światopoglądzie.

Rysa ta, choć niewiele widoczna, a dla mnie w tamtym wieku kompletnie niezauważalna, nie uszła uwadze mistrzowi złodziejskiemu. Idąc dalej drogą mojej teorii jestem w stanie stwierdzić, że musiał on maczać palce w tym, co zamierzam za chwilę opisać. Jak na mistrza przystało, tym razem (prawdopodobnie obawiając się wykrycia) nie zamierzał manipulować mną bezpośrednio. Do osiągnięcia swojego celu wykorzystał moją najbliższą rodzinę, a mianowicie mojego ojca. Tym razem to w nim zaszczerpił pomysł współudziału syna w morderstwie, a ja, nieświadom, podążyłem w tym kierunku.

Wydarzenie te miały miejsce w kilka lat po śmierci wyjątkowej kury (kolejny dowód subtelności mistrza). Miałem już pewnie ze dwanaście lat, kiedy to siedziałem pewnego wieczora przed telewizorem. Seans przerwała mi mama.

- Idź do taty, bo cię wołał – przekazała mi rozkaz.
- Czemu? - przeciągałem, mając nikłą nadzieję na anulowanie tego polecenia.
- Nie wiem, pójdiesz, to się dowiesz.
- A gdzie jest tata?
- Na dworze. Ubierz sweter, zanim wyjdiesz.

Zwlokłem się niechętnie z łóżka i spełniłem prośbę matki o ubranie swetra. Później wyszedłem na zewnątrz, gdzie, mimo późnego wieczoru, panowało letnie ciepło. Skierowałem swe kroki za dom w celu odnalezienia taty.

Na tylnym podwórku, za garażem, zauważyłem snop światła dobiegający z naszego pokoju gospodarczego. Poszedłem tam, jeszcze nie wiedząc, co mnie czeka. A szkoda, bo może wiedza powstrzymałaby me kroki. W środku czekało na mnie nie lada widowisko. Moją uwagę od razu przykuł królik, przywiązany sznurkiem za tylne łapy do haku wkręconego w sufit, trochę wierzgał, ale był już widocznie zmęczony. Za nim stał mój tata. Ostrzył nóż w oczekiwaniu na mnie.

- No, w końcu przyszedłeś! - powiedział, kiedy mnie zobaczył. Ciągłe przejęty widokiem nie byłem w stanie odpowiedzieć. Tata, widząc to, kontynuował. - Pytałeś niedawno, jak się zabija królika, to teraz możesz zobaczyć. - Słyszac te słowa, od razu zacząłem zastanawiać się, kiedy zadałem takie pytanie, ale szybko do mnie doszło, że faktycznie niedawno ono padło. - Chodź – zawołał mnie tata, widząc, że ciągle stoję w progu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. - Trzymaj.

Dał mi do ręki porządny, twardy kawał drewna, przypominający rączkę od siekiery. Chwyciłem go w obie ręce, czekając na polecenia. Jeszcze nie do końca uświadamiałem sobie, co będę musiał z nim za chwilę zrobić, ale jakaś dzika rozbudziła się we mnie ekscytacja z racji trzymanej broni.

- Złap porządnie i z całej siły uderz go w tył głowy – instruował mnie tata. - Tylko mocno!

Nie chcąc zawieść oczekiwań ojca, wykonałem polecenie. Trzymając pałkę oburącz uniosłem ją za głowę i nie myśląc wiele, wykonałem zamach. Trafiłem w głowę. Królik zaczął szaleć po otrzymanym ciosie. Rzucił się na linie jakby miało mu to miało w czymś pomóc. Obserwowałem jego tańce całkiem zmieszany. Nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Tata zabrał mi pałkę.

- Za słabo go uderzyłeś – stwierdził. - Nie masz jeszcze siły, co? Pokażę ci, jak to się robi. - To mówiąc, zamachnął się prawą ręką i rąbnął królika ile sił. Czaszka zwierzaka aż lupnęła od uderzenia.

Królik zatrzęsł się raz, by później opaść bezwładnie. Życie czmychnęło z jego małego ciała. Strużka krwi zaczęła ciec z jego mordki na betonową podłogę. Ja stałem i patrzyłem na tę makabryczną fontannę. Zaiste nie był to widok, którego mógł spodziewać się dwunastolatek, tym bardziej mojego pokroju. Obcowanie z zaskakującym rytuałem śmierci odcisnęło na mnie swoje piętno. Wyrwało mnie z bezpiecznego świata dziecka i raz na zawsze utwierdziło w fakcie, że życie

nie jest czymś pewnym i trwałym.

Oczywiście towarzyszyłem ojcu w dalszej preparacji królika starając się pokazać po sobie, że jestem twardym mężczyzną i zniosę wszystko z zimną krwią. A mierzyłem się wtedy z nie jedną, a kilkoma makabrami. Zaraz po śmierci królika byłem świadkiem jego skórowania, co (jak się okazało) wcale nie jest takim trudnym przedsięwzięciem. Obserwując ojca dowiedziałem się, że wystarczy obciąć skórę na tylnych łapach zwierzęcia i trochę wzdłuż ciała, a później wystarczy energicznym ruchem zdjąć ją całą, aż po przednie łapy, jak jednocześnie podżamę. Finałem całego rytuału był nóż rozcinający brzuch, oskórowanego już, królika. Ręka taty sięgnęła do środka zwierzaka i wyszarpała wszystkie wnętrzności do stojącego pod nim wiadra. Wokół rozniósł się mdły zapach świeżych flaków.

W tym wszystkim uczestniczyłem ja – dzieciak udający dorosłego i, chociaż nie mogłem wiedzieć jaki wpływ to na mnie miało, w przyszłości już nigdy nie skrzywdziłem żadnego zwierzęcia. Nie potrafiłbym tego zrobić. Z biegiem czasu ta tendencja zaczęła przenosić się także na ludzi. Składałem tutaj wyrazy uznania mistrzowi złodziejskiemu, gdyż złamał pierwsze zabezpieczenie: wiarę w życie i jego trwałość.

II

Mierzenie się z permanentną chorobą w rodzinie to bez wątpienia spory ciężar dla każdego, kto tego doświadczył i nie zamierzam twierdzić, że mój przypadek jest tu wyjątkowy, ale jest bez wątpienia ważny w ramach tej opowieści. Właśnie dlatego, choć z ciężkim sercem, go tutaj opisuję. Byłbym głupcem twierdząc, że wpływy mistrza sięgają tak daleko, by mógł mieć jakiegokolwiek powiązania z niepełnosprawnością mojego brata, więc nie śmiem tego nawet insynuować, ale mój prześladowca, mimo iż zadanie wydawało się rozwiązane, nie ryzykował zostawienia wszystkiego w rękach losu. Bo przecież jest wielu ludzi mierzących się z niepełnosprawnością w rodzinie i zachowujących przy tym to coś, co można nazwać młodzieńczym entuzjazmem. „Chwała bohaterom!” woła ku ich czci mój wymęczony umysł. Wspomniany młodzieńczy entuzjazm to zabezpieczenie, po które wyciągnął łapy mistrz, a zrobił to w sposób misternie zaplanowany i zarazem nieskazitelnie czysty.

Czym się posłużył? Jaką taktykę zastosował? Otóż będąc całkowicie szczerym: nie jestem pewien jak odpowiedzieć na te pytania. Długo się nad tym zastanawiałem i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to ja sam. W jakiś sposób wpływał na mnie lub na moje otoczenie, kierując moją uwagę, albo aktywując moją wrażliwość w momentach, które większość dzieci zignorowałyby dla własnego dobra i wygody. Jakie to były momenty, w których sterował mną jak marionetką? Próbując wyłuskać jakiegokolwiek ze swojej pamięci dochodzę do wniosku, że nie było żadnego wydarzenia w formie eksplozji, które rozsadziło by kolejne zabezpieczenie, na które czyhał. W tym wypadku był to długotrwały proces, doprowadzający ostatecznie do zmęczenia materiału, a co za tym idzie, złamania kolejnej pieczęci.

Praca złodzieja zaczęła się w wieku, w którym dziecięcy egoizm traci swoją dominującą pozycję i młody człowiek zaczyna zauważać pewne niuanse w swoim otoczeniu, które do tej pory spływały po jego egoistycznej tarczy jak po kaczce. U mnie ten wiek zaczął się stosunkowo wcześnie, w okresie wczesnoszkolnym, jeszcze przed opisywanymi w poprzednim rozdziale zgonami zwierząt. Taka była ze mnie wrywna cholera. Jedyne, czego musiał dokonać mistrz, to zasianie w moim młodym umyśle ziarenka empatii. W tym celu bombardował mnie emocjami z otoczenia tak długo, aż mu się to udało.

Już jako kilkuletni chłopiec przestałem odbierać cyklicznie powtarzające się wojny między rodzicami i dziadkami (mieszkaliśmy pod jednym dachem) jako suchy fakt, coś oczywistego i obojętnego, a zacząłem przyjmować to nazbyt subiektywnie do świadomości, raniąc samego siebie empatycznym nożem emocji. Oczywiście wtedy nie rozumiałem, dlaczego mój nastrój nazbyt często przesunął się w tę mniej pogodną stronę. Dopiero z biegiem czasu zacząłem łączyć fakty w

spójną całość i odkrywać się przed sobą. Rozwijająca się we mnie empatia z mijającymi miesiącami i latami stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Za każdym razem, kiedy między najbliższymi dochodziło do sprzeczek, a ja byłem przy tym obecny, czułem się tak, jakbym przyjmował na siebie pełny cios z młota agresji, smutku, rozczarowania, czy bezsilności (niepotrzebne skreślić).

Ostatecznie moje przyjmowanie wewnętrznego bólu doszło do takich rozmiarów, że musiałem opuszczać pokój kłótni, a wszystkie dni „pozytywne” spędzane z rodziną stały się pełne napięcia – oczekiwania na kolejny wybuch. Jednocześnie nie robiłem nic, żeby kłótniom zapobiec i nie brałem w nich udziału, ponieważ nie chciałem stać się taki, jak moi bliscy. Poza tym, w moim domu konflikty rozwiązuje się, podnosząc głos i słucha się tych, którzy go podnoszą. Niewiele tam miejsca dla człowieka takiego, jak ja: takiego, który nie potrafi krzyknąć.

Buchająca empatia w połączeniu ze społeczną intuicją doprowadziły mnie do postawienia kroku radykalnego. Zostałem zmuszony do zamknięcia swoich emocji gdzieś głęboko w sobie, skąd do mojej świadomości dochodzi jedynie słabe echo tego, co powinienem czuć. Obrosłem w twardą i grubą skorupę spokoju obojętności, a skutkowało to tym, że podczas gdy z zewnątrz mógłbym uchodzić za wyciszzonego stoika, to wewnątrz moje trawił pierwotny chaos. Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest to najlepszy sposób radzenia sobie z emocjami, ale wtedy wybór wydawał się prosty: albo zamykam je gdzieś daleko, albo popadam w szaleństwo. Tutaj zastanawiające jest ryzyko podjęte przez mistrza złodziejskiego rzemiosła. Przecież gdybym poszedł w drugą stronę i wybrał szaleństwo, to cała jego praca poszłaby na marne. Tyle lat włożonych w jedno dzieło zniknęłoby razem z moimi zdrowymi zmysłami. Istota ta albo jest geniuszem, albo podjęła ryzyko. A może to się nie wyklucza? Może żadna wielka sztuka nie może powstać bez podjęcia ryzyka?

Artystycznie zostawiając to pytanie bez odpowiedzi pójdę dalej, bo to nie wszystko, co mam do napisania w tym temacie, mimo że już na tym etapie można dość wyraźnie zauważyć niechybną eksmisję młodzieńczego entuzjazmu z lokalu noszącego moje imię i nazwisko.

A ja jeszcze nie zacząłem o tym, o czym miałem pisać w tym rozdziale. Wspomniałem już we wstępie o chorobie mojego brata, o jego niepełnosprawności. Dla ciekawych powiem, że to nie jest jakaś bezimienna choroba z kosmosu, tylko dziecięce porażenie mózgowie, które, mówiąc prosto i z pominięciem politycznej poprawności, zrobiło z mojego brata warzywo. Taka sytuacja nie była dla mnie, człowieka od dziecka dumnego, łatwą przeprawą.

Obecność osoby niepełnosprawnej już za młodu oddziaływała na mnie znacząco, a z każdym kolejnym rokiem życia coraz silniej. Kiedy tylko osiągnąłem wiek przydatności w gospodarstwie domowym, miałem obowiązek nauczyć się odpowiedzialności. Nie tyle za siebie, co za drugiego człowieka, nieraz zostającego pod moją opieką, skazanego na moją łaskę i uzależnionego ode mnie. Było to nie lada brzemię dla dzieciaka, uczyć się odpowiedzialności, kiedy większość moich rówieśników bez skażenia jakąś poważniejszą myślą oddawało się wszelakim zabawom. Oczywiście nie poświęciłem swojego dzieciństwa całkowicie, broniłem go wszelkimi siłami i latałem z kumplami gdzie popadło, ale nieraz musiałem opuszczać ze względu na brata, bo przychodziła moja kolej opieki nad nim. Pytany dlaczego, odpowiadałem zwykle wymijająco, w stylu: „bo rodzice coś ode mnie chcą”. Przyznaję się do tego bez bicia, wstydzilem się. Wstydzilem się przez długi okres swojego życia, uznawałem swoją sytuację rodzinną za słabość, a słabości swoich nigdy nie ujawniałem. By bliżej wytłumaczyć korzenie tego wstydu, muszę rozpocząć nowy wątek w tej historii.

Płcią przeciwną zacząłem interesować się bardzo wcześnie, bo już w przedszkolu miałem swoją pierwszą wybrankę. Oczywiście była nią najładniejsza dziewczyna z mojej klasy (wspominałem już, że jestem dumnym człowiekiem?). Tradycję tę kontynuowałem na wszystkich poziomach kształcenia i zwykle bez większego wysiłku zdobywałem zainteresowanie tej najpiękniejszej. By być tutaj w stu procentach szczerym, to zwykle one były zainteresowane mną, ku mojej oczywistej uciechu. Gdyby ktoś zaczynał się powoli zastanawiać, dlaczego tu o tym piszę, już spieszę z wyjaśnieniami. Cały ten wstęp ma na celu zarysowanie powodu dla mojego wstydu. Już za młodu rozumiałem rzeczywistość na tyle, by wiedzieć, że niepełnosprawny brat to raczej nie

najlepszy wabik na dupy. Dlatego też wolałem zachowywać tę informację w ściśle zamkniętym gronie pilnując, żeby nie wyszła na jaw. Szybko wypracowałem dla siebie technikę życia, w której obracałem się na orbicie dwóch światów: zewnętrznego, czyli grona moich znajomych, oraz wewnętrznego, prywatnego, w którym istniała moja rodzina.

Moi rodzice natomiast, jakby w zмовie z mistrzem, niewiele robili sobie z moich obaw i wstydów i bezpardonowo wywlekali prawdę na świat, ciągnąc mnie ze sobą na ich spacerы rodzinne, w których uczestniczyli oni, moja siostra, brat i oczywiście ja. Nie rozumiałem, co fajnego może być w takich spacerach, kiedy dla mnie sprowadzały się one do uważnej obserwacji, czy aby nie spotkam po drodze jakiegoś znajomego. O dziwo nie przypominam sobie, by którykolwiek z tych spacerów doprowadził do takiego spotkania i dzięki bogu za to, ale jak się okazuje, los potrafi być przewrotny.

Chapeau bas mistrzu, za te wszystkie razy, kiedy w zupełnym zaskoczeniu moi znajomi nakrywali mnie w towarzystwie brata, kiedy letnim popołudniem kierowałeś ich kroki obok mojego podwórka, na którym staliśmy, kiedy szlajałem się gdzie bądź z przyjaciółmi i spotykaliśmy moich rodziców, spacerujących z bratem w wózku. Pal licha moich kumpli, bo dziwnym trafem męskie grono zawsze darzyło mnie sporą dozą szacunku, ale dziewczyny mógłbyś sobie darować. Spojrzenie tych niewieścich oczu, łamiące dwa światy, w których żyłem, było jak kubel zimnej wody wylany na moje umęczone ramiona. Jak perfidne uderzenie z liścia od niesprzyjającego losu.

Pamiętam jak dziś ten letni dzień, kiedy to mój ojciec wychodził z bratem w wózku na spacer, a ja, będąc wtedy na podwórku, otwierałem mu furtkę przed domem. Właśnie wtedy, gdy wyjeżdżali z naszej posesji na ulicę, tą samą ulicą zupełnie przypadkiem przechodziła grupka moich znajomych. Było wśród nich kilku moich kumpli, ale co gorsza, również parę dziewczyn – kilka brzydszych i, niestety, kilka powszechnie uważanych przez naszą męską brać za najładniejsze. Intuicyjnie zauważyłem ich wcześniej, niż oni mnie. Jak już mówiłem, na tę piękniejszą płeć dość młodo wyrobiłem sobie wyczulenie.

- Cześć – przywitali się gromadnie, gdy tylko rzuciłem im się w oczy. Zauważyłem znaną mi już chwilę konsternacji, która ich przeszła na widok niepełnosprawnego człowieka, ale szybko szybko ją zdławili przerzucając całą swoją uwagę na mnie.
- Cześć – odparłem nie spuszcając z nich oczu. Patrzyłem na nich spode łba, jak morderca przyłapany na gorącym uczynku, ale zachowywałem przy tym niezmacony spokój.

Tę sztukę opanowałem dzięki obecności przy niezliczonych wojnach przewijających się przez mój dom. Chociaż stworzone prze mnie światy, w tej konkretnej sytuacji zderzające się ze sobą, uruchamiały we mnie niezliczone pokłady paniki, to mimo tego potrafiłem zachować zewnętrzny spokój, a nawet wyglądać tak, jakby niewiele mnie odkrycie mojego sekretu obchodziło. Ponadto była to część gry, którą uprawiałem za każdym razem, gdy towarzyszyła mi kobieca obecność. Moja duma zawsze kazała mi grać w obecności dziewczyn. Grać kogoś, kim mogłem być tylko w swoich wyobrażeniach, faceta naj, najmądrzejszego, najzabawniejszego, najmilszego, najbardziej uczuciowego, ogólnie najwartościowszego. Jasne, że takie zachowanie można tłumaczyć biologicznym tańcem godowym, ale u mnie osiągało ono wyżyny w swojej sztuce i, o dziwo, skutkowało.

No więc stałem tam, dumny i niewzruszony, obserwując moich znajomych jak napastnik obserwujący swoją ofiarę. I chociaż wydawało się, że cała sytuacja trwała wieki, to tak naprawdę trwała jedynie tyle, co ich przejście obok mnie – raptem kilka sekund. Gdy już się to stało i jedyne, na co mogłem patrzeć, to ich plecy, moja dumna postawa prysnęła i zostałem tam sam. Młody chłopak, w ciszy użerający się ze swoimi strachami, które do końca tego dnia nie dawały mu spokoju.

Ponownie to powtórzę: złodziej miał wielce ułatwione zadanie przy złamaniu drugiej pieczęci, ale i tak wolał zaingerować i dopiąć wszystko na ostatni guzik. Między innymi dlatego mówimy o mistrzu złodziejskiego fachu – nigdy nie liczy na dobry los, a raczej działa, nawet gdy

wydawałoby się, że nie musi. Czy było warto? Efekty mówią same za siebie. Pieczęć została złamana. Bo czy zostało w moim życiu jakiekolwiek miejsce dla młodzieńczego entuzjazmu czy spontaniczności? Gdzie mogłyby się uchować między takimi tytanami, jak nauka odpowiedzialności i zamknięcie uczuć w głębokiej klatce? Straciłem je. Straciłem je bezpowrotnie i sam nie wiem, czy zdążyłem, przynajmniej odrobinę, się nimi nacieszyć.

Drugie zabezpieczenie zostało złamane. Na drodze do skarbu zostało tylko jedno i teraz już nikt nie wycofałby się z tej drogi. Oczywista oczywistość – jak to mówiła moja nauczycielka. Natomiast czas, w postaci kilku lat względnego spokoju, potrafi zaciemnić nawet najprostszą prawdę. Przekonałem się o tym, bo mylnie zaczęło mi się wydawać, że jestem bezpieczny. Ciebie mistrza jednak powrócił, a jego łapa wyciągnęła się po tę ostatnią zaporę. Zamierzał zniszczyć ostatnią pieczęć, a ja byłem kompletnie nieprzygotowany na jego atak.

III

Już w poprzednim rozdziale wrywałem się do tematu, który chciałbym poruszyć w tym tu oto. Zacząłem na nieszczęście stylistyczne pisać o dziewczynach/kobietach/płci pięknej (jak kto woli nazywać) trochę wyżej, przez co popełniam literackie faux pas i wracam do tego samego tematu tutaj. Z dobrą myślą (jak mi się wydaje), gdyż chciałbym temat ten rozwinąć i przedstawić z trochę szerszej perspektywy, a to wszystko dlatego, że to jedyna droga do opowiedzenia reszty historii o złodzieju – mistrzu i jego genialnej grze.

Z powodu mojej wyuczonych skrytości nigdy nie należałem do grupy ludzi, ogólnie określanych jako przebojowi, przez co mogłoby się wydawać, że byłem mało popularnym i raczej siedzącym w cieniu człowiekiem. Nic bardziej mylnego. Miałem coś, co pomagało mi przebrnąć przez wszystkie lata szkoły w towarzystwie cool kids – młodych, pięknych i nieraz głupich osobników, wśród których, oczywiście, nie brakowało ładnych dziewczyn. Moja zdolność była bardzo prosta, ale, co potwierdzało życie, niezwykle przydatna. Zawsze, niezależnie od sytuacji, potrafiłem dobrze wyglądać. Potrafiłem nawet wtedy, gdy dana sytuacja była mi obca i się w niej nie odnajdywałem. Nie chodziło tu bynajmniej o urodę (choć można by mnie zaliczyć do tej ładniejszej części społeczeństwa), ale o pewną grę (nie wiem czy nie na wyrost nazwę ją aktorską), w której zawsze potrafiłem przyjąć pozę człowieka dumnego, pewnego i spokojnego, co wydawało się działać na dziewczyny. Trudno mi powiedzieć, ile w tej postawie było prawdy. Tak czy siak, grono super dzieciaków było zawsze dla mnie otwarte, przynajmniej w okresach normalnego dbania o siebie. O okresach niechlujstwa nie będę tu pisał, gdyż nie widzę ku temu powodu.

Wniosek z całego poprzedniego akapitu sprowadza się do tego (uwaga na literackie faux pas), co już napisałem w poprzednim rozdziale: miałem powodzenie u dziewczyn i to nie byle jakich, bo tych powszechnie uznawanych za najładniejsze. Ciesz się bracie – zawołałaby męska część widowni, gdybym udzielił jej głosu. Cieszyłem się, częściowo. Moje ego zdobywało wierzchołki gór, gdy ja gubiłem się w dolinach, odrzucając zaloty tych, dla których wielu moich kumpli potrafiłoby zabić. Nie przeczę, nie raz korzystałem z damskich względów dla własnej satysfakcji, ale nigdy nie dopuściłem żadnej z nich do bliższej relacji ze mną. Robiłem to dla ich dobra! - krzyczę, zanim mnie zlinczujecie za perfidny egoizm. Wstrzymajcie agresję obrońcy kobiecej cnoty i dajcie się wytłumaczyć skazańcowi, bo to nie egoizm, a altruizm kierował moimi czynami, gdy ja mówiłem nie, kiedy one krzyczały: tak.

Wprawny czytelnik powinien już czuć cień mistrza rozciągający się za moimi plecami. Ja z tamtego okresu niestety tego nie zauważałem. Myślałem, że jestem tym mądrzejszym, tym dojrzałym. Tak kurwa... I co mi z tego przyszło? Byłem głupcem, ślepym na fakt, że tańczę jak marionetka w teatrzyku mojego prześladowcy. Tańczyłem. Tańczyłem przez długie lata do pokłosa muzyki, indoktrynującej mnie jeszcze w czasach mojego dzieciństwa.

Przyszedł czas wyjaśnień. Stoję, jak skazaniec przed sądem, pozwalając sobie na ostatnią mowę przez wyrokiem zasłużenie skazującym. Ostatnia szansa, by pozbyć się tego balastu, ostatni

dzwonek, by zadośćuczynić.

- Chcecie prawdy?! - wołam do was, lożo i do ciebie, mój sędzio. Rzucam się jak jęty trucizną z każdym wypowiedzianym słowem, gdyż szczerść rani mi bebechy. - To będziecie ją mieli! - warczę. - Jestem męczennikiem. Byłem nim zawsze, jeśli chodzi o płeć piękną. Pamiętacie, bracia, jak w młodym wieku dziewczę uważa się za anioła i wszystko co dobre w tym parszywym świecie? Ja miałem podobnie. Każda z nich była dla mnie piękną istotką, która cierpi z każdym kolejnym krokiem stawianym na naszej planecie. Względy, którymi mnie obdarzały traktowałem z szacunkiem tak wielkim, że nie mogłem ich przyjąć. Nie mogłem, bo jak zwykły człowiek może odplacić się aniołowi? Chciałem dla nich wszystkiego co najlepsze, ale wszystko co najlepsze z automatu przekreślało mnie. Jeszcze nie rozumiecie? Nie mogłem się przed nimi odsłonić. Niosłem na swoich barkach zbyt dużo żalu i cierpienia, by móc którąś z nich do siebie dopuścić. Te pokłady mroku nie mogły się ze mnie wylać. Nie na anioła przecież! Dlatego nigdy nie kochałem. Nigdy nie pozwoliłem samemu sobie się zakochać, bo wpuszczenie uczucia wymagałoby otwarcia drzwi. Duma kazała mi trwać, nie okazując słabości, przez co zarastałem w korzeniach tego, co zasiał mój prześladowca. Jednocześnie nigdy nie zapominałem tych wariatek, które darzyły mnie uprzejmościami swojego ciała oraz charakteru.

Pamiętam tę rudą – śliczną dziewczynę i mistrzynię w graniu słodkiej idiotki, której tańca godowego nigdy nie zapomnę, pamiętam brunetkę, seksbombę o kręconych włosach i jej okazałe piersi – zaskakująco wstydliwą i łaszącą się jak kociak, pamiętam drugą brunetkę – tę, która niepokojąco młodo opanowała moc, jaką daje jej kobiecość, pamiętam blondynkę, za którą szaleli wszyscy, tę której zdobycie obrałem sobie za cel i porzuciłem zaraz po jego osiągnięciu, pamiętam okularnicę, na której myśl (wybaczcie) wszyscy kumple walili konia, a która przyszła do mnie za późno, pamiętam szarą, ale ładną myszkę, której błękit oczu ugasiłby każdy pożar, pamiętam młodą, która bez zaproszenia nie odważyłaby się obcować z kimś starszym – ze mną, pamiętam tę wiejską śmieszkę, z której wieś nie potrafiła wyjść ani na moment, pamiętam też te nie chcące zaryzykować, ale ujawniające swoje intencje w zachowaniu. Pamiętam je wszystkie i przepraszam te, o których zapominałem.

Nie sposób zapamiętać was wszystkie. Wciąż pojawiaacie się na horyzoncie, a ja przy każdej z was przyjmuję tę samą, ograną postawę. Postawę, którą jednak coraz śmieiej przełamuję, gdyż nie jesteście już takimi niebiańskimi istotami, jak kiedyś (i chwała twórcy za to, bo jak wielka presja leży na dziewczynie, kiedy facet widzi w niej anioła?). Coraz bardziej ludzkie są te wasze twarze, a w związku z tym coraz więcej miejsca robicie dla człowieka kryjącego się we mnie. Wreszcie czuję luz w kajdanach, które krępują mi ruchy. Skrupulatnie ukrywana tajemnica traci swą mistyczną moc. Dojrzałem – myślę i to jest dobre, chociaż włos bardziej siwy i uśmiech smutniejszy, krok też wolniejszy i entuzjazm skromniejszy. I to jest dobre?

Gdy niespełna kilka tygodni temu szedłem na spotkanie z pewną damą, byłem już (w moim mniemaniu) wolnym człowiekiem. Prześladowca nie zaprzętał mojego umysłu bardziej niż wcale. Czułem, że mogę, a tego uczucia dawno w sobie nie miałem. Czułem też, że ta dama pozwoli mi móc.

Siedliśmy w jednym z wielu okolicznych barów i dosyć szybko pochłonęła nas rozmowa, gdyż, po pierwsze, dama była emocjonalną kobietą, a po drugie, w trakcie naszego żywego dialogu wliśmy w siebie po parę piw. Nic nie zapowiadało krachu, który miał nastąpić jeszcze tego samego wieczora. Jako, że uczucia były dominującą częścią życia mojej towarzyszk, to niewiele zdziwiło mnie jej pytanie, z którym dane mi się było mierzyć już kilkakrotnie wcześniej, przy innych okazjach, przy innych ustach.

– Byłeś kiedyś zakochany?

Przyznam, że do tej pory dziwię się, jak mogłem tyle razy tak łatwo prześlizgiwać się obok młota, którym było dla mnie to zdanie. Może to jeszcze nie był ten czas? Dałem sobie chwilę na zastanowienie. Chciałem przecież odpowiedzieć damie szczerze. Tym razem jakiś drobny trybik w

mojej głowie raczył zaskoczyć. Poczulem się dziwnie.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Tak naprawdę zakochany jeszcze nigdy.

Błysk w jej oku mówił sam za siebie. Już go widziałem. Dama złapała się nadziei, że to ona będzie tą, która przełamie ciężący na mnie zły urok. Tą, którą dane mi będzie pokochać miłością płomienną i szaleńczą. Myliła się, jak każda jej poprzedniczka. Ja, oczywiście, nie zamierzałem wyprowadzać jej z błędu. Z biegiem czasu i tak zrozumie to sama – myślałem zawsze, słusznie zresztą.

Płynąc razem na fali rozmowy dama, jakby podświadomie wiedziona na drogę zemsty, postanowiła zburzyć mnie jak domek z kart, rozpruć brzuch i wyrwać wnętrzności, a potem zostawić konającego w samotności. A tego wszystkiego dokonała w zupełnej niewiedzy, rzucając luźny komentarz pod moim adresem.

– Jesteś za młody, by być tak starym – powiedziała, a słowa jej dudniły mi w uszach jeszcze długo. Sypał się obraz i pękała świadomość, gdy rezonans jej wypowiedzi szalał we mnie jak wichler piekielny, paląc straszliwie od środka.

Twarz damy nie zmieniała się. Nie mogła wiedzieć, co uczyniła. Więc co? Przypadek? Tak po prostu zniszczyła mnie jednym zdaniem?

Zrozumienie przyszło razem z wizją. Długi cień rozciągał się za plecami mojej towarzyski, a w tym cieniu twarz mistrza zaczęła mi majaczyć. Mógłbym przysiąc, że śmiał się ze mnie łajdak, a jego śnieżnobiałe zęby przesłoniły mi obraz świata. Wnet jego śmiech, jak tragiczna melodia, prowadził mnie począł przez cały mój żywot, pokazując, udowadniając, że dzieło mistrza zaiste jest arcydziełem. Widziałem ten sam cień co teraz, widziałem go w znaczących chwilach mojego życia. Mój opiekun i prześladowca. Zawsze ze mną.

I zrozumiałem. Odślonił się przede mną Dzieło sztuki nie może przecież istnieć bez widowni, a widownią w tym wypadku byłem ja. To mu wystarczyło. I patrzyłem na trzy złamane pieczęcie z wielkim uznaniem, przesłaniającym nawet mój gniew. Brak romantycznej miłości był trzecią. Nic już nie blokowało dostępu do skarbu. Sejf został złamany.

Kłaniam ci się mistrzu w cichym uznaniu, choć pustka trochę mnie boli. Z żalem godzę się na twoją sztukę i nie zamierzam upominać się o swoje. Mam tylko jedno „ale”. Mistrzu cechu złodziejskiego, zaiste w wielkim stylu ukradłeś mi młodość, ale trochę za wcześniej. Dlaczego tak wcześniej?

Sezon doskonalenia wiary

Nie sposób opisać całej drogi, która doprowadziła mnie tu: do pierwszego akapitu tego tekstu. W zamierzeniach, które przyjmowałem na początku miało to być opowiadanie. Ba! Jakie to miało być opowiadanie! Najpiękniejsze z najpiękniejszych, najdonioślejsze z najdonioślejszych, najbardziej wgrzyzające się w pamięć z tych wgrzyzających się w pamięć; miało być ono kwiatem róży na łądzyce ułożonej z wcześniejszych opowiadań. Ostatecznie, w założeniu, miało to być moje magnum opus i z tym założeniem nosiłem się przez cały okres tworzenia zbioru. Pozwalałem, by ziarno to w mojej głowie rosło i dojrzewało, a konkretna idea całości miała zakwitnąć do czasu rozpoczęcia pracy nad nim. Idea, faktycznie, majaczyła gdzieś na horyzoncie, nic fabularna snuła się z kłębka i nawet widmo postaci obracało się w przeróżnych, przykładowych scenach, ale całość daleka była od konkretności, a rozkwit ledwo zaczął pączkowanie.

Trwałem tak, trzymając się planu kurczowo, jak młody poeta słownika. Wszystko wydawało się dążyć, ślamazarnie bo ślamazarnie, ale jednak w dobrym kierunku. Pisałem, moja proza dojrzewała owocnie i nawet czasem byłem z niej zadowolony. Wszystko to w rytm monotonnej piosenki, lecącej słowami: „na końcu będzie magnum opus”.

Tak więc, siłowałem się ze słowem, które rzadko jest skore do współpracy. Bardziej staje okoniem, gdzie tylko ma okazję i bóg jeden wie, dlaczego wciąż są ludzie chcący się z nim męczyć. Dlaczego ja chcę się z nim męczyć? Powinienem odpowiadać? Cóż, kocham tę swoją nienawistną kochankę. Nieraz potrafi mnie zaskoczyć. W mgnieniu oka wynieść moje ego na wyżyny absurdu, a po chwili zrównać mnie z błotem. Tak jak przy pisaniu przedostatniego tekstu pozostawałem zdumiony samym faktem jego tworzenia. Jestem święcie przekonany, że początkowo miałem pisać coś zupełnie innego, ale nagle zdarzyło się to. Najtrafniej będzie powiedzieć tak: zwymiotowałem ten tekst. Pomysł, który podskoczył do mnie z nienacka, wywołał wokół siebie spore zamieszanie. Takie, którego nie mogłem opanować w inny sposób, niż wyrzygać to cholerstwo z siebie jak najszybciej. Wynikło z tego tyle, że poświęciłem sporo stron na swoją rekonwalescencję.

Ciągle mam mieszane uczucia w związku z tym wyczynem.

Ten literacki paw w jakiś sposób wstrząsnął moim planem na tyle, że kończąc rekonwalescencję nie byłem już pewien co do mojego pomysłu związanego z magnum opus. Mówiąc szczerze, straciłem w niego wiarę i/lub nie czułem się na siłach, by stworzyć takiego lewiatana. Nie muszę chyba mówić, że brak kwiatu róży w róży stał się nie lada problemem, nie tylko technicznym, ale też ambicjonalnym. Straciłem to, co miało błyszczeć w mojej maszynie do błyszczenia. Straciłem plan, a zarazem grunt pod nogami i osunąłem się w miejsce dobrze mi znane, gdzie nieraz bywałem i za każdym razem trudno się z niego wygrzebać (choć z biegiem lat zauważam, że udaje się to coraz szybciej). „Witaj, stary druhu” – mógłbym powiedzieć, miotając się w sidłach niemocy twórczej.

Czego ja nie robiłem, żeby wzniecić w sobie ten żar z początków pracy nad zbiorem, z wtedy, gdy pewność co do powstania ostatniego, najlepszego opowiadania była równa pewności nastania dnia następnego. Na nic się to zdawało. Wraz z zakończeniem „mistrza” uderzyłem łbem w mur tak solidny, że nie powstydziliby się go więzienie o podniesionym rygorze. Sam czułem się jak w więzieniu. Chodziłem w tę i z powrotem po pokoju zastanawiając się, czy rzucenie palenia to aby na pewno był dobry pomysł (nieziemsko chciało mi się w niemocy palić), zacząłem wspomagać się alkoholem, jako trucizną zastępczo-wenotwórczą, dziczałem, a ludzie zaczęli mi działać na nerwy gorzej niż zwykle, z chodzenia po pokoju zrezygnowałem na rzecz szlajania się i zalewania pały po barach, szukałem kontaktu z kobietami – muzami, jakby to one miały mi pomóc, ostatecznie po każdorazowym wybryku sadzałem się przed laptopem i odpalałem OpenOfficę pisząc ledwie parę słów, by potem tonąć w internetowym szambie, a to wszystko po to, by opanować mój rozbuchany umysł i sprowadzić go na dobre tory.

Szczęśliwie moja ambicja jest bestią nieustępliwą i nienazartą, przez co potrafi mnie utrzymać na nogach nawet w miejscach, w których inni dawno leżeliby twarzą w kałuży własnych

łez, pomiędzy ruinami pozostałymi po ostatnich porażkach. Więc stałem dumnie, chodziłem nie wiadomo gdzie, czasem jednak się ślaniając na styranych nogach i czekałem, aż przyjdzie kres moich męk, których doświadczałem zawsze tyle samo i zawsze tak samo w okresach, w których nie pisałem. W sukurs przyszła mi gdzieś zauważona, drobna wzmianka o Bukowskim, bodajże jakimś nowym wydaniu jego nieznanych dzieł. Postanowiłem, podchmielony pitym akurat piwem, że pora odświeżyć sobie tego starego drania, co uczyniłem bezzwłocznie. Trafiłem na taki oto fragment: „prawdziwy pisarz już na starcie jest na straconej pozycji, bo wie, że to co robi nie ma sensu”. I nagle olśnienie. Nie wyciągnąłem poprawnej lekcji z poprzedniego tekstu. Tam już przecież to zacząłem. Zrozumiałem, dlaczego nie potrafiłem napisać chociażby jednego akapitu mojego magnum opus. Przecież nie mógłbym/nie byłbym w stanie tego zrobić nawet za sto lat! Utemperowałem swoje zapędy i postanowiłem nie silić się na nadętą wielkość, a raczej poświęcić trochę miejsca czemuś szczeremu i, jak można już do tej pory zauważyć, to szczerze coś kreuje się na stronę z pamiętnika problemów pisarza.

Śmiechu warte.

Uprawiam ekshibicjonizm literacki dla uciechy pospołu. Coś, czego jeszcze nie tak dawno temu nie zniósłbym, a każda próba pisania w tym stylu wywoływałyby u mnie zimne poty, drgawki i regularną panikę. Ale jednak, kolejne linijki zapewniają się, a z bieli kartki nigdy wcześniej w tak bezpośredni sposób nie poczułem swojego oddechu. Mam tylko nadzieję, że oddech ten nie będzie śmierdzący, ani nazbyt alkoholowy.

Szklanka whisky, bez dymu proszę

Kiedy już zainteresowałem śródtytułem, wypadałoby, a nawet chciałbym wyjaśnić, dlaczego jest on taki, a nie inny. Teraz, kiedy piszę te słowa, popijam whisky, mając na wyciągnięcie ręki dwie zachowane paczki papierosów, z którymi od dłuższego czasu się nie rozumiem. Nie palę, ale za to piję i zastanawiam się. Nad czym właściwie? Nad kontynuacją tego tekstu chyba. Będę z wami szczerzy: chciałem to zakończyć w poprzednim akapicie i nie zawracać już nikomu głowy. Nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem tego, bo szkoda mi się rozstawać z tym zbiorem przedwcześnie. Chciałbym jeszcze chwilę przytrzymać łaskawie ofiarowaną mi uwagę i, kto wie, może odkryć coś nowego? Równocześnie boję się, żeby nadmiernym rozciągnięciem nie spierdolić kreowanego wcześniej efektu. Wierzę naiwnie, że wypity alkohol pomoże, bo na pewno mocno wspiera moją chęć do snucia niekończących się wywodów na temat nadbiegających myśli.

Ale...

Gadanie od rzeczy zostawmy na boku. Te ostatnie kilka/kilkanaście minut poświęcę, by opowiedzieć jeszcze jedną, krótką historyjkę. Kto jest zadowolony? Mam nadzieję, że wszyscy, a przynajmniej znaczna większość. Koniec końców znajdujemy się w zbiorze opowiadań, czyż nie?

Więc usiądźcie dzieci, bo za chwilę narrator przeniesie was w świat, miejsce i czas, w którym dzieje się ta historia...

Sezon doskonalenia wiary 2.0?

Słońce prażyło leniwie, swoją obecnością dowodząc, że dzień, przynajmniej jeśli chodzi o pogodę, będzie udany. Promienie naszej gwiazdy w całości okalały parkową ławkę, znacznie podnosząc jej temperaturę. Natomiast park, o którym tu mowa, znajdował się blisko centrum miasta, a dzięki naturalnemu wzniesieniu górował nad większością okolicznych terenów. Ławkę przytwierdzono do ziemi kilka metrów od stromej zbrocza, dzięki czemu siedzący miał zapierający dech w piersiach widok na panoramę miasta.

Ławka aktualnie stała wolna. Nie na długo jednak, gdyż pewien starszy mężczyzna zbliżał się do niej swoim oszczędnym tempem. Po paru minutach dotarł na miejsce i siadając, doświadczył na plecach i tyłku przyjemnego pocałunku gorąca. Wyciągnął się wygodnie, rozpiął kilka górnych

guzików koszuli i zaczął kontemplować widok rozciągający się przed nim.

Po parku, w swój dzień wolny od zajęć, biegła również młoda studentka. Przebiegając wzdłuż zbrocza mijając ławkę, na której siedział ów mężczyzna. Początkowo nie zwracała na niego uwagi. Co ją obchodził jakiś dziadunio na emeryturze? Biegła dalej. Dopiero przy którymś okrążeniu zaczęła się mu przyglądać. Siedział, gapiąc się przed siebie. Przez cały czas. Za każdym cholernym razem, gdy go mijala, nic się nie zmieniało. Była prawie pewna, że ani razu na nią nie spojrział. Tylko uparcie patrzył w stronę miasta. Zdziwiło ją to na tyle, że postanowiła skończyć bieg niedaleko niego i dosiąść się, niby przypadkiem, by odpocząć.

Według planu podbiegła w pobliże ławki, przystanąła i pochyliła się do przodu opierając ręce na kolanach. Dla dodatkowego efektu głośno dyszała, a wszystko po to, by w jak najbardziej ostentacyjny sposób dać do zrozumienia, że bieg był wyczerpujący. Na jej ładnej skądinąd twarzy pojawił się grymas niezadowolenia zaraz po tym, gdy zauważyła brak zainteresowania swojego jedyne go widza. Dziadek miał ją gdzieś, przez co cały pokaz aktorski uleciał niezauważony jak wiele dzieł przed nim.

Mimo tak widocznego braku zainteresowania nią oraz jej pokazem, usiadła na wolnej części ławki. Wtedy dziadek na nią zerknął. Trwało to ułamek sekundy, ale zauważyła. Spojrzenie było trudne do uchwycenia, gdyż należało do tych, których zadaniem (z braku środków zaradczych) jest tylko skatalogowanie natręta. Jednak dostarczyło jej na tyle odwagi, by rozpocząć rozmowę.

– Gorąco dzisiaj... - stwierdziła, poprawiając sznurówki w swoich butach do biegania.

Dziadek tylko skinął głową. Dalej patrzył w stronę miasta. Studentka nie zamierzała się poddać. Postanowiła zaatakować prosto w sedno.

– Co tam jest takiego ciekawego?

Udało jej się. Zdołała pełne spojrzenie dziadka. Tylko speszyła ją ta niechęć, czy nawet pogarda łatwa do wyczytania w jego oczach.

– Nie dasz mi spokoju? - spytał, a ona zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. Patrzyli na siebie, a mur nieznajomości kruszył się z sekundy na sekundę. - Patrz – dziadek przerwał milczenie, wskazując ręką na panoramę miasta.

– Widzę – odparła. - Miasto jakich wiele.

Dziadek westchnął.

– Tak, ale czy widok nie jest piękny?

– Może...

– Freud twierdził, – zaczął, jakby nawet nie chciał czekać na jej odpowiedź – że wszystko to jest sublimacją popędu seksualnego.

– Freud miał problemy psychiczne – wtrąciła.

– Tak mówią, ale nikt nie może odmówić mu dobrej intuicji. Może trochę się omsknął w swojej tezie, jednak uderzał w dobry ton. Bo widzisz, to, co mamy przed oczami, nie jest sublimacją, jak twierdził, ale czystą manifestacją popędu seksualnego. Zważ me zdanie. Ten widok jest popędem per se, w swoim globalno-cywilizacyjnym majestacie.

– Że co?

– Że to. Spójrz – jeszcze raz wskazał na miasto. - To, co widzisz, pokazuje, jak wiele jest w stanie zrobić mężczyzna, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka.

Studentka roześmiała się, nieprzygotowana na taki żartobliwy ton. Jej śmiech widocznie poruszył dziadkiem, bo też się uśmiechnął, lecz znacznie bardziej zachowawczo.

– Naprawdę tak pan myśli? - spytała z niedowierzaniem.

– Zastanów się nad tym sama i powiedz szczerze, czy nie dostrzegasz w tym stwierdzeniu chociażby ziarna prawdy?

Sprowokowana, kontemplowała przez chwilę nad jego tezą i faktycznie, jakby się nie starała, jakich feministycznych myśli by sobie nie przypominała, nie mogła całkowicie zwalczyć tej myśli. Jakby pod tą grubą, szowinistyczną powłoką kryło się coś prawdziwego, czemu nie chciała

zaprzeczyć.

- Wydaje mi się... Coś w tym jest...
- No właśnie. Tak jak mówisz, coś w tym jest. I chociaż możemy przywoływać twierdzenia, że nauka, że rozwój, że cywilizacja, że pęd do tworzenia, ale czego byśmy nie próbowali... Ba! Czego by ludzkość nie próbowała od zarania dziejów, żeby tylko zwalczyć w sobie tę świadomość, że ciągle i to w przeważającej mierze, jesteśmy zwierzętami. I chociaż ukryliśmy już praktycznie każdy przejaw zwierzęcości, jeśli nie za techniką, to za tabu, to ta zwierzęcość ciągle nam doskwiera, przypomina o sobie, męczy i będzie tak, dopóki mamy to ciało – wskazał wpiersz na siebie, później na studentkę. - Nawet teraz, wybaczone, moja zwierzęcość się odzywa, gdy patrzę na ciebie – tym razem uśmiechnął się sam. Studentka poruszyła się nieznacznie, widać, że poczuła się niezręcznie. - I uwierz mi, – dodał szybko dziadek – że gdybyś dała mi wystarczająco dużo czasu, to postawiłbym dla ciebie podobne miasto, o ile bym dożył...
- Jestem zaszczyczona!

Zaśmiała się, co znaczy, że udało mu się rozładować atmosferę. Mógł odetchnąć z ulgą. Sam poczuł się trochę nieswojo, uderzając, nawet w żartach, do tak młodej kobiety. Zamilkli obydwój, spędzając chwilę na wspólnym przyglądaniu się miastu. Słońce w zenicie, otoczone bezchmurnym niebem, wyglądało jak milczący strażnik zabudowań ludzkich. Strażnik, który nieznośnie rozkręcał temperaturę, rozleniwiając i na wpół usypiając wszystkich na tyle odważnych, by stawić mu czoła na zewnątrz.

- No dobrze, - studentka przerwała milczenie – ale jeśli jest tak, jak pan mówi, to życie wydaje się strasznie płytkie.
- Bo życie, moja droga, przynajmniej samo w sobie, jest strasznie płytkie.
- I, według tego, bezsensowne.
- O prośbę, sens życia. Tajemnica, której sięgnąć próbowali najwięksi tego świata i nie jestem pewien, czy któremuś się udało. A ona przecież jest tak prosta i tak blisko nas. Wiesz, jaki jest sens życia?
- Jaki? - spytała zaciekawiona.

Dziadek skinął na nią głową.

- Spróbuj sama – polecił. - Jest bardzo prosty.
- Nie wiem... Przetrawienie gatunku?
- Brawo! O to właśnie chodzi. Mówiąc bardziej ogólnie: sensem życia jest podtrzymywanie życia. Czysta biologia. Składa się na to przedłużanie gatunku, ale też utrzymanie nas z dala od ryzyka i zapewnienie sobie podstawowych potrzeb. Wszystko ponadto jest zupełnie zbędną nadbudówką. Jeśli potrzebujesz dowodu, to spójrz na swój mózg za każdym razem, gdy idziesz pobiegać, albo gdy przysiadasz do wysiłku intelektualnego. Mózg jest leniwy i będzie się starał odwieźć cię od tych pomysłów. Wszystko, czego od ciebie oczekuje, to zapewnienie kilku podstawowych potrzeb. I tyle, to wszystko... Sens życia jest całkowicie zwierzęcy.
- Proszę mi nawet nie mówić. Nie cierpię, kiedy mój rozum mi to robi, cholerna prokrastynacja...
- Prokrastynacja jest częścią tego, czego twój rozum chce dla ciebie, czyli wygody i bezpieczeństwa.
- Niech pan to powie moim wykładowcom. - Na te słowa dziadek roześmiał się serdecznie. - Jednak, - mówiła dalej – chociaż to wszystko wydaje się mieć sens, chciałoby się wierzyć, że jest tam coś więcej. To chyba nie wystarczy, by wyjaśnić całą rzeczywistość – zauważyła.
- Oczywiście, że nie. To, co ja mówię, jak sama skomplementowałaś: z sensem, to tylko półprawdy, ćwierćprawdy, a może jej jeszcze drobniejsze fragmenty, które odnoszą się

do życia jako takiego, tego prostego, którego nie jesteśmy w stanie znieść. Poruszają się po rzeczywistości fizycznej, racjonalnej i to tylko po jednym z wielu jej aspektów. Poza tymi, człowiek stworzył sobie tyle irrealnych poziomów życia, że sam się w nich gubi, tłamszą go, zakładają kajdany na jego myśli. Stał się ich więźniem. I my jesteśmy więźniami, a nasze myśli krążą po torach, które ktoś, kiedyś dla nich wytyczył.

- Ech – westchnęła. - Według mnie nie jest aż tak źle.
- Skądże znowu, ostatecznie nikt nam nie zabrania w tak piękną pogodę siedzieć w parku, korzystać z pięknego widoku i rozmawiać ze sobą na piękne tematy.
- Tak, ale nie do końca o to mi chodziło.
- Domyślam się – odparł.

Najwidoczniej powiedziawszy wszystko, co chciał powiedzieć, zamilkł i ponownie zatopił się w widoku panoramy miasta. Studentka wykorzystała ten czas, by móc dokładniej i na spokojnie przyjrzeć się swojemu rozmówcy. Dopiero teraz zauważyła, że dziadek wygląda dość dobrze, jak na swoje lata – postawna sylwetka, szczupły i schludnie ubrany, a do tego całkiem przystojny z tym ciemnym, mocno już zesrebrzonym zarostem. Gdzieś przemknęła przez nią myśl, czy bardziej uczucie, ale też nie do końca świadome, że mogłaby udostępnić mu swoje ciało by, jak to mawiali klasycy, mógł je pohańbić. A wszystko to ku obopólnej przyjemności.

2017

Koniec.

Posłowie

Stało się. Po trudach i znoju wreszcie dotarłem tutaj: na koniec mojego zbioru opowiadań. Trochę to trwało (co zresztą możecie zauważyć po datach), ale ostatecznie dotarłem do celu. W międzyczasie mijały lata, toczyło się życie, powstawały teksty, które się tu nie znalazły, ja się zmieniałem, moje opowiadania też, nie tylko treściowo, ale również tytułowo, przez co z czasem „Muza” stała się „Amerykańskim snem”, znowu „Mężczyzna, który nie potrafił kochać” zmienił się na „Osaczonego”, a „Freestyle” zmienił obywatelstwo na polskie i stał się „Błędem”. To, co udało wam się przeczytać, uznałem za wersję finalną i tego będę się trzymał, bo mógłbym bez końca poprawiać wcześniejsze opowiadania, ale wtedy zbiór straci to, na co w nim po trochu liczyłem, czyli zapis mojego rozwoju pisarskiego, który (na co liczę) jest widoczny na przestrzeni tych minionych lat.

Dodatkowo, chciałbym tutaj przeprosić wszystkich, którzy w jakiś sposób odnajdują się w tych tekstach, w moich fikcyjnych bohaterach, a którzy to odnalezienie siebie potraktowali jako zniewagę ich prywatnej osoby. Na swoją obronę powiem, że fikcja nigdy nie smakuje tak dobrze, jak wtedy, kiedy jest przyprawiona prawdą.

Nie pozostaję mi nic innego, jak mieć nadzieję, że umiliłem wam czas swoimi tekstami i cóż, może nawet przekazałem coś dobrego, czego wcześniej nie zauważaliście. Z tą nadzieją pożegnaję się z wami, dziękując przy okazji za te wszystkie wieczory, poranki, czy popołudnia, które poświęciliście na lekturę oraz kłaniając się wszystkim tym, którzy inspirowali mnie do ciągłego tworzenia.